

BIULETYN IPN

nr 8/2012

pamięć

11 Listopada w PRL: zakazane święto reakcji

Aktion Zamosc: 70 lat od brutalnych wysiedleń

Marek Adamkiewicz – od niego zaczął się WiP

Stella Goldschlag – historia pięknej kolaborantki



**Dodatek specjalny:
plakat na Święto
Niepodległości**



Cena 6 zł (5% VAT)

ISSN 2084-7317



numer indeksu 284521
nakład 9500 egz.

**3 AKTUALNOŚCI IPN****4 KALENDARIUM****6 Z PIERWSZEJ STRONY****FELIETON****8** Maciej Rosalak, **Grudniowy bimber****Z ARCHIWUM IPN****10** Grzegorz Majchrzak, **Rozmowa operacyjna****STOPKLATKA****12** Tomasz Stempowski,
Gdański „powstaniec” w KL Stutthof**WYWIAD****15** **Najważniejszy jest świadek**
rozmowa z Piotrem Tarnowskim,
dyrektorem Muzeum Stutthof**WYDARZYŁO SIĘ W XX WIEKU****18** Filip Gańczak, **Siłą, bez uprzedzenia****22** Patryk Pleskot, **Daleko od Wersalu.**
Pierwsze wybory w II RP**26** Tomasz Ceran, **Piekło w fabryce smalcu****30** Agnieszka Jaczyńska, **Aktion Zamosc****35** Joanna Hytrek-Hryciuk, **Paktując z diabłem****37** Mariusz Żuławnik, **Zakazane święto reakcji****41** Andrzej Zawistowski,
11 listopada III Rzeczypospolitej

Fot. NAC



Fot. ze zbiorów M. CzaplICKiego



Fot. ze zbiorów M. AdamiKwiczA



Fot. P. Życieński

**Z DZIEJÓW OPOZYCJI
I OPORU SPOŁECZNEGO****45** Michał Siedziako, **Od niego zaczął się WiP****ŚLEDZTWO IPN****49** Marek Rabiega, **Hartheim – zamek śmierci****PRAWDA CZASÓW, PRAWDA EKRANU****52** Jerzy Eisler, **Wielki bieg****PRZEMINĘŁO Z PEERELEM****55** Jerzy Kochanowski, **Paszport****Z BRONIĄ W RĘKĘ****57** Michał Mackiewicz, **Mannlicher na dwa takty****ORZEŁ BIAŁY****60** Tomasz Zawistowski,
Orły Kompanii Zamkowej**MIEJSCA Z HISTORIĄ****63** Tomasz Stańczyk,
Pawiak – trzy szanse na sto**EDUKACJA HISTORYCZNA****66** Karolina Wichowska, **Historia, która ma twarz****70** **RECENZJE****73** **BIBLIOTEKA IPN**

Szanowni Czytelnicy!

Wysiadając z czerwonego tramwaju na przystanku Niepodległość, Józef Piłsudski stał się swoistą ikoną restytucji państwa polskiego – choć oczywiście nie jemu jednemu Polska zawdzięcza odzyskanie niezależnego bytu. Data zawieszenia broni na frontach I wojny światowej – 11 listopada 1918 roku – w dużej mierze dzięki jego staraniu weszła do kanonu święt narodowych. Mariusz Żuławnik przypomina jednak, że dzień ten ustawowo stał się Świętem Niepodległości już po śmierci Marszałka, mimo że za jego życia był uroczysto obchodzony. O sile symboliki tej daty świadczy także to, że również w latach okupacji niemieckiej 11 listopada pojawiały się na ulicach polskie flagi, a przy Grobach Nieznanego Żołnierza kwiaty, chociaż groziła za to śmierć. Podobnie było w najmroczniejszych okresach PRL, mimo represji bezpieki i zomowskich pał.

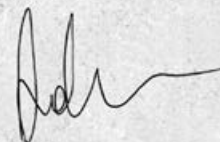
Czy któraś z dat (i która) związanych z upadkiem komunizmu w Polsce i ponownym odzyskaniem niezawisłości ma szansę uzyskać rangę Święta Niepodległości? Rozważania na ten temat prowadzi z kolei Andrzej Zawistowski. Wybory czerwcowe? A może dopiero wyjazd z terytorium RP ostatniego żołnierza radzieckiego, zwanego już rosyjskim?

Nie byłoby jednak drugiego odzyskania niepodległości bez ludzi takich jak działacze Ruchu

„Wolność i Pokój”, a wśród nich Marek Adamkiewicz, którego postać w niniejszym numerze przybliży Michał Siedziako. Listopad to w naszej kulturze miesiąc pamięci o tych, którzy już odeszli. Akurat gdy zamykaliśmy ten numer, zmarł Przemysław Gintrowski – muzyk, bard podziemia, znany z wykonania nieformalnego hymnu Solidarności *Mury*, autor melodii do poezji Zbigniewa Herberta i Jacka Kaczmarskiego, a także licznych soundtracków do filmów fabularnych i seriali. Jeden z jego ostatnich koncertów odbył się w Przystanku Historia, Centrum Edukacyjnym IPN im. Janusza Kurtyki...

Niedawno nakładem IPN ukazała się publikacja *Sprzączki i guziki z orzelkiem ze rdzy*, będąca pokłosiem konkursu historycznego dla młodzieży. Kilkudziesięciu jego laureatów, współtwórców albumu, odwiedziło w październiku miejsca związane ze zbrodnią katyńską – o podtrzymywaniu i kształtowaniu pamięci o ofiarach stalinizmu, o reakcjach młodych ludzi na dotyk historii pisze w relacji z wyjazdu Karolina Wichowska. W numerze listopadowym przypominamy także historie tych, którzy przeszli gehennę niemieckich wysiedleń z Zamojszczyzny (artykuł Agnieszki Jaczyńskiej *Aktion Zamosc*) i obozu w „Szmalcówce” (tekst Tomasa Cerana). Prokurator Marek Rabięga – w ramach nowego działu – odsłania tajniki śledztwa w sprawie zbrodni na zamku Hartheim, a Joanna Hytrek-Hryciuk przedstawia demoniczną i chyba też tragiczną postać Żydówki współpracującej z gestapo. Warto o tym wszystkim pamiętać, zapalając listopadowy znicz czy wywieszając flagę.

Redaktor naczelny
Andrzej Brzozowski



pamięć.pl

Wydawca:
Instytut Pamięi Narodowej
– Komisja Ścigania Zbrodni
przeciwko Narodowi Polskiemu

Rada Programowa:
dr hab. Grzegorz Berendt,
dr hab. Krzysztof Szwagrzyk,
dr Adam Dziurok, dr Krzysztof Kaczmarski,
dr Maciej Korcuć, dr Tomasz Łabuszewski,
dr Agnieszka Łuczak, dr Sławomir Poleszak,
dr Paweł Skubisz, dr Waldemar Wilczewski,
dr Andrzej Zawistowski (przewodniczący),
dr Joanna Żelazko

Rada Redakcyjna:
Dawid Golik, Agnieszka Jaczyńska,
dr Andrzej Krajewski, Jan Olaszek,
Kamila Sachnowska, dr Paweł Sasanka,
Magdalena Semczyszyn,
Emilia Świętochowska, dr Daniel Wicenty

Redakcja:
Andrzej Brzozowski
(redaktor naczelny, tel. (22) 431 83 56;
e-mail: andrzej.brzozowski@ipn.gov.pl)

Maciej Foks, Filip Gańczak, Andrzej Sujka,
Karolina Wichowska

Korekta:
Joanna Wysłowska

Projekt graficzny:
Krzysztof Findziński, Marcin Koc,
Sylwia Szafrąńska

Redakcja techniczna:
Andrzej Broniak

Skład i łamanie:
Sylwia Szafrąńska, Anna Zakrzewska
Siedziba redakcji: ul. Hrubieszowska 6a,
Warszawa

Adres do korespondencji:
ul. Towarowa 28, 00-839 Warszawa
www.ipn.gov.pl

Druk: Drukarnia Edit Sp. z o.o.
ul. Inwalidów Wojennych 14, 05-400 Otwock

Redakcja nie zwraca materiałów
niezamówionych i zastrzega sobie prawo
dokonywania zmian w nadesłanych tekstach.

W NASTĘPNYM NUMERZE MIĘDZY INNYMI:

ZABÓJSTWO PREZYDENTA

16 grudnia 1922 roku Eligiusz Niewiadomski, 53-letni malarz i radykał, zastrzelił prezydenta Gabriela Narutowicza. „Do dziś tak naprawdę nie wiemy, dlaczego Niewiadomski pociągnął za spust” – przekonuje Patryk Pleskot. Autor kreśli skomplikowany portret psychologiczny zabójcy: megalomana, człowieka pełnego skrywanych kompleksów, gwałtownego, aspołecznego, rozchwianego emocjonalnie. Czy Niewiadomski był szaleńcem, jak powtarzano przez długie lata, czy tylko uległ atmosferze nienawiści, jaka towarzyszyła wyborowi i zaprzysiężeniu pierwszego prezydenta RP?



Fot.: AIPN

SPÓR O ENDECJĘ: PROF. FRISZKE I PROF. ŻARYN

Czy warto dziś czerpać z tradycji endeckiej, czy raczej należy się od niej odciąć? Kto bardziej zasłużył się dla polskiej niepodległości: Józef Piłsudski czy Roman Dmowski? Czy narodowa

demokracja ponosi odpowiedzialność za śmierć prezydenta Narutowicza i narastający w latach trzydziestych antysemityzm? Jak oceniać Narodowe Siły Zbrojne? Jakie były losy endeków po II wojnie światowej? Prof. Andrzej Friszke wylicza grzechy polskiego ruchu narodowego, nie odmawiając mu jednak pewnych zasług. Prof. Jan Żaryn eksponuje pozytywne dokonania endecji, przyznając, że ma ona na sumieniu także popełnione błędy.



Fot.: AIPN

■ Od 15 listopada do 16 grudnia w Centralnym Muzeum Włókiennictwa w Łodzi (ul. Piotrkowska 282) oglądać można wystawę „Kalendarium Łodzi 1939–1989. Od czterech kultur do monokultury”.

Jest to przegląd najważniejszych wydarzeń politycznych, kulturalnych i gospodarczych Łodzi od schyłku II RP aż do upadku komunizmu w Polsce. Miasto – jak cały kraj – było wtedy poddawane wpływowi ustrojów totalitarnych i przeżyło znaczące przeobrażenia demograficzne, gospodarcze i społeczne. Autorzy ekspozycji przypomnieli lub wyciągnęli na światło dzienne wiele ważnych postaci i wydarzeń nieobecnych lub mało obecnych w świadomości historycznej Łodzian, np. dotyczących strajków i demonstracji, historii Kościoła i opozycji (z represjami włącznie), dużych katastrof, najpoważniejszych zbrodni kryminalnych. Znaleźli wiele ciekawych, nowych zdjęć. Wystawa, przygotowana przez Oddziałowe Biuro Edukacji Publicznej w Łodzi, składa się z 50 paneli; każdy opowiada o tym, co wydarzyło się w ciągu roku.

■ Od 27 listopada na Rynku Solnym w Zamościu czynna będzie plenerowa wystawa „Sonderlaboratorium SS. Zamojszczyzna – pierwszy obszar osiedleńczy w Generalnym Gubernatorstwie”.

W tym miesiącu przypada 70. rocznica rozpoczęcia Akcji Zamosc – niemieckiej akcji wysiedleńczo-osadniczej na Zamojszczyźnie – wydarzenia, które do dziś dla społeczności Zamościa i regionu jest jednym z najtragiczniejszych wspomnień II wojny światowej.

Wystawa opowiada nie tylko o przygotowaniu, przebiegu, charakterze Akcji Zamosc, ale również o nieplanowanych przez okupanta zjawiskach, które ona wywołała: organizowaniu pomocy dla wysiedlanej ludności Zamojszczyzny czy podjęciu cywilnego i zbrojnego oporu przez strukturę Polskiego Państwa Podziemnego. Integralną częścią tego obrazu jest los niemieckich osadników sprowadzonych na Zamojszczyznę w ramach budowania „bastionu niemieckości”, jak też powojenne próby osądzenia zbrodni niemieckich podjęte przez międzynarodowe i polskie sądownictwo.

Celem wystawy – prezentowanej w języku polskim i angielskim – jest ukazanie szczególnego charakteru wydarzeń na Zamojszczyźnie oraz umiejscowienia ich w kontekście nazistowskich planów budowania w Europie „nowego ładu etnicznego”. Ekspozycja zawiera materiały ikonograficzne pozyskane w rezultacie szerokiej kwerendy w archiwach i muzeach oraz od osób prywatnych. Wykorzystane zostały również relacje uczestników i świadków opisywanych wydarzeń.



■ **Przemysław Gintrowski**, kompozytor i pieśniarz, jeden z barców Solidarności, zmarł 20 października po ciężkiej chorobie. Miał 60 lat. „Jego muzyka miała ogromne, wręcz rewolucyjne, znaczenie dla opozycji demokratycznej” – wspomina polityk Andrzej Celiński.



Fot. A. Zawistowski

Gintrowski to jeden z wykonawców – obok Jacka Kaczmarskiego i Zbigniewa Łapińskiego – piosenki *Mury*, która stała się nieoficjalnym hymnem Solidarności. W filmie Andrzeja Wajdy *Człowiek z żelaza* razem z Krystyną Jandą wykonywał *Balladę o Janku Wiśniewskim*, poświęconą tragicznym wydarzeniom Grudnia 1970 roku. W stanie wojennym koncertował w domach, kościołach, w Muzeum Archidiecezji Warszawskiej. Jego studyjne albumy były nagrywane nieoficjalnie i wydawane w tzw. drugim obiegu. „Za wybitne zasługi na rzecz przemian demokratycznych w Polsce, za osiągnięcia w pracy zawodowej i społecznej” **prezydent Lech Kaczyński odznaczył go w 2006 roku Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski.**

▶ 1 marca tego roku – z okazji Narodowego Dnia Pamięci „Żołnierzy Wyklętych” – Przemysław Gintrowski koncertował w Centrum Edukacyjnym IPN im. Janusza Kurtyki Przystanek Historia



■ Do 17 listopada w Sali Perłowej Muzeum Archidiecezjalnego w Poznaniu (ul. Lubrańskiego 1) czynna jest wystawa fotograficzna „Arcybiskup Antoni Baraniak (1904–1977)”.

Arcybiskup Baraniak, od 1957 roku metropolita poznański, był długoletnim sekretarzem prymasów Polski Augusta Hlonda i Stefana Wyszyńskiego. W 1953 roku został aresztowany przez władze komunistyczne i poddany brutalnemu dwuletniemu śledztwu. Po wyjściu na wolność był permanentnie inwigilowany przez Służbę Bezpieczeństwa. SB charakteryzowała go jako „przeciwnika ustroju socjalistycznego” i „inicjatora szeregu akcji wrogich PRL”. Poznańska wystawa przybliży życie i działalność tej zasłużonej postaci polskiego Kościoła.

oprac. Filip Gańczak

POSTAĆ MIESIĄCA

2 listopada 1932: Józef Beck objął funkcję ministra spraw zagranicznych. Urząd ten sprawował potem we wszystkich kolejnych rządach II RP. Beck, pułkownik artylerii, przez wiele lat był bliskim współpracownikiem Józefa Piłsudskiego. W roku 1930 zajmował krótko stanowisko wicepremiera. Potem został wiceministrem spraw zagranicznych, a wreszcie ministrem. Miał udział w zawarciu przez Polskę układu o nieagresji z ZSRR (1932) i deklaracji o niestosowaniu przemocy z III Rzeszą (1934).



▶ Józef Beck (1894–1944)

Po śmierci Piłsudskiego w 1935 roku praktycznie sam decydował o kierunkach polskiej polityki zagranicznej. Starał się nadal utrzymywać „równą odległość” między Niemcami a Związkiem Radzieckim – co wykluczało związanie się z jednym z potężnych sąsiadów przeciwko drugiemu.

Jesienią 1938 roku Beck doprowadził do włączenia do Polski spornego Zaolzia, przez co był potem oskarżany o współpracę z Hitlerem w rozbiórce

Czechosłowacji. Wkrótce odrzucił jednak sojusz z Niemcami przeciwko Sowietom i niemieckie żądania przyłączenia do Rzeszy Wolnego Miasta Gdańska. „My w Polsce nie znamy pojęcia pokoju za wszelką cenę” – oświadczył 5 maja 1939 roku w słynnym przemówieniu sejmowym. Liczył na dawny sojusz wojskowy z Francją i nowy z Wielką Brytanią. Po niemieckiej napaści na Polskę państwa te wypowiedziały wojnę III Rzeszy, ale nie przyszły naszemu krajowi z pomocą. Beck nie przewidział również agresji sowieckiej 17 września 1939 roku. Tego dnia wraz z rządem ewakuował się do Rumunii, gdzie został internowany. Jesienią 1940 roku bezskutecznie próbował ucieczki. Zmarł na gruźlicę, nie doczekawszy końca wojny. Pozostawił po sobie tom szkiców *Ostatni raport*. ■

14 listopada 1982: Lech Wałęsa powrócił do Gdańska po zwolnieniu z internowania.

Po wprowadzeniu w nocy z 12 na 13 grudnia 1981 roku stanu wojennego przewodniczący NSZZ „Solidarność” został zatrzymany w swoim mieszkaniu na gdańskiej Zaspie i przewieziony do rządowej willi w Chylicach pod Warszawą. Nie został internowany z innymi czołowymi działaczami związku, lecz umieszczono go w odosobnieniu. Najpierw przebywał w pałacu w Otwocku, a od maja 1982 roku w rządowym kompleksie w Arłamowie. Mógł tam korzystać z prasy, telewizji, uprawiać sport czy przyjmować rodzinę i przedstawicieli Kościoła. Początkowo władze liczyły, że Wałęsa zgodzi się stanąć na czele „odnowionej” Solidarności – pozbawionej radykalnych działaczy i pozostającej pod kontrolą władz. Ten jednak nie uległ namowom.

Wolności dla Lecha Wałęsy mocno domagała się międzynarodowa opinia publiczna. Władze PRL przychyliły się do tych żądań, gdy uznały, że fala strajków i ulicznych wystąpień osłabła i już im nie zagraża. „Zwolnienie Wałęsy należy ocenić jako gest gen. Jaruzelskiego wobec kapitalistycznej zagranicy i Kościoła katolickiego – ma ono również służyć uspokojeniu sytuacji wewnętrznej” – oceniała wschodnioniemiecka służba bezpieczeństwa Stasi. Minister spraw wewnętrznych Czesław Kiszczałak nie chciał ponoć, by Wałęsie towarzyszyła aura męczennika.

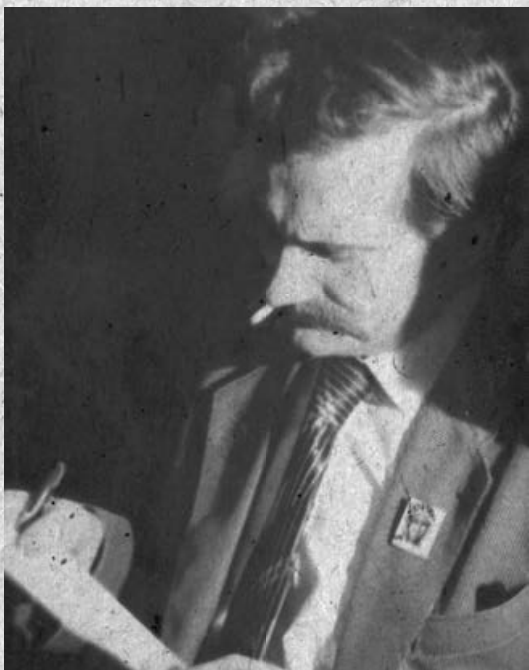
„Były przywódca byłej Solidarności jest obecnie osobą prywatną” – ogłosiła Polska Agencja Prasowa. W rzeczywistości jednak zwolniony z internowania Wałęsa pozostawał dla milionów Polaków symbolem walki z komunizmem. Gdy po niemal roku nieobecności wrócił do domu, entuzjastycznie witały go tłumy gdańszczan. ■



22 listopada 1982: Samolot An-24 Polskich Linii Lotniczych LOT został uprowadzony do Berlina Zachodniego.

Maszyna o oznaczeniu SP-LTK odbywała standardowy lot pasażerski na trasie Wrocław-Warszawa. Na pokładzie było m.in. trzech funkcjonariuszy, którzy mieli zabezpieczać lot. Jeden z nich, 22-letni Piotr Winogrodzki, wyjął broń i nakazał pilotowi obrać kurs na Berlin. „W Polsce nie ma przyszłości. [...] na mieszkanie trzeba czekać Bóg wie ile lat” – tłumaczył później w wywiadzie dla tygodnika „Der Spiegel”. Nad terytorium NRD myśliwce wschodnioniemieckie i sowiecki MIG bezskutecznie próbowały zmusić polski samolot do lądowania. An-24 bezpiecznie dotarł na amerykańskie lotnisko wojskowe Tempelhof w Berlinie Zachodnim. Czterech pasażerów wykorzystało okazję, prosząc o azyl polityczny. Winogrodzki miał mniej szczęścia. Berliński sąd skazał go na pięć lat więzienia, a w PRL członkowie rodziny porwacza zostali pozbawieni pracy.

W latach 1980–1982 w Berlinie Zachodnim wylądowało aż siedem uprowadzonych polskich samolotów pasażerskich – tak dużo, że berlińczycy zaczęli rozwijać nazwę LOT jako „Landet ooch in Tempelhof” (ląduje często na Tempelhof). Desperackie ucieczki były wynikiem sytuacji polityczno-gospodarczej PRL i surowej polityki paszportowej władz. ■



▶ Lech Wałęsa

27/28 listopada 1942: Na Zamojszczyźnie rozpoczęły się masowe wywózki Polaków.

„Niemcy wybrali okres zimy dla przymusowego wysiedlania chłopów z ich domów i dla wypędzania ich z ziemi, którą od wielu generacji uprawiali. [...] Doprowadzone do rozpaczki ofiary starają się bronić. Chłopi kładą ogień pod swe domy i zabijają swe bydło, by następnie uciec w pola. [...] Niemieckie władze wojskowe łamią te rozpaczliwe próby samoobrony z najdalej posuniętą brutalnością, powiększając w ten sposób liczbę ofiar” – alarmował emigracyjny rząd gen. Władysława Sikorskiego. Akcja na Zamojszczyźnie realizowana była w ramach tzw. Generalnego Planu Wschodniego, który przewidywał wysiedlenie i eksterminację milionów Słowian z Europy Środkowo-Wschodniej oraz sprowadzenie w ich miejsce niemieckich osadników. Polaków zwykle umieszczano w obozach przejściowych, a następnie wywożono do obozów koncentracyjnych lub na roboty do Rzeszy. Ok. 10 tys. dzieci z wysiedlanych rodzin zmarło w obozach i w czasie transportu – z głodu, zimna, braku opieki. Ok. 4,5 tys. dzieci „o cechach nordyckich” odebrano rodzicom i przeznaczono do germanizacji. Latem 1943 roku, wobec gwałtownego oporu polskiego podziemia i niekorzystnej sytuacji na froncie wschodnim, Niemcy wstrzymali akcję wysiedleńczą. Do tego czasu wypędzili z domów ponad 100 tys. Polaków z Zamojszczyzny, w tym ok. 30 tys. dzieci. Wydarzenia te stały się jednym z symboli okrucieństwa niemieckiej okupacji. ■



► Wysiedleńcy z powiatu biłgorajskiego

Fot. NAC

28 listopada 1937: Józef Stalin zatwierdził wniosek o rozwiązanie Komunistycznej Partii Polski.

KPP istniała od 1918 roku, początkowo jako Komunistyczna Partia Robotnicza Polski. W czasie wojny polsko-bolszewickiej jej działacze stanęli po stronie Rosji Sowieckiej. Także później dążyli do likwidacji państwa polskiego i włączenia jego terenów do ZSRR na drodze rewolucji. KPP należała do Międzynarodówki Komunistycznej (Komintern), a *de facto* środki finansowe i dyrektywy otrzymywała od władz sowieckich. W II RP działała nielegalnie, ale niekiedy w wyborach do Sejmu nielicznym komunistom startującym pod szyldem innych ugrupowań udawało się zdobyć mandaty poselskie.

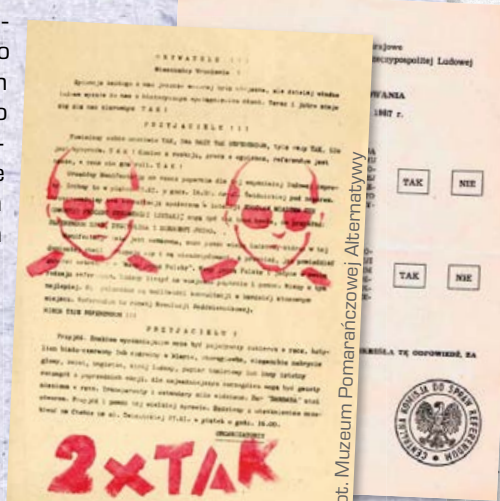
Polskie służby specjalne intensywnie rozpracowywały KPP i zdołały wprowadzić do niej swoją agenturę. To właśnie stało się dla Kominternu pretekstem do wniosku o rozwiązanie partii. W rzeczywistości za decyzją stał Stalin. Postanowił zlikwidować polskich komunistów, bo byli powiązani z tzw. starymi bolszewikami, którym nie ufał. Niemal wszyscy działacze KPP przebywający w ZSRR zostali uwięzieni, zesłani do łagrów lub rozstrzelani. Formalnie KPP została rozwiązana w sierpniu 1938 roku. W czasie II wojny światowej w jej miejsce powstała Polska Partia Robotnicza. ■

► Kamień upamiętniający miejsce utworzenia KPP



Fot. NAC

29 listopada 1987: W PRL odbyło się referendum w sprawie reformy gospodarczej, zakończone porażką rządzących komunistów. „Tamto referendum było rozpaczliwą próbą ratowania socjalizmu” – ocenił po latach prof. Krzysztof Skotnicki. W obliczu coraz wyraźniejszej zapaści gospodarczej sytuację miał uzdrowić plan naprawczy przedstawiany jako „drugi etap reformy”. Organizując powszechne głosowanie w tej sprawie, ekipa gen. Wojciecha Jaruzelskiego postanowiła poszukać społecznego poparcia ponad głowami wciąż nieuznawanej opozycji. Pytania postawione w referendum były zawile i bardzo ogólnikowe, tak by nawet przeciwnik rządu mógł odpowiedzieć na nie twierdząco. Pierwsze dotyczyło zgody na realizację „programu radykalnego uzdrowienia gospodarki”, który miał przynieść poprawę warunków życia, ale po dwu-, trzyletnim okresie wyrzeczeń. W drugim pytaniu chodziło o wsparcie „polskiego modelu głębokiej demokratyzacji życia publicznego” – cokolwiek miało to znaczyć. Opozycja zachęcała do bojkotu referendum. „Chcesz głodować, idź głosować” – nawoływała przewrotnie Konfederacja Polski Niepodległej. Do pozostania w domach wezwał też przywódca Solidarności Lech Wałęsa. Według oficjalnych danych, frekwencja wyniosła 67,3 proc. i do czasu kolejnych wyborów do rad narodowych była najniższa w historii PRL. Co prawda, około dwóch trzecich głosujących pozytywnie odpowiedziało na oba pytania. Jednak władza wysoko postawiła sobie poprzeczkę. By referendum było wiążące, głosować na „tak” musiała ponad połowa wszystkich uprawnionych Polaków, a nie tylko tych, którzy pójdą do lokali. Ten próg nie został przekroczony. Fiasko referendum ośmieliło opozycję, a władzy uświadomiło, że konieczne będą realne ustępstwa na rzecz Solidarności. ■



► Plakat prześmiewający referendum i karta do głosowania

Fot. Muzeum Pomananczowej Alternatywy

porządzała zamaskowanymi składami broni, amunicji i dynamitu, więzieniem, szpitalem, stacją telefonów oraz lochami betonowymi

20 listopada 1937 roku

Paryska centrala spiskowców rozporządzała zamaskowanymi składami broni, amunicji i dynamitu, więzieniem podziemnym, szpitalem, stacją telefonów oraz lochami betonowymi – taki sensacyjny tytuł zamieścił na pierwszej stronie „Kielecki Express Codzienny” nr 280 z 20 listopada 1937 roku. Czytelnicy dziennika mogli się dowiedzieć z lektury tekstu, że za aferą, która odbiła się szerokim echem we Francji i poza jej granicami, stało tajemnicze spryszczenie pod nazwą „Białe Kaptury”.

Paryska centrala spiskowców zamaskowanymi składami broni, amunicji i dynamitu, więzieniem, szpitalem, stacją telefonów oraz lochami betonowymi

Miasto legło w gruzach wiktak trzęsienia ziemi

NEW DELHI. Trzęsienie domów. Ośmiu w ludzkich... Ulice w wielo mieszalną... calowicie anealone gruzami led głowa.

Dwie wielkie demokracje zacieśnij więzy współpracy

BERLIN. Wczoraj wieczorem lord Halifax w rozmowach z... Lord Halifax spędził powien... w ambasadzie brytyjskiej...

TYGODNIK POLSKI MATERIAŁY OBOZOWE Rok I (III) Budapeszt, niedziela 28 listopada 1943 Nr 19 (46)

Artykuł rządu francuskiego na posiedzeniu Izby Deputowanych

Wartości czynu listopadowego Nie trudno wykażać jaką olbrzymią rolę odegrało w procesie odrodzenia Państwa Polskiego trwające od stuletdziesięciu lat, bezmała od Konfederacji barskiej, pielęgnowanie w narodzie polskim woli do samodzielnego, niepodległego bytu.

28 listopada 1943 roku „Nietrudno wykażać, jak olbrzymią rolę odegrało w procesie odrodzenia Państwa Polskiego trwające od kilkudziesięciu lat, bez mała od Konfederacji Barskiej, pielęgnowanie w narodzie polskim woli do samodzielnego, niepodległego bytu” – pisano na łamach „Tygodnika Polskiego” nr 19 z 28 listopada 1943 roku.

nieśmiertelność dla siebie

Koszalin, Niedziela 18 listopada 1945 r.

Z radością powitalibyśmy utworzenie Ministerstwa Ziem Zachodnich

Przedstawicielstwo Ministerstwa Ziem Zachodnich... Z radością powitalibyśmy utworzenie Ministerstwa Ziem Zachodnich (właściwie powinno być Ministerstwa Ziem Odzyskanych). Sygnowane przez Urząd Informacji i Propagandy w Koszalinie pismo „z nadziejami” wymieniło zadania, jakie stały przed nową instytucją: poprawa pracy aparatu administracyjnego...

18 listopada 1945 roku

Powstanie resortu, który miał się zająć całością spraw związanych z tzw. Ziemiemi Odzyskanymi, w tym scaleniem ich z resztą powojennej, „okrojonej” Polski, przyjęto w prasie Pomorza Zachodniego z entuzjazmem.

7-8 listopada 1987 roku

Obchody kolejnych rocznicy rewolucji październikowej odbył się szerokim echem w prasie PRL. Nie inaczej było podczas świętowania siedemdziesięciolecia rewolucji.

W „Głosie Pomorza” nr 261 z 7-8 listopada 1987 roku opublikowano telegram z życzeniami od Wojciecha Jaruzelskiego i Zbigniewa Messnera dla przywódcy ZSRR Michaiła Gorbaczowa w tonacji komunistycznej propagandy, jak za jej „najlepszych” czasów: „Wielki Październik otworzył nową epokę o przemysłowym znaczeniu w dziejach świata. Rewolucja socjalistyczna dokonana przez masy pracujące Rosji pod przywództwem wielkiego Lenina była ucieleśnieniem odwiecznych dążeń ludzkości do godnego życia w warunkach sprawiedliwości, bez wyzysku, narodowej i rasowej dyskryminacji”.

Grudniowy bimbler

Maciej Rosalak

1410 – datę bitwy pod Grunwaldem powtarzano w stanie wojennym jako przepis na bimbler: 1 kg cukru, 4 litry wody, 10 dkg drożdży...



Rys. A. Szafrański

Stan wojenny przypominał starszym okupację z powodu nagłej napaści i opresji, godziny policyjnej oraz uzbrojonych patroli na ulicach. Ale charakterystyczną cechą łączącą lata czterdzieste oraz lata osiemdziesiąte XX wieku był też szmugiel mięsa ze wsi do miast oraz pędzenie bimbru. Właśnie o bimblerze będzie to wspomnienie.

Jakoś tak jesienią 1982 roku złożyliśmy się we trzech i kupiliśmy pół cielaka w Zalesiu pod Warszawą. Na umówioną metę pojechał sąsiad Henio, który miał samochód, oraz moja żona, najbardziej z nas obrotna, która całą operacją kierowała. Wracali, omijając czatujących na rogatkach zomowców. Ja w tym czasie nastawiłem w kuchni bimbrownicę i przeglądałem najświeższą bibułę NSZZ „Solidarność” Regionu Mazowsze, którą przyniósł mój przyjaciel Maciek Łukasiewicz – wówczas wyrzucony z „Kurieru Polskiego”, po latach współtwórca i redaktor naczelny „Rzeczpospolitej”. Jego żona Lena zabrała na spacer córeczki – naszą Karolinę i ich Madzię oraz Kosię.

Kłopoty z Kosią – ów dzień przypominam sobie zawsze, kiedy oglądam

Kłopoty z Connie w Pulp fiction Quentin Tarantino. Oto wszystko rozwija się pomyślnie: na podłodze leży łup, sprawiedliwie dzielony na trzy części, raczymy się pierwszym, 75-procentowym wytopem, rozmawiamy o najnowszych wiadomościach, słuchamy kasety Jacka Kaczmarskiego przemyczonej z Zachodu, a tu wpada Lena i krzyczy zrozpaczona, że zaginęła Kosią. Dziewczynka miała wtedy trzy lata. W coraz gęstszej mgle szukamy jej wszyscy, minuty zamieniają się w kwadransy, niepokój rośnie. Wreszcie zgłaszamy zaginięcie dziecka na urzysnowskim komisariacie MO, licząc, że ktoś je znajdzie i tam odprowadzi. I rzeczywiście: po półgodzinie wkracza do mojego mieszkania milicjant z Kosią. Nie mógł nie zauważyć cielaka na podłodze ani kartek z charakterystycznym liternictwem Solidarności, ani kaset, ani wesoło bulgoczącej aparatury. Za wszystko groziło kolegium i drańskie kary z utratą mieszkania włącznie. Udał, że niczego nie widzi i bardzo grzecznie się pożegnał. Zwyczajny chłopak z miejscowego posterunku, nie żaden zomowiec...

Inną przygodę z bimbrem w tle przeżyłem latem tego samego roku. Wydarzenia rozwijały się, jakby ktoś układał modelowy scenariusz pod tytułem: „Jeden dzień zwykłego Polaka w stanie wojennym”. Było tam i spotkanie z dawno niewidzianą siostrą, i teatr z owacją dla bojkotujących telewizję aktorów, i palenie zniczy tworzących nielegalny krzyż na pl. Zwycięstwa. Kiedy odprowadziłem siostrę do domu przy Chełmskiej, akurat wrócił też szwagier, a pod burką coś chował. Była to, jakżeby inaczej, flaszką bimbrową, który wytopił ktoś świetnie znający się na rzeczy. Toteż nie minęły trzy kwadransy, a osusziliśmy butelkę. Była już noc, chcieli, abym u nich przenocował, ale ponieważ miałem przepustkę wystawioną w Wydawnictwie „Epoka” – a mimo że chodziłem nadal z laską po zimowym złamaniu nogi, czułem się znakomicie – poszedłem na pobliski postój taksówek.

Żadna się nie pojawiała. Aż tu z piskiem opon podjechał zielony fiat 125p, ale nie wychylił się z niego taksówkarz, tylko wyskoczył dziarski chorąży „ludowego” Wojska Polskiego i z pyskiem na mnie, co ja tu robię. „Czekam na taksówkę” – odpowiedziałem zgodnie z prawdą,

co go strasznie rozeźliło. Kazał mi wejść do wozu, w którym obok kierowcy siedział jeszcze jakiś zdruzgotany pułkownik. Fiat ruszył w kierunku Śródmieścia, chociaż oznajmiłem, że mieszkam w przeciwnym kierunku – na Ursynowie. Choraży sprawdził moją przepustkę, uznał, że jest służbową i nie mam prawa „chodzić sobie jak gdyby nigdy nic do rodziny podczas godziny milicyjnej i pewnie jeszcze popijać ze szwagrem”. Ja na to, że tu nic takiego nie napisano, a ja jestem kompletnie trzeźwy. I wtedy pułkownik, który z początku powiedział nawet życzliwie chorążemu: „A zostaw go w cholewę”, odwrócił ku mnie pooraną zmarszczkami twarz i już mało sympatycznie zapytał: „Mamy to sprawdzić?”

Szybko przypomniałem sobie, ile to promili musiałem wprowadzić do krwobiegu przy szklance pogadance z Marianem, i siłą się na obojętność – nadal nie czując zresztą wpływu alkoholu – podziękowałem za taki przejaw troski. Wyszliśmy na Litewskiej, skąd do domu miałem 10 kilometrów przynajmniej. I szedłem pustymi ulicami, coraz bardziej wściekły i już podniecony trunkiem, nie czując bólu nogi i wymachując wojowniczo laską. Kto chce, niech wierzy lub nie wierzy, ale wszedłem wtedy kolejno w sam środek dwóch patroli w hełmach i z kałaszkami, a zomowcy w milczeniu ustępowali mi z drogi. Coś w tych scenach było z *Księgi dżungli*, kiedy to Mowgli poczuł wolę Bożą i biegł przez las, nie zważając na kłębawiska węży, a one uciekały spod jego stóp. Taksówkę złapałem koło Madalińskiego, po jakichś dwóch kilometrach.

Trzecia alkoholowa przygoda przydarzyła mi się znów jesienią. Nie było w niej wprawdzie grama bimbru, wystąpił jednak pan Jan Himilsbach. Otóż spotkaliśmy się z kolegami w knajpie SDP przy Foksal, gdzie pan Himilsbach, jak to on, przesiadał się od stolika do stolika, popijał na koszt biesiadników i pożyczal od nich pieniądze „na taksówkę”. Kiedy po jakimś czasie wyszedłem z lokalu, ujrzałem go trzymającego się z trudem latarni i otoczonego przez zgraję wyrostków. Zraniony dzik i młode

wilki. Bronił go jakiś mężczyzna, któremu pospieszyłem na pomoc i sprowadziłem taksówkę. Wieźliśmy następnie pana Janka pod kolejne wskazywane przez niego adresy, z których wszystkie okazały się mylne. Pan Janek chciał jeszcze pić, i tyle. W końcu przygodny znajomy, który oznajmił, że ma wobec niego „dług wdzięczności”, wyciągnął mu dowód osobisty z kieszeni i sprawdził adres. I tak dotarliśmy na Górnosłaską, wciągnęliśmy Himilsbacha do windy, gdzie udawał spitego w trupa, i zapukaliśmy do drzwi. Otworzyła sympatyczna pani o smutnych oczach, o nic nie pytała, posadziła męża na wersalce, a ten w mig wytrzeźwiały, wyciągnął z kieszeni plik zmiętych „pożyczonych” banknotów i wyrzucił swym ochrypłym głosem: „Patrz, Basica, ile forsy zarobiłem”.

Mężczyzna dziękował mi za pomoc i zaprosił „na jednego” do restauracji „Wieżyca”, która mieściła się w rogatece mostu Poniatowskiego. Chętnie przyjąłem zaproszenie po niecodziennych przeżyciach, nie wiedząc, że najdziwniejsze jeszcze przede mną. Na kilku piętrach w małych pomieszczeniach połączonych wąskimi schodami popijało tam wielu młodych mężczyzn, których zawód po dłuższej chwili rozpoznałem bez najmniejszej wątpliwości. To byli tajniacy i BOR-owcy, którzy zapewne zeszli akurat ze zmiany w pobliskiej siedzibie KC PZPR (dziś – Centrum Bankowo-Finansowe). Akurat znajomy gdzieś się zawieruszył, kiedy na jednym z wyższych pięter wybuchła straszna biatyka i po pewnym czasie pojawiła się mundurowa milicja. „Co ja tu robię?” – pomyślałem sobie i ruszyłem z samego dołu na górę do wyjścia.

Na schodach mijałem milicjantów i tajniaków, którzy w kompletnej ciszy wzajemnie się spisywali. Mówiłem „przepraszam”, a oni ustępowali z drogi. Piętro po piętrze mijałem te grupki spisujących się przedstawicieli służb bezpieczeństwa ludowego państwa, sam nie będąc przez nikogo zatrzymywany ani nawet o nic pytany. Należałem jakby do innej rzeczywistości, byłem z innego filmu. Podeszedłem w końcu do

niepilnowanych drzwi, odsunąłem ciężką sztabę i wyszedłem na zewnątrz – wprost w reflektory kilku radiowozów. Spokojnie (choć wewnętrznie spięty) przedefilowałem przed nimi i poszedłem hen, aż na Emilii Plater, skąd pojechałem nocnym autobusem do domu.

„Wszystko ci rano opowiem, ale nie wiem, czy uwierzysz” – powiedziałem żonie. Chyba miałem coś takiego w głowie, że o nic nie pytała.

Bimber pędzono wtedy po domach z kilku powodów: po pierwsze – bo na kartki przysługiwała tylko butelka co miesiąc, po drugie – aby zrobić na przykład władzy, i wreszcie po trzecie – dlatego że państwowa wódka – Vistula oraz Baltic – śmierdziała karbidem, a powodowała nawet nie kaca, ale ciężkie zatrucie organizmu. Dobra bimbrownica, złożona z czajnika bez pokrywy, rurek prowadzących opary do deflegmatora i chłodnicy (do której inna rurka dostarczała zimną wodę z kranu), dawała świetny wytop, który po podwójnym przepuszczeniu dawał czysty, zdrowy i mocny alkohol. Zacier nastawiony wedle „grunwaldzkiego” przepisu trzymano przynajmniej dwa tygodnie w gąsiorach.

Urządzenia pojawiły się u prywaciarzy od razu po wprowadzeniu kartek na wódkę; zestawy „małego chemika” można też było dostać w składnicy harcerskiej. Drożdże sprzedawały kilogramami liczne sklepy, a koło kas pojawiły się, nie wiedzieć dlaczego, różne smaki aromatów do ciast: whisky, brandy, sopllica itd. Kłopot był z cukrem. Żona napisała jednak do swojej siostry w Paryżu, że chce robić przetwory, i rychło przez Pewex otrzymaliśmy wór cukru od troskliwej i solidarnej siostruni, abstynentki *notabene*.

Od połowy lat osiemdziesiątych, kiedy dystrybucja alkoholu wróciła do normy, mało komu już chciało się nastawiać gąsior i uruchamiać aparaturę. Moja leżała na szafie, tak na wszelki wypadek. Wyrzuciłem ją na śmietnik w 1991 roku, kiedy upadł pucz Janajewa. ❀

Od połowy lat siedemdziesiątych rozmowy operacyjne były jedną z podstawowych metod pracy Służby Bezpieczeństwa. W tym czasie bowiem ważniejsza od represji stała się profilaktyka – do karania uciekano się w ostateczności. Ekipa Gierka zdecydowała się na złagodzenie kursu wobec opozycji, żeby utrzymać dobre relacje z państwami zachodnimi, które udzielały PRL kredytów.

Rozmowa operacyjna

Rozmowy operacyjne wymagały osobistego spotkania funkcjonariusza (funkcjonariuszy) z figurantem (czyli osobą, którą interesowała się SB). Służyły one zdobywaniu przydatnych operacyjnie informacji oraz pozwalały na oddziaływanie na postawy rozmówców (w tym również na manipulowanie nimi). Ich dodatkową zaletą było oswojenie interlokutorów z praktyką kontaktów z esbekami. Zdarzało się, że spotkania takie prowadziły do stałej współpracy, którą niejednokrotnie poprzedzało nawiązanie tzw. dialogu operacyjnego, czyli prowadzenie kolejnych rozmów z figurantem.

Według badającego pracę operacyjną SB Filipa Musiała (zob. *Podręcznik bezpieczeństwa. Teoria pracy operacyjnej Służby Bezpieczeństwa w świetle wydawnictw resortowych Ministerstwa Spraw Wewnętrznych (1970–1989)*, Kraków 2007, s. 221–224), rozmowy operacyjne można podzielić na kilka typów: 1) o charakterze poznawczym (sondazowe, wyjaśniające, poznawcze), 2) o charakterze profilaktycznym (uświadamiające, informacyjne, propagandowe, ostrzegawcze), 3) o charakterze manipulacyjnym (inspiracyjne, dezinformacyjne, dezintegracyjne), 4) paszportowe, 5) pozyskaniowe (czyli werbunkowe – G.M.), 6) o charakterze instruktażowym, 7) o charakterze procesowym (śledczym).

Oczywiście, każda rozmowa operacyjna miała na celu uzyskanie możliwie największych efektów. Wymagała więc od funkcjonariusza

(funkcjonariuszy) jak najlepszego przygotowania. Dla esbeków, zamierzających dobrać odpowiednią do swych rozmówców taktykę, niezmiernie ważna była dokładna wiedza na ich temat. Sposób przeprowadzenia rozmowy musiał więc zostać wcześniej dobrze przemyślany. Interesowano się zatem zarówno życiem zawodowym, jak i prywatnym (np. relacjami rodzinnymi, towarzyskimi) potencjalnych rozmówców. Pozwalało to z jednej strony na przekonanie interlokutorów o rzekomej wszechwiedzy bezpieki, z drugiej zaś – na ewentualne wykorzystanie ich słabych punktów (np. próżności, zazdrości). Przed trudniejszymi, ważniejszymi rozmowami operacyjnymi sporządzano odpowiednie plany, w których precyzowano m.in. cel i taktykę rozmowy, termin i miejsce jej przeprowadzenia czy legendę – tzn. pretekst, pod którym miało zostać zaaranżowane spotkanie.

W wytycznych dla funkcjonariuszy Służby Bezpieczeństwa przyjęto, że rozmowy operacyjne mają być dzielone na trzy etapy. Pierwszy, wstępny, miał służyć nawiązaniu kontaktu z rozmówcą. Potem następowała część zasadnicza, służąca realizacji zakładanego celu (lub celów) spotkania. Z kolei zakończenie rozmowy operacyjnej służyć miało często podtrzymaniu kontaktów; stąd np. pobieranie zobowiązania do zachowania w tajemnicy faktu spotkania i/lub jego przebiegu.

Podobnie jak inne przedsięwzięcia operacyjne, rozmowy operacyjne wymagały zgody przełożonych.

Były również dokumentowane w formie pisemnej, np. w postaci notatek służbowych. Niekiedy były także nagrywane, oczywiście bez wiedzy rozmówcy; wtedy z ich przebiegu sporządzano stenogram.

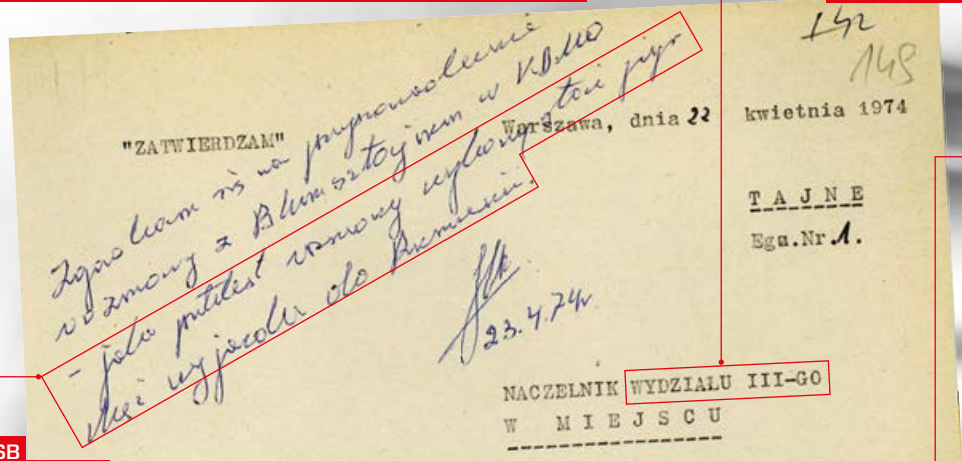
Obok przykład wniosku o wyrażenie zgody na przeprowadzenie rozmów operacyjnych z trzema działaczami opozycji: Sewerynem Blumsztajnem, Eugeniuszem Klocem i Sławomirem Kretkowskim. Wszystkich zaliczono (zresztą jak najbardziej słusznie) do grupy byłych „komandosów”, jak określano środowisko skupione wokół Jacka Kuronia i Karola Modzelewskiego, działające w drugiej połowie lat sześćdziesiątych w Warszawie. Planowane z nimi rozmowy operacyjne miały na celu wysondowanie ich zamiarów na przyszłość i dezintegrację środowiska, do którego należeli, poprzez wzbudzenie podejrzeń u dwóch pierwszych (a zapewne za ich pośrednictwem także u innych osób z ich kręgu) względem Kretkowskiego.

Trudno dzisiaj ocenić, na ile plany te udało się esbekom zrealizować. W każdym razie Kretkowski, Kloc i Blumsztajn angażowali się w działalność opozycyjną do końca lat osiemdziesiątych, a w drugiej połowie lat siedemdziesiątych współpracowali z Komitetem Obrony Robotników. 🌹

Grzegorz Majchrzak – historyk, pracownik BEP IPN, zajmuje się m.in. badaniem dziejów aparatu represji i opozycji demokratycznej

Rozmowy operacyjne przeprowadzono często pod różnymi pretekstami, tzw. legendami (jak w tym przypadku – załatwiania spraw paszportowych), które miały ukryć prawdziwe zainteresowania SB

Jednostka SB odpowiedzialna na szczeblu wojewódzkim za walkę z „działalnością antypaństwową w kraju”



W żargonie SB – osoby, wobec których podejmowano działania operacyjne

Zespół pracowników wydziału III KSMO prowadzący działania operacyjne wobec młodzieży akademickiej i uczestników wydarzeń Marca '68

Działacz opozycyjny związany z grupą tzw. komandosów, współorganizator manifestacji, drukarz plakatów i ulotek; uczestnik wieców studenckich w Warszawie w marcu 1968 roku – relegowany z Uniwersytetu Warszawskiego i wcielony do wojska, skazany na 1,5 roku więzienia w pierwszym procesie komandosów (w 1969 roku zwolniony na mocy amnestii); w 1972 roku zwolniony z pracy podczas pobytu w szpitalu po kolejnym pobiciu przez funkcjonariuszy SB

W 1965 roku aresztowany za kolportaż listu otwartego Jacka Kuronia i Karola Modzelewskiego do członków Podstawowej Organizacji Partyjnej PZPR i Związku Młodzieży Socjalistycznej przy Uniwersytecie Warszawskim; w 1966 roku zawieszony w prawach studenta za udział w zorganizowanym przez ZMS na Wydziale Historycznym UW spotkaniu z Leszkiem Kołakowskim i Krzysztofem Pomianem z okazji dziesiątej rocznicy Października '56; uczestnik protestów i akcji zbierania podpisów pod petycją do Sejmu PRL w sprawie przywrócenia przedstawienia *Dziadów* w reżyserii Kazimierza Dejmka; współorganizator wiecu na UW 8 marca 1968 roku – przed wiecem aresztowany, relegowany z uczelni, skazany na 2 lata więzienia (w 1969 roku zwolniony na mocy amnestii); od 1970 roku rozpracowywany przez Służbę Bezpieczeństwa w ramach sprawy pod kryptonimem „Plaż”

Wniosek
O wyrażenie zgody na przeprowadzenie rozmów operacyjnych z figurantami spraw prowadzonych przez grupę IVa – Sławomirem Kretkowskim, BLUMSZTAJN Sewerynem, i Kłoc Eugeniuszem.

UZASADNIENIE
Wszyscy wymienieni należą do grupy b. „Komandosów”. Mają aktualne powiązania z całym tym środowiskiem. Rozmowy z w/w to jest Blumsztajnem i Kłocem dotyczyć będą ich zamiarów i planów na przyszłość. Wykorzystany zostanie przy tym pomocniczy element przy podstawie do wezwania jak ubiegania się o wyjazd za granicę.
W przypadku Kretkowskiego wezwać go i nie przeprowadzać z nim żadnej rozmowy. W trakcie rozmowy z Kłocem i Blumsztajnem dawać do zrozumienia, że Kretkowski współpracuje z organami SB dzięki czemu otrzymał dobrą posadę itp.
Celem rozmowy będzie wysondowanie rozmówców co do działalności środowiska a jednocześnie wprowadzenie nieufoności i podejrzliwości względem siebie.
Do KSMO wezwać Kłoca i Kretkowskiego a Blumsztajna do KDMO Żoliborz. Termin rozmów do 29.04.1974 r.

W 1968 roku uczestnik nieformalnej grupy dyskusyjnej związanej z tzw. komandosami oraz akcji ulotkowych po agresji państw Układu Warszawskiego na Czechosłowację; w latach 1973–1981 pracownik Instytutu Książki i Czytelnictwa Biblioteki Narodowej; w latach 1969–1984 rozpracowywany przez SB w ramach sprawy pod kryptonimem „Kłosz”.

Wyk. 3-egz.
Druk AB/opr.MK/IVa.
nr. masz.1200/74.

Insp. W. Kuleta III.
/ppor. Kuleta

Komandosami nazywano środowisko studentów skupione wokół Jacka Kuronia i Karola Modzelewskiego, działające w drugiej połowie lat sześćdziesiątych XX wieku; nazwa pochodzi od spontanicznego „opanowywania” przez nich wykładów otwartych i sesji rocznicowych na Uniwersytecie Warszawskim w celu doprowadzania do dyskusji na tematy niewygodne dla władz PRL

Komenda Stołeczna Milicji Obywatelskiej

Marian Kuleta, funkcjonariusz Służby Bezpieczeństwa (1969–1990), w latach 1972–1974 inspektor Wydziału III KSMO

Komenda Dzielnicowa Milicji Obywatelskiej

Gdański „powstaniec” w KL Stutthof

Tomasz Stempowski

Sześciu mężczyzn pilnowanych przez żołnierzy SS-Heimwehr „Danzig” stoi z podniesionymi rękami przed oknem salonu fryzjerskiego dla kobiet Brunona Schotta przy ul. Oliwskiej 6/7 (Olivär Str.) w Gdańsku. Zgromadzono ich tam, gdyż w tym samym budynku mieścił się posterunek VII rewiru policji (informuje o tym widoczna po lewej stronie tablica z godłem Wolnego Miasta Gdańska). Mężczyźni to „polscy partyzanci” zatrzymani w Nowym Porcie („In Neufahrwasser gefasste poln. Frantireure”). Tak przynajmniej głosi widniejący w dolnej części zdjęcia podpis.



• Aresztowani w Gdańsku
1 września 1939 roku;
zdjęcie pochodzi z serii
opublikowanej przez
Hansa Sönnkego

Foto-Sönnke
M 110

In Neufahrwasser gefasste poln. Frantireure

Słowo *Franktireure* pierwotnie odnosiło się do oddziałów francuskich ochotników walczących w wojnie francusko-niemieckiej w latach 1870–1871. Później, w czasie pierwszej wojny światowej, stało się synonimem partyzantów. W książce Artura Bassareka *Danzigs Befreiung. Ein Tatsachenbericht mit Bildern*, wydanej w Gdańsku w 1939 roku, w której również zreprodukowano zdjęcie przed salonu fryzjerskiego, aresztowanych mężczyzn nazwano powstańcami (*Insurgenten*). Oba słowa miały w niemieckiej propagandzie wydźwięk pejoratywny i wyrażały zaszczepiane żołnierzom przekonanie o zagrożeniu zdradzieckimi atakami ze strony polskiej i żydowskiej ludności cywilnej. W pierwszej połowie XX wieku mit walki z partyzantami był głęboko zakorzeniony w świadomości niemieckich wojskowych. Miało to fatalne konsekwencje w czasie kampanii wrześniowej, w trakcie której Niemcy żołnierze rozstrzelali tysiące niewinnych osób.

Podpis pod nieco innym ujęciem przedstawiającym zatrzymanych w Gdańsku „powstańców”, opublikowanym w albumie *Bilddokumente des Feldzugs in Polen*, wyraża kłamliwie właśnie te niemieckie lęki: „Złapani na gorącym uczynku. Polscy cywile, którzy strzelali z ukrycia do niemieckich żołnierzy” (s. 42). Autorem fotografii jest Hans Sönneke, który prowadził laboratorium i sklep fotograficzny przy najbardziej reprezentacyjnej ulicy Gdańska – Długim Targu 31. Robił także zdjęcia dla prasy oraz wydawał pocztówki z widokami zabytków miasta i nadmorskich plaż. We wrześniu 1939 roku pełnił rolę kogoś w rodzaju nadwornego fotografa NSDAP. Zajął się wtedy fotografią reporterską, można nawet powiedzieć – wojenną. Miał 33 lata i – jak twierdził – bardzo dużo pracy. Aby podolać obowiązkowi, zatrudnił dwóch asystentów: Eichlera i Oswalda Grube.

W trakcie przesłuchania w 1976 roku Sönneke wyjaśnił, że 30 sierpnia

1939 roku dostał polecenie zameldowania się następnego dnia wczesnym rankiem. Gdy przybył na miejsce zbiórki, włączono go do propagandowej jednostki Eberhardt. Służył w niej do 19 września. Po zwolnieniu prowadził do 1942 roku swój zakład fotograficzny. Później został wcielony do Wehrmachtu. Po wojnie osiadł w Lubecie.

Swoje wrześniowe zdjęcia opublikował w albumie *Befreiung Danzigs (Wyzwolenie Gdańska)*, wydanym w nakładzie około stu egzemplarzy we wrześniu lub październiku 1939 roku. Stanowi on najobszerniejszy opublikowany

w czasie wojny zbiór fotografii poświęcony przyłączeniu Gdańska do Niemiec. Zawiera 44 zdjęcia propagandowe, niektóre osiągnęły status fotograficznych ikon II wojny światowej, np. zdjęcie niemieckich żołnierzy przełamujących szlaban graniczny w Kolibkach czy ujęcie pancernika Schleswig-Holstein ostrzeliwującego Westerplatte.

Niemcy przeprowadzili masowe aresztowania polskich mieszkańców Gdańska 1 września 1939 roku o 4.30, 6.30 i 9.30. Zatrzymano Polaków aktywnych w życiu społeczno-politycznym i kulturalnym miasta, których nazwiska umieszczono na przygotowanych wcześniej specjalnych listach gończych. Więźniów najpierw odstawiano do punktów zbiorczych w poszczególnych rewirach policyjnych, a następnie do specjalnie dla nich utworzonych miejsc odosobnienia. Jak podaje Piotr Semków, zbiegów narodowości niemieckiej kierowano do Domu Polskiego przy ul. Wałowej 15/16 (Wallgasse), polskich cywilów z Gdańska do Victo-

riaschule przy ul. Kładki 3 (Holzgasse), a Polaków z pobliskich miejscowości do koszar w Nowym Porcie. Pierwszego dnia wojny aresztowano około 1500 osób. Zatrzymanym z reguły nie pozwalano nic ze sobą zabrać, czasami nawet się ubrać. Odstawiano ich do punktów zbornych w samej koszuli czy bez butów. Na zdjęciu Sönnekego zamieszczonym w *Bilddokumente des Feldzugs in Polen* widać, że wśród czterech aresztantów dwóch jest na boso, a jeden w łapciach. Tylko przy jednym stoi walizka.



Auf früherer Car ertappt!
Polnische Zivilisten, die
aus dem Hinterhalt auf
deutsche Soldaten schossen.

► Ci sami ludzie na zdjęciu opublikowanym w książce *Bilddokumente des Feldzugs in Polen*

Brunon Zwarra w opracowanym przez siebie zbiorze wspomnień Polaków mieszkających w Gdańsku wyraził przypuszczenie, że zatrzymani należeli do polskiej grupy dywersyjnej. Podstawą takiego sądu była informacja przekazana przez kobietę, która zobaczyła fotografię w programie telewizyjnym „Świadkowie” wyemitowanym 25 kwietnia 1978 roku. W mężczyźnie w berecie rozpoznała swego brata. Miał on według niej pojechać do Gdańska z Warszawy, żeby prowadzić tam dywersję.

Stefania Śpiewak – inny świadek – zidentyfikowała mężczyznę w białej koszuli stojącego pośrodku (czwarty z prawej) jako sowieckiego marynarza Fiodora Karaczowa. Poznała go w obozie w Potulicach, gdzie przebywała wraz z rodziną. Mężczyzna miał tam pracować w kuchni. Te identyfikacje nie zostały jednak potwierdzone i pozostają niepewne.

Nie wiadomo, co spotkało aresztowanych mężczyzn, jednak prawdopodobnie wszyscy trafili do obozu

koncentracyjnego Stutthof. Na pewno znalazł się w nim mężczyzna rozpoznany jako Karaczow. Dowodzi tego zdjęcie z innego albumu propagandowego, przeznaczonego dla znacznie węższego grona – albumu upamiętniającego wizytę Reichsführera-SS Heinricha Himmlera w KL Stutthof 23 listopada 1941 roku. Mężczyznę sfotografowano, gdy siedział na sterce cegieł i jadł zupę. Pod zdjęciem umieszczono podpis: „Wrzesień 1939 – przerwa obiadowa na placu budowy” (Sept. 1939 – Mittagspause auf dem Bauplatz). Zatem fotografia powstała znacznie wcześniej niż zdjęcia dokumentujące wizytę Himmlera.

Oryginał albumu przechowywany jest w Muzeum Stutthof w Sztutowie, a jego kopia w Archiwum IPN. Znajdują się w nim 42 fotografie rozmieszczone na 25 kartach. Album był dowodem w procesach załogi obozu KL Stutthof, które odbyły się od 8 października 1947 do 29 listopada 1949 roku przed Sądem Okręgowym w Gdańsku. W 1964 roku mecenas

B. Bruliński z Gdańska przekazał album Muzeum Stutthof.

Oboz założony w pobliżu wsi Sztutowo (Stutthof) w obrębie Wolnego Miasta Gdańska do 30 września 1941 roku nosił nazwę: Zivilgefängnenlager Stutthof (obóz jeńców cywilnych Stutthof), następnie do 7 stycznia 1942 – Sonderlager Stutthof (obóz specjalny) i Arbeiterziehungslager Stutthof (obóz pracy wychowawczej). Dopiero od 8 stycznia 1942 roku stał się formalnie obozem koncentracyjnym. Pierwsza grupa więźniów licząca dwieście osób została tam skierowana już 2 września 1939 roku. Musieli własnoręcznie od podstaw zbudować swoje więzienie. Jak pokazuje przykład domniemanego Karaczowa, byli wśród nich także ci, których Sönnke uwiecznił na swojej fotografii. ❁

Tomasz Stempowski – historyk, kustosz w BUiAD IPN w Warszawie; interesuje się fotografią historyczną; autor artykułów dotyczących fotografii historycznej i archiwistyki; współautor książki *Prawo w filmie* (2009), współredaktor albumu *Oblężenie Warszawy w fotografii Juliana Bryana* (2010)



➤ Domniemany marynarz sowiecki Fiodor Karaczow w obozie jeńców cywilnych Stutthof we wrześniu 1939 roku; zdjęcie pochodzi z kopii albumu upamiętniającego wizytę Reichsführera-SS Heinricha Himmlera w obozie 23 listopada 1941 roku

Najważniejszy jest świadek

Z **Piotrem Tarnowskim**, dyrektorem Muzeum Stutthof w Sztutowie, rozmawia Maciej Foks

O trudnej drodze prowadzącej do powstania muzeum w Sztutowie pisał już Marcin Owsiański w przedostatnim numerze „Pamięci.pl”. Porozmawiajmy zatem o teraźniejszości i przyszłości placówki. Jaką część byłego obozu obejmuje teren muzeum?

Zaledwie 20 hektarów, czyli jedną szóstą obszaru właściwego obozu, który w grudniu 1944 roku zajmował ok. 120 hektarów. Przypomnijmy, że obóz Stutthof funkcjonował przez 2077 dni – dokładnie tyle, ile trwała II wojna światowa w Europie. Przetrzymano w nim 110 tys. osób, z których 65 tys. zginęło. Warto dodać, że poza obozem macierzystym istniało 39 podobozów.

Czym zajmuje się obecnie muzeum?

Przede wszystkim badaniem i dokumentowaniem historii ludzi i miejsca w okresie istnienia obozu. Interesujemy się również zagadnieniami, które pokazują Stutthof w szerszym, pomorskim kontekście. Jednym z naszych zadań jest zbadanie i przedstawienie stosunków polsko-niemieckich na terenie Wolnego Miasta Gdańska i Pomorza już od roku 1920. Interesują nas kwestie związane z funkcjonowaniem polskiego państwa podziemnego i ruchem oporu na tym terenie w czasie II wojny światowej. Zajmujemy się także sprawami związanymi z prześladowaniami ludności pomorskiej



Fot. M. Foks

Piotr Tarnowski – dyrektor Muzeum Stutthof w Sztutowie, pedagog, instruktor Związku Harcerstwa Rzeczypospolitej, działacz Stowarzyszenia „Wspólnota Polska”

po zakończeniu wojny do 1956 roku. W nowym statucie muzeum zapisano zadanie dotyczące badania losów Polaków w niemieckich obozach koncentracyjnych na zachodzie Europy. Jesteśmy w fazie przygotowań do jego realizacji.

Co mogą zobaczyć goście zwiedzający muzeum?

Chcemy, żeby odbiorcy zetknęli się z autentyzmem, świadectwami nietolerancji i ludobójstwa: barakami, budynkami i przedmiotami wykonanymi przez więźniów lub tymi, z których korzystali. Mamy wystawy stałe, podzielone na dwie



► Zwiedzający w drodze do budynku byłego krematorium obozowego; z lewej strony dawna komora gazowa

Fot. M. Foks

Akcja Znak Pokuty/Służby dla Pokoju (ASF) to organizacja założona przez przedstawicieli Kościoła ewangelickiego w 1958 roku. Impulsem do jej powołania było uznanie winy Niemców za skutki II wojny światowej. Celem Akcji jest szukanie porozumienia z narodami ofiar III Rzeszy.

W okresie zimnej wojny funkcjonowały dwie organizacje: Aktion Sühnezeichen (ASZ) w NRD i Aktion Sühnezeichen Friedensdienste (ASF) w RFN. ASZ organizowała obozy letnie, podczas których wolontariusze pomagali m.in. w odbudowie miejsc zniszczonych w czasie wojny, natomiast ASF skupiło się na wysyłaniu młodych ludzi do krajów, które ucierpiały w okresie nazizmu, by pomagali ofiarom III Rzeszy.

Obecnie na rocznym wolontariacie w Polsce przebywa szesnastu wolontariuszy z Niemiec i Ukrainy, którzy opiekują się grupami odwiedzającymi byłe obozy koncentracyjne (Auschwitz, Majdanek, Stutthof), pracują w ośrodkach edukacyjnych i instytucjach działających na rzecz porozumienia między narodami (Międzynarodowy Dom Spotkań Młodzieży, Żydowskie Centrum Edukacyjne, Fundacja Polsko-Niemieckie Pojednanie, Teatr NN, Towarzystwo im. Edyty Stein). Wolontariusze zajmują się również byłymi więźniami obozów w Centrum im. Kolbego, Pro Vita et Spe, Związku Gmin Żydowskich, pracują też z dziećmi i młodzieżą w Fundacji im. ks. Siemaszki.

sekcje. Pierwsza przekazuje wiedzę ogólną o stosunkach polsko-niemieckich w Wolnym Mieście Gdańsku, przyczynach wybuchu wojny i wydarzeniach z tego okresu na Pomorzu. Druga sekcja pokazuje warunki, w jakich żyli i ginęli więźniowie. Średnio muzeum odwiedza rocznie 100 tysięcy osób.

W jaki sposób muzea takie jak Stutthof mogą skutecznie dotrzeć do młodzieży?

W tym roku, z okazji pięćdziesięciolecia utworzenia Muzeum Stutthof, wspólnie z Uniwersytetem im. Adama Mickiewicza w Poznaniu zorganizowaliśmy konferencję, podczas której szukaliśmy odpowiedzi na to ważne pytanie. Chodziło nam również o refleksję nad kondycją polskich muzeów i miejsc pamięci oraz podjęcie próby wyznaczenia nowych kierunków ich merytorycznego i estetycznego rozwoju. Potwierdziło się, że metod jest bardzo wiele, choć nie wszystkie wykorzystujemy. Nie ma jednej odpowiedzi. Trzeba zdawać sobie sprawę, że spoczywa na nas obowiązek nie tylko rzetelnego przekazywania wiedzy dotyczącej tego miejsca, lecz także monitorowania publikacji na ten temat, przygotowywanych przez podmioty niezależne od muzeum. Bardzo często osoby przygotowują się do zwiedzenia miejsca pamięci, korzystając z dostępnych informacji pisanych, zasobu ikonograficznego. Niespotykany wcześniej dynamizm, globalna wymiana myśli oraz trendów społecznych i estetycznych czy docieranie niemalże w czasie realnym do odbiorców za pomocą internetu, nie zwalniają nas z posiadania klasycznej oferty edukacyjnej – zwiedzania muzeum z przewodnikiem, projekcji filmów dokumentalnych, lekcji muzealnych, prelekcji w szkołach, warsztatów dla nauczycieli.

We wrześniu tego roku po raz pierwszy zorganizowaliśmy plener artystyczny. Te formy cieszą się dużym zainteresowaniem, bo pozwalają na szczegółowe przedstawienie historii i miejsca w sposób dostosowany do percepcji odbiorcy. Uważam, że odgrywamy ważną rolę w wypracowaniu narzędzi, które pozwolą tematyce obozowej wejść w jak najszerszym stopniu do nauczania powszechnego. Bardzo duże znaczenie ma tu dla nas współpraca z Instytutem Pamięci Narodowej, dzięki której ukazały się materiały edukacyjne *Pamiętam, pamiętamy... Pomorze Gdańskie i obóz Stutthof 1939–1945*. Liczymy, że dzięki nim dotrzemy do większości szkół naszego regionu z pakietem materiałów pomagających w prowadzeniu zajęć związanych z historią obozu Stutthof, dziejami regionu i pokazaniem niezwykle trudnego losu Polaka na Pomorzu.

Od 2008 roku muzeum realizuje program rejestrowania relacji „Ostatni świadek”...

...uważamy, że to właśnie były więzień i jego subiektywny odbiór wydarzeń z obozu powinien być centralnym punktem narracji. Chcemy mieć jak najbogatszy materiał do wystaw, działań edukacyjnych i publikacji, dotrzeć do jak największej liczby świadków. Poznajemy ich losy, nie tylko te, które wiązały się bezpośrednio ze Stutthofem. Dowiadujemy się także, w jakich okolicznościach trafili do obozu oraz jak po

► Brama śmierci – miejsce przyjęcia nowo przybyłych więźniów do obozu



Fot. M. Fokis

► Stos obuwia w jednym z baraków

tych traumatycznych przeżyciach potrafili budować normalne rodziny, angażować się społecznie. Dlatego też systematycznie gromadzimy notacje. W tej chwili mamy ich już około stu.

W jaki sposób muzeum je wykorzystuje?

Na podstawie nagrań zrealizowaliśmy dwie wystawy oraz film dokumentalny, w przygotowaniu jest publikacja – zresztą większość naszych wydawnictw z ostatnich lat to wspomnienia świadków historii. Ich rejestracja to jedno z najpilniejszych zadań, bo to pokolenie nieuchronnie odchodzi. Całość naszych działań notacyjnych została wysoko oceniona – w ubiegłym roku otrzymaliśmy główny laur w konkursie Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego „Sybilla” na Wydarzenie Muzealne Roku.

Od ponad czterdziestu lat muzeum współpracuje z wolontariuszami Akcji Znak Pokuty–Służby dla Pokoju.

To osoby zaangażowane emocjonalnie w tę akcję. Przygotowujemy je do roli opiekunów grup niemieckich. W ostatnich latach gościmy również wolontariuszy z Ukrainy. Chciałbym, by priorytetem muzeum stał się właśnie rozwój wolontariatu. Osoby weń zaangażowane zapewniają nie tylko dodatkowe ręce do pracy, ale przede wszystkim w sposób świadomy docierają do środowiska, z którego się wywodzą, z oczekiwanym przez nas przekazem – rzetelną i uporządkowaną wiedzą historyczną, pozbawioną stereotypów, z wyraźnie ukształtowanymi emocjami wobec sprawców i ofiar. Dlatego to takie istotne.

A pozostałe plany?

Nowa wystawa stała. Obecna nie jest zła, ale „zestarzała się”. Mamy inne pokolenie odbiorców, któremu musimy pokazać nieco szerszy kontekst. System obozów koncentracyjnych stworzony został legalnie, w oparciu o obowiązujące prawo. Państwo niemieckie nie karało za pozbawienie życia więźnia w obozie koncentracyjnym. To było urzędowo usankcjon-

wane! Można stwierdzić, że początkiem Holocaustu były ustawy norymberskie, czyli działania legislacyjne. Prezentowaną obecnie wystawę stworzono w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych ubiegłego wieku. Wówczas świadomość powyższego była dość powszechna. Oczywiście niekoniecznie szczegółowa wiedza, ale świadomość jak najbardziej. Dziś musimy to na wstępie dopowiedzieć. Powszechnie spotykamy się bowiem z sytuacjami, które wskazują na brak podstawowej wiedzy o genezie ludobójstwa. Podobnie jest z kwestią skali, czyli systemowym działaniem, rozumianym jako system obozów koncentracyjnych. Plany na przyszłość muzeum to także konserwacja obiektów, archiwaliów i muzealiów. Posiadamy pokaźny zbiór dokumentów o objętości 125 metrów bieżących, wytwarzanych nierzadko na lichym materiale. To często walka z czasem, ale wygrywamy ją dzięki wysiłkowi całego zespołu. 🇺🇸



Pamiętam, pamiętam... Pomorze Gdańskie i obóz Stutthof 1939-1945 to pakiet materiałów dla szkół wszystkich szczebli; zgromadzony materiał, złożony z różnorodnych źródeł, opracowań i komentarzy oraz scenariuszy zajęć lekcyjnych, obejmuje zasięgiem tematycznym historię Pomorza i jego mieszkańców w latach 1920-1945; publikacja została wydana pod patronatem ministra edukacji narodowej, przy wsparciu Instytutu Pamięci Narodowej



Fot. M. Fokis

Siłą, bez uprzedzenia

Filip Gańczak



► Robotnicy rolni pod nadzorem niemieckiego żołnierza, I wojna światowa; dokładna data i miejsce nieznane

Już w czasie I wojny światowej niemieckie władze okupacyjne wykorzystywały Polaków do pracy przymusowej. Dziś w podręcznikach historii próżno szukać informacji na ten temat.

Zabierano ich w nocy, z własnych mieszkań, związanych prowadzono przez ulicę, obchodzono się [z nimi] brutalnie. [...] Przez trzy dni co wieczór po całodziennym wygładzaniu wyprowadzano ich na dziedziniec i zmuszano do podpisywania deklaracji »dobrowolnego zgłoszenia się do robót w Prusach«. [...] Nie osiągnąwszy zamierzonego celu, wywieziono ich do Okręgu Heidekrug w Prusach Wschodnich i zatrudniono przy budowie kolei» – relacjonował Józef Wolczyński, świadek wydarzeń, które rozegrały się w Łodzi w pierwszych dniach listopada 1916 roku.

„Gdy dzisiaj mowa jest o pracy przymusowej, kojarzona jest z tym z reguły jedynie II wojna światowa. W rzeczywistości jednak praca przymusowa była stosowana również podczas I wojny światowej. [...] Już w latach 1914–1918 niemieckie urzędy przymusowo rekrutowały i zatrudniały w Rzeszy i na okupowanych obszarach tysiące pracowników” – przypo-

mina dr Christian Westerhoff, historyk z Wolnego Uniwersytetu w Berlinie, którego książka *Zwangsarbeit im Ersten Weltkrieg (Praca przymusowa podczas I wojny światowej)* ukazała się w tym roku w Niemczech, Austrii i Szwajcarii.

Głodny przemysł

Przełom XIX i XX wieku to w niemieckiej gospodarce okres znakomitej koniunktury. Do Niemiec – tak jak do USA – Polacy przyjeżdżali wówczas za chlebem. Szybko rozwijający się przemysł wciąż potrzebował nowych rąk do pracy.

Wybuch I wojny światowej i przedłużające się działania zbrojne znacząco pogłębiły niedobór siły roboczej. W Niemczech w ciągu nieco ponad czterech lat wojny powołano do wojska 13 mln osób, tj. prawie wszystkich mężczyzn w wieku poborowym! Tych ludzi brakowało na polach i w produkującym dla armii przemyśle. Na potrzeby Wielkiej Brytanii i Francji pracowały liczne

kolonie zamorskie. Rzesza Niemiecka nie dość, że nie miała tak licznych kolonii, to jeszcze dotkliwie odczuwała skutki blokady morskiej. Musiała więc szukać innych sposobów na zwiększenie produkcji przemysłowej. Względy pragmatyczne zwyciężyły nad moralnością.

Już późnym latem 1914 roku władze niemieckie zakazały powrotu do domów robotnikom z Rosji, którzy w chwili wybuchu wojny znajdowali się na terytorium Rzeszy. W ten sposób zobowiązano do pracy dla Niemiec ok. 300 tys. osób, w tym wielu Polaków z zaboru rosyjskiego. To jednak nie było wystarczające.

Narastała pokusa, by sięgnąć po siłę roboczą z terenów okupowanych. Tych zaś przybywało. Już w 1914 roku Niemcy zajęły prawie całą Belgię i kawałek Francji. Rok później pod okupacją Niemiec i Austro-Węgier znalazło się terytorium Królestwa Polskiego. Z jego północnej części Niemcy utworzyli Generalne Gubernatorstwo Warszawskie (GGW). Z czasem państwa

centralne wypierały Rosjan z kolejnych terenów na wschód od Królestwa Polskiego. Powstał tu obszar administracyjny znany jako Ober Ost.

Początkowo Niemcy liczyli, że z okupowanych terenów do pracy w Rzeszy będą się zgłaszać ochotnicy. Gdy te rachuby zawiodły, wiosną 1916 roku do prac w rolnictwie zapędzono 20 tys. osób z okolic francuskiego Lille, w tym wiele kobiet i dziewcząt. 6 czerwca do pracy na rzecz niemieckiej administracji zobowiązana została ludność Ober Ostu. Najgorsze miało jednak dopiero nadejść.

Naciski Ludendorffa

29 sierpnia 1916 roku zmieniło się kierownictwo niemieckich sił zbrojnych (OHL). Na czele Sztabu Generalnego stanął feldmarszałek Paul von Hindenburg, generalnym kwartiermistrzem został gen. Erich Ludendorff. Trwała w tym czasie krwawa bitwa nad Sommą, pochłaniająca tysiące ofiar. Zarówno Hindenburg, jak i Ludendorff byli przekonani, że jedynym sposobem na wygranie wojny jest pełna mobilizacja wszystkich dostępnych sił i środków. Wysunięto projekt, by wprowadzić obowiązek pracy dla wszystkich dorosłych Niemców, ale zdecydowanie odrzucili go socjaldemokraci i związki zawodowe. Ludendorff żądał w tej sytuacji, by przymus pracy wprowadzić na wszystkich okupowanych terenach. „Ewentualne wątpliwości związane z prawem międzynarodowym nie mogą nam przeszkodzić. Muszą ustąpić nieuniknionej potrzebie, by całą siłę roboczą znajdującą się pod niemiecką władzą doprowadzić do jak najbardziej produktywnego wykorzystania na potrzeby gospodarki wojennej” – wtórował mu Ernst von Wrisberg z Ministerstwa Wojny.

Pomysł poparli czołowi przemysłowcy, którym zależało na zwiększeniu produkcji dla wojska. Carl Duisberg przekonywał, że przymusowa rekrutacja pozwoli pozyskać

500–700 tys. bezrobotnych z okupowanej Belgii. Walther Rathenau postulował w liście do Ludendorffa, by przeprowadzić „podobną akcję w Polsce”, co miało zapewnić niemieckiej gospodarce 100–200 tys. robotników.

Konwencja haska z 1907 roku pozwalała wykorzystywać ludność cywilną zajętych terenów jedynie do prac na potrzeby armii okupacyjnej. General Traugott von Sauberzweig zachęcał jednak, by nie interpretować tych zapisów zbyt rygorystycznie, bo – jak tłumaczył – „nasi wrogowie też nie postępowali inaczej”. 3 października 1916 roku wydano zarządzenie, że bezrobotni z terenów okupowanych mogą być zmuszani do pracy także poza miejscem zamieszkania. Za sprzeciw można było trafić na trzy lata do więzienia. Wkrótce do pracy w Rzeszy deportowano ok. 60 tys. Belgów. Przymusowo rekrutacje dotknęły również okupowaną ziemię polską.

Polowanie na ludzi

Hans von Beseler, zwierzchnik Generalnego Gubernatorstwa Warszawskiego, wydał 4 października 1916 roku rozporządzenie o „zwalczaniu wstrętu do pracy”. Odpowiednie obwieśzczenia w tej sprawie pojawiły się w gazetach i na murach. Do pracy na rzecz okupanta mieli być przymuszani tylko



➤ General Hans von Beseler

bezrobotni, jednak nagminnie naciągano przepisy. Przymusowo rekrutowano na przykład ludzi, którzy popełnili drobne wykroczenia, byli nędznie ubrani lub brudni. Urządzano też dzikie łapanki.

Wojciech Trąmpczyński, późniejszy marszałek Sejmu i Senatu, w czasie I wojny światowej był posłem do niemieckiego Reichstagu. Skarżył się, że „w praktyce [...] za uchylających się

➤ Plakat zachęcający do zgłaszania się do pracy w Niemczech, Białystok, 1917 rok

Fot. Bibliothek für Zeitgeschichte in der Württembergischen Landesbibliothek Stuttgart

38 **Männer, Frauen, Burshen, Mädchen** jeden Alters **nach Deutschland zur Landarbeit gesucht.**

Tagelöhne:		0 1917	1917 ab
Männer	2,20	2,50	1,90
Frauen, Burshen und Mädchen	1,60	1,90	1,40

Serner werden nach Deutschland geindt:

Meńczuzyn, Kobiety, Chłopców, Dziewcząt każdego wieku **poszukuje się na roboty rolne do Niemiec.**

Dniówka (płaca dzienna):	1917		1917	
	do 15-go marca	15-go do 30-go	15-go do 30-go	15-go do 30-go
Mężczyźni	2,20	2,50	1,90	1,40
Kobiety, chłopcy i dziewczęta	1,60	1,90	1,40	1,40

Opórcz tego są poszukiwani do Niemiec:

МУЖЧИНЫ, ЖЕНЩИНЫ, мальчишки, дѣвушки приглашаются **КЪ СЕЛСКИМЪ РАБОТАМЪ ВЪ ГЕРМАНИЮ.**

Полная плата:	1917 год		1917 год	
	до 15-го марта	15-го до 30-го	до 15-го марта	15-го до 30-го
Мужчины	2,20	2,50	1,90	1,40
Женщины, мальчишки и дѣвушки	1,60	1,90	1,40	1,40

Кромъ того приглашаются:

od pracy byli uznawani nawet ci, którzy mieli stałe zatrudnienie na miejscu. Siłą zabierano rzemieślników z ich mieszkań, a rolników z pól”. Z kolei Rada Główna Opiekuńcza, charytatywna organizacja założona za zgodą władz okupacyjnych, alarmowała: „Najmniejszy opór karany jest bezwzględnie; ociągających się prowadzą jak zbrodniarzy ze związanymi rękoma, pod konwojem żołnierzy. Stan materialny, zdrowie, wiek i płeć nie grają tu żadnej roli, zabierają robotników przez gwałt, bez wskazania dokąd i po co”.

Wolfgang von Kries, szef niemieckiej administracji cywilnej na okupowanych terenach GGW, przyzna-

wał, że dochodziło do „polowania na ludzi”. Czasami dotykało to również chorych, starców albo kobiety mające pod opieką nieletnie dzieci. Wspomniany Józef Wolczyński, działacz społeczny i późniejszy poseł na Sejm, podawał, że w Łodzi tylko co czwarta osoba z przymusowo rekrutowanych do pracy była bezrobotna.



pamięć.pl

Fot. ze zbiorów M. Foksa

Dantejskie sceny

Październik i listopad 1916 roku to apogeum przymusowej rekrutacji robotników w okupowanym przez Niemcy Generalnym Gubernatorstwie Warszawskim. Do Rady Głównej Opiekuńczej napływały w tym czasie alarmujące meldunki:

- „W powiecie przasnyskim i w samym Przasnyszu wywieziono siłą w początkach października około 2000 robotników i robotnic do Prus. [...] prowadzono przez miasto duże grupy ludzi, w tej liczbie młodzieży, głośno płaczących i protestujących, pod eskortą wojskową. Ludzi brano od robót przy szosie, bez uprzedzenia i dania możliwości przygotowania się do drogi”.
- „W powiecie płockim porozlepiano plakaty zachęcające do dobrowolnego zapisywania się robotników na wyjazd do Prus. Po kilku dniach jednak rozpoczął się przymusowy pobór. Zagarniano robotników pracujących przy szosach, lecz również w wioskach gospodarzy i ich dzieci. Gospodarzowi Kuczowskiemu w Niszczycach, który ma dwóch synów na wojnie, zabrano trzeciego syna, który pracował w gospodarstwie”.
- „[W okolicach Płocka] władze niemieckie w ostatnich dniach rozpoczęły oblavy po nocach. Zabierają przymusowo z chałup mężczyzn od 17 do 42 lat, nie licząc się z tym, że nieraz pozbawiają rodzinę jedynego żywiciela. Zabierają też dziewczyny w wieku 16–18 lat”.
- „W okręgu [nadbużańskim] są gminy z wójtami i bez wójtów (większość). W pierwszych zwrócono się do wójtów z żądaniem dostarczenia listy robotników: chrześcijan mężczyzn i kobiet, Żydów zaś tylko mężczyzn, którzy bez szkody dla gospodarstwa mogą być wzięci do robót wojskowych. [...] wójt gminy Rokitno odpowiedział, że takich nie ma. Lecz sołtysi zaczęli przez zemstę przysyłać władzom nazwiska swoich wrogów osobistych i tych patrole wojskowe zabrały. [...] Robotników wywożą do robót wojskowych, jak okopy, tartaki itp., na pobliski front, gdzie zastępują nimi wywożonych do Niemiec jeńców rosyjskich. Karmią ich z kuchni polowych, ale nie płacą nic lub bardzo mało”.
- „Zabierają tylko chrześcijan, mężczyzn i dziewczyny. Z samego Tomaszowa [Mazowieckiego] wywożą, jak mówią na mieście, po dwa pociągi dziennie. Odbywają się takie sceny: jedna z matek, której zabrano syna, ukłękła przed magistratem i zaczęła wzywać pomsty niebios. Zaarrestowano ją. Inna nie została aresztowana, ponieważ utopiła się, rzucając się do rzeki z mostu”.

Źródło: Archiwum Akt Nowych, cyt. za: Mieczysław Motas, Irena Motasowa, *Zagadnienie wywozu siły roboczej z Królestwa Polskiego do Niemiec*, „Teki Archiwalne” 1955 nr 4, s. 21–25.

Zaprotestowały działające na polskich ziemiach partie polityczne. PPS, SDKPiL i żydowski Bund wspólnie wezwały robotników, by nie stawali się w urzędach i ukrywali się przed łapankami. Ludzie chowali się w lasach, tworzyli grupy samoobrony lub nawet sami się okaleczali, byle nie zostać ciągniętym do pracy przymusowej.

Bataliony śmierci

Przymusowe rekrutacje dotyczyły głównie mężczyzn. Część trafiła do obozów przejściowych w Łodzi i Warszawie. Tam byli m.in. odswadzani, poddawani dezynfekcji i szczepieni. Stawiano ich przed wyborem: „dobrowolny” wyjazd do pracy w Niemczech lub wcielenie do batalionu robotniczego.

Cywilne Bataliony Robotnicze (ZAB) znajdowały się pod nadzorem wojska i były wykorzystywane do najróżniejszych prac na terenie Ober Ostu: budowy dróg i torów kolejowych, naprawy mostów czy osuszania bagien. Przymusowych robotników kierowano też do prac rolnych, wycinki drzew, a nawet budowy umocnień dla wojska. Mieli złuzować niemieckich żołnierzy i jeńców wojennych.

W batalionach panowały ciężkie warunki. Robotnicy żyli w obozach za drutem kolczastym. Baraki były brudne i wilgotne, a zimą nie chroniły dostatecznie przed mrozem. Niektórzy czasowo nocowali pod gołym niebem. Większość nie miała ubrania na zmianę. Brakowało również lekarstw. Szerzyły się tyfus, dur plamisty, gruźlica, cholera i zapalenie płuc. Wielu wysłanych do prac na wschodzie nie wróciło do domów. Cierpiały na tym rodziny, pozabawione często głównego żywiciela.

Śmiertelność w batalionach była bardzo wysoka, a produktywność pracy niska. Nic dziwnego. Robotnicy pracowali za darmo lub półdarmo, otrzymując

bardzo skromne racje żywnościowe. Często byli bici przez strażników. Kontakt listowny z bliskimi był albo bardzo ograniczony, albo w ogóle niemożliwy.

Oburzenie i rozgoryczenie

Von Kries podawał, że na terenie GGW przymusowa rekrutacja dotknęła ogółem „ok. 5 tys. robotników, w większości Żydów”. W literaturze pojawiają się również znacznie wyższe liczby – nawet 350 tys. – ale nie mają one potwierdzenia w źródłach.

Wiadomo, że na obszarze Ober Ostu zmuszono do pracy więcej ludzi niż w GGW. Przymusowe akcje rekrutacyjne prowadzono tu m.in. w Wilnie, Grodnie, Lidzie czy Suwałkach, a więc miastach, które znalazły się później w granicach II Rzeczypospolitej.

Deportacje przymusowych robotników z Belgii wywołały ostre protesty na arenie międzynarodowej. Głos w tej sprawie zabrała także Stolica Apostolska. Losem przymusowych robotników z ziem polskich znacznie trudniej było zainteresować światową opinię publiczną. Centralnej Agencji

Polskiej w Lozannie udało się jednak nagłośnić w szwajcarskiej prasie problem pracy przymusowej w GGW. Sprawą zajęli się również posłowie do niemieckiego Reichstagu, co odnotował 8 grudnia 1916 roku także amerykański „New York Times”.

W połowie grudnia 1916 roku Niemcy po cichu wycofali się z przymusowej rekrutacji na terenie Generalnego Gubernatorstwa Warszawskiego. Latem 1917 roku zapadła decyzja, by rodzinom tych, którzy zmarli w Cywilnych Batalionach Robotniczych, wypłacić jednorazowe rekompensaty.

Kryły się za tym nie tyle względy humanitarne, ile brak wymiernych efektów ekonomicznych i chłodna polityczna kalkulacja. Cesarze Niemiec i Austro-Węgier 5 listopada 1916 roku zapowiedzieli utworzenie niepodległego, choć związanego z państwami centralnymi Królestwa Polskiego. Wkrótce okupanci przystąpili do tworzenia Polskiej Siły Zbrojnej, która miała walczyć przeciwko Rosji – i bardzo liczyli na napływ ochotników. To m.in. dlatego do batalionów robotniczych starano się kierować przede wszystkim Żydów.

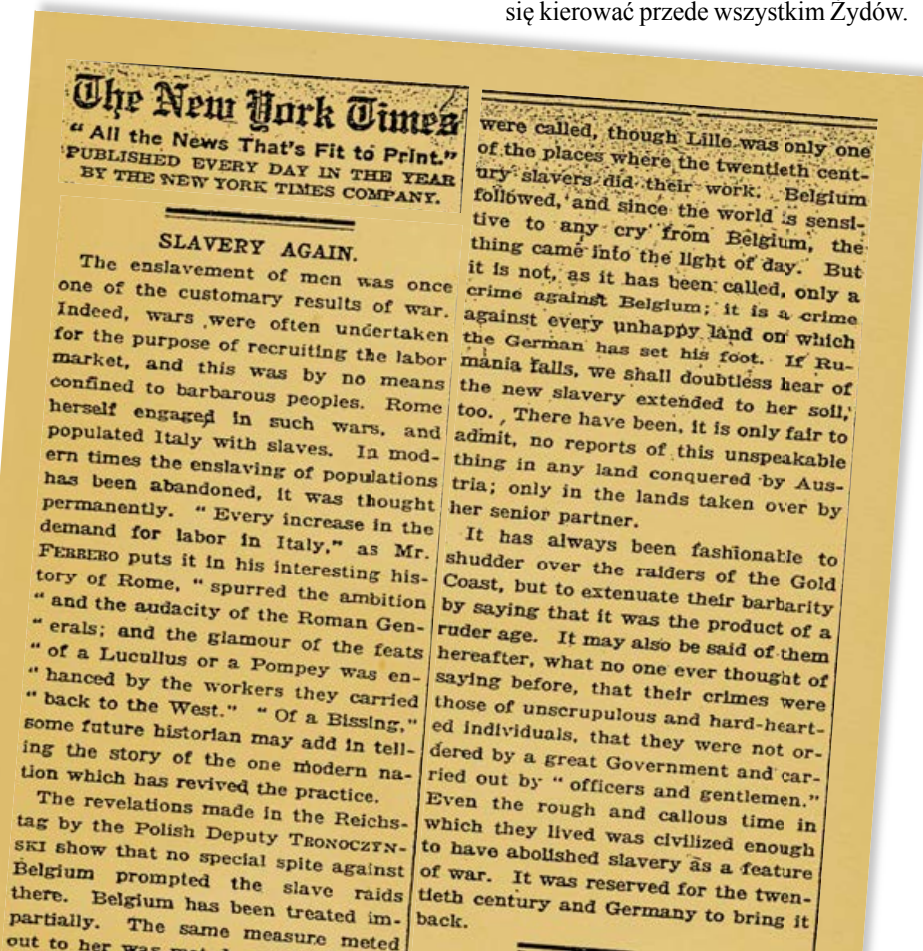
Złagodzenie reżimu okupacyjnego na niewiele się zdało. Polacy już i tak zrazili się do Niemców. Zwłaszcza po tym, jak w lutym 1917 roku pierwsi przymusowi robotnicy z Łodzi wrócili do domów z robót w Prusach Wschodnich. „Mają oni poodmrażane ręce i nogi, są zupełnymi kalekami, niezdolnymi do żadnej pracy, ani tym bardziej do utrzymania rodzin, które tu pozostawili na opiece instytucji dobroczynnych” – raportowała Łódzka Miejskowa Rada Opiekuńcza. Nadal trwała wówczas przymusowa rekrutacja na terenie Ober Ostu. „Także w okupowanym przez Austriaków Generalnym Gubernatorstwie Lubelskim rekrutowano przymusowo polskich robotników, i to na większą skalę niż w GGW” – mówi dr Stephan Lehnstaedt z Niemieckiego Instytutu Historycznego (DIH) w Warszawie.

Przymusowa praca okazała się ekonomicznie nieefektywna. Jednak naziści, którzy w 1933 roku doszli do władzy w Niemczech, w czasie II wojny światowej znów sięgnęli po tę metodę walki z niedoborem siły roboczej. „W wojsku i kręgach prawicowych zwyciężyło przekonanie, że postępowanie w czasie I wojny światowej było nie zbyt brutalne, lecz przeciwnie – zbyt delikatne” – tłumaczy Westerhoff. Przywódcy Trzeciej Rzeszy doszli do wniosku, że w przyszłej wojnie trzeba zmobilizować siłę roboczą w sposób lepiej zorganizowany i jeszcze bardziej bezwzględny. „Jeśli w czasie I wojny światowej pracowały w Niemczech prawie trzy miliony cudzoziemców (w tym dwa miliony jeńców wojennych), to w czasie II wojny światowej już osiem milionów” – wylicza Westerhoff. Ale to już temat na osobny artykuł. ■

Filip Gańczak



Dziękuję dr. Christianowi Westerhoffowi, dr. Stephanowi Lehnstaedtowi, wydawnictwu Ferdinand Schöningh i Bibliothek für Zeitgeschichte w Stuttgarcie za bezpłatne udostępnienie materiałów



Daleko od Wersalu

Pierwsze wybory w II RP

Patryk Pleskot

Osiemdziesiąt lat temu młoda II Rzeczpospolita przeżyła swoją pierwszą „normalną” kampanię wyborczą i wybory parlamentarne. Walka o mandaty wcale nie była mniej brutalna od dzisiejszej.

► Sala obrad w dniu otwarcia sesji zimowej Sejmu, 28 listopada 1922 roku

Fot. NAC

Wybrany w 1919 roku Sejm Ustawodawczy II Rzeczypospolitej miał się rozwiązać zaraz po uchwaleniu konstytucji. I chociaż ustawę zasadniczą przyjęto w marcu 1921 roku, to jednak posłowie – bojąc się, że utracą mandaty – ociągali się jeszcze kilkanaście miesięcy z ogłoszeniem terminu kolejnych wyborów. Po wielu sztuczkach proceduralnych i unikach zdecydowali się wreszcie na listopad 1922 roku. Trzeba jednak przyznać, że przyjęta pięcioprzymiotnikowa zasada głosowania (zakładająca jego tajność, bezpośredniość, równość, powszechność i proporcjonalność) spełniała najwyższe standardy demokratyczne.

Sejm Ustawodawczy – pierwszy po latach rozbiorów parlament, zresztą jednoizbowy – był dziwnym tworem. Posłowie nie wiedzieli, jak długa będzie ich

kadencja. Mieszkali stłoczeni w pokojach byłej stacji dla dobrze urodzonych panien, znajdującej się niedaleko sejmowego gmachu. Większość wywodziła się ze środowisk chłopskich, podobnie jak przeważająca część ówczesnego polskiego społeczeństwa. Tylko kilkanaście procent parlamentarzystów mogło się pochwalić wyższym wykształceniem – co i tak przewyższało średnią krajową. Zdarzali się nawet analfabeci, o czym jednak głośno się nie mówiło.

W miarę zbliżania się wyborów narastały polityczne spory. Czynnikiem, który dodatkowo zagęszczał atmosferę w ostatnich miesiącach 1922 roku, była trudna sytuacja gospodarcza. Po kolejnej dewaluacji marki polskiej podwyżki cen zdarzały się niemal codziennie; płace za nimi nie nadążały, a oszczędności topniały w oczach. Często wybuchały strajki. W sierpniu protesty robotników

rolnych objęły prawie całe województwo poznańskie. Strajkowali też łódzcy włókniarze, górnicy Zagłębia Dąbrowskiego, pracownicy poczty. O powadze problemów gospodarczych najlepiej świadczy fakt, że w całym 1922 roku wydatki państwa dwukrotnie przekroczyły dochody. Wydawało się, że kraj zbankrutuje.

Partie i partyjki

Ostatnia sesja Sejmu Ustawodawczego zakończyła się 26 września. Do tego czasu zgłoszono ponad dwadzieścia list wyborczych. Endecy, chadecy i Chrześcijańsko-Narodowe Stronnictwo Ludowe zjednoczyli się w Chrześcijańskim Związku Jedności Narodowej. Drugi duży blok koalicyjny utworzyły – co znamienne – ugrupowania etniczne. Blok Mniejszości Narodowych objął część Ukraińców z Wołynia, Białorusinów, Żydów (spoza Galicji), Niemców

i Rosjan. Osobno startowali m.in. syjonisci i żydowscy socjaliści z ugrupowania Bund. Gdyby wszystkie ugrupowania mniejszości zdecydowały się na start, blok stałby się jeszcze silniejszy. Centrum reprezentowali przede wszystkim ludowcy z PSL „Piast” i Narodowa Partia Robotnicza, silna szczególnie w Wielkopolsce, na Pomorzu i Śląsku. Socjaliści z PPS i bardziej lewicowe od „Piasta” PSL „Wyzwolenie” szły do wyborów samodzielnie. Rozdzielane konfliktami wewnętrznymi PSL „Lewica” (najbardziej radykalne z PSL-ów) nie liczyło się, a część jego sympatyków przeszła do „Wyzwolenia”. Współpracownicy Naczelnika Państwa Józefa Piłsudskiego kandydowali z różnych list – głównie ludowych i socjalistycznych. Mniej znani zwolennicy obozu belwederskiego wystawili dwie odrębne, ale mało znaczące listy.

Przedbiegi do właściwych wyborów stanowiło głosowanie do autonomicz-

go Sejmu Śląskiego, przeprowadzone 24 września. Siłę pokazała prawica: koalicja endecji z chadecją uzyskała 34 proc. głosów. PPS zdobyła tylko 17 proc. Specyfika dzielnicy sprawiła, że socjalistów pokonały partie mniejszości niemieckiej, osiągając 22-procentowe poparcie. Znaczącą pozycję osiągnęła też Narodowa Partia Robotnicza – 14 proc.

Wybory z 5 listopada (do Sejmu) i 12 listopada (do Senatu) 1922 roku były pierwszymi regularnymi wyborami parlamentarnymi w niepodległej Polsce. W wyborcze szranki stanęło niezwykle barwne, różnorodne towarzystwo, zgrupowane w marginalnych partijkach i potężnych ruchach. Wyglądało to wszystko chaotycznie, zwłaszcza że poziom politycznego uświadomienia obywateli był bardzo niski. Warto jednak podkreślić, że sposób przeprowadzenia głosowania nie wzbudził żadnych poważniejszych kontrowersji.

„Paskarze” kontra „Niemcy”

Wybory zostały poprzedzone „normalną” kampanią. „Normalną” – czyli naznaczoną bezwzględną walką polityczną. W niedoświadczonym politycznie narodzie ujawniło się znane politologom zjawisko „polaryzacji afektowanej”: konkurent polityczny był postrzegany nie jako współzawodnik, lecz jako wróg, którego należało zwalczać. Zmagania polityczne stały się w dużej mierze ideowym, spolaryzowanym i niezwykle emocjonal-



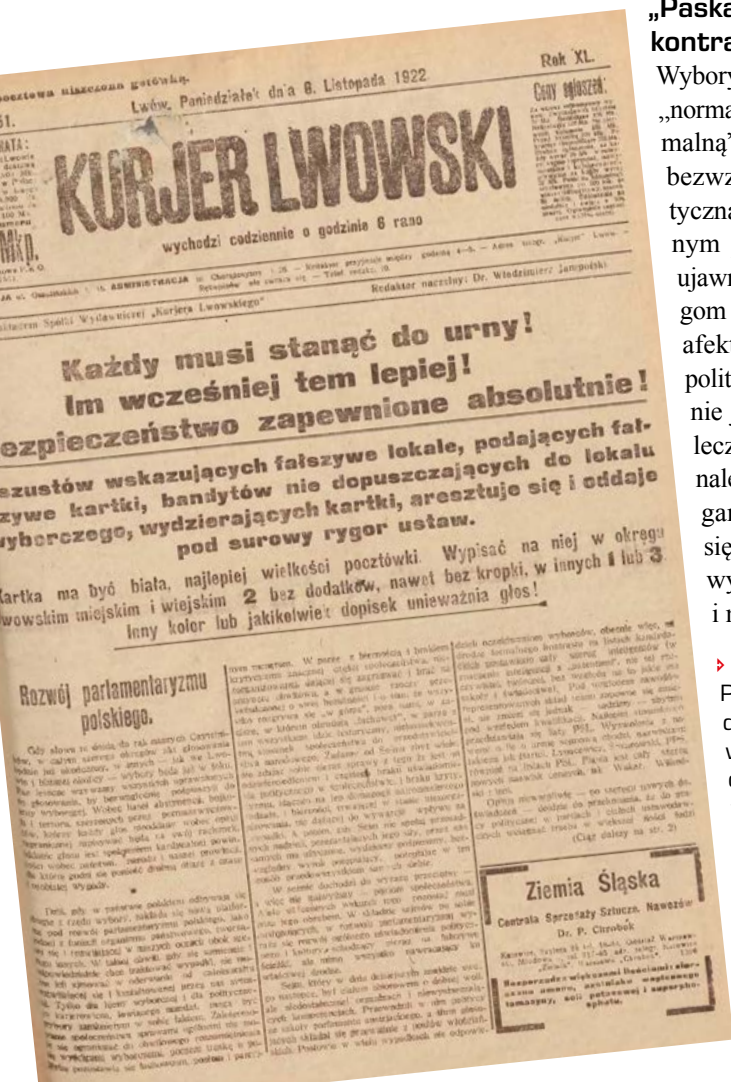
Fot. NAC

► Stanisław Rymar, przysły poseł na Sejm I kadencji, był jedną z pierwszych ofiar brutalnej kampanii wyborczej

nym starciem dwóch obozów: „endekcko-klerykalno-paskarskiego” z „socjalistyczno-komunistyczno-niemieckim”, czyli narodowej prawicy z ugrupowaniami lewicowymi, piłsudczykowskimi i mniejszościami narodowymi. Z jednej strony straszono bolszewizmem, z drugiej – antysemityzmem. Grano na dwu strunach: ksenofobicznej i walki klas. Oskarżano się nawzajem o zdradę i zło-dziejstwo.

Na pierwszej linii frontu znaleźli się dziennikarze rywalizujących gazet. Poziom artykułów prasowych bywał bardzo niski: walczono nie tylko na słowa („bandyci”, „trutnie”, „apostołowie łapownictwa”, „straganiarze dziennikarscy”, „aferzyści”), dziecięce przedrzeźnianie (np. „Robotnik” był „Rebe-tnikiem”, PPS – „pepejsowcami”, Chrześcijański Związek Jedności Narodowej – „Chjeną”, Korfanty – Korfantkiem) i wyzwiska („matol”, „pół-główek”), ale i na czyny – bito znanych dziennikarzy i pisarzy (np. Adolfa Nowaczyńskiego, Stanisława Rymara), napadano na drukarnie i redakcje. Jednocześnie kosztowna kampania prowadziła do zawierania egzotycznych sojuszy: np. centrolewicowe PSL „Wyzwolenie” ofiarowało miejsca w Sejmie kilku bogatym przedstawicielom „burżuazji”, którzy zgodzili się użyć ugrupowaniu sporych sum pieniędzy.

► Gazety w całej Polsce nawoływały do uczestnictwa w pierwszych demokratycznych wyborach parlamentarnych i przestrzegały przed możliwymi oszustwami – strona tytułowa „Kuriera Lwowskiego” z 6 listopada 1922 roku



Głos Robotnika

Organ Narodowej Partii Robotniczej na Pomorze i okręg nadnotecki. Wychodzi raz w tygodniu, oprócz dni wolnych i świąt. Cena 100 sztuk. Redakcja: Toruń, Rynek 14. Telefon 100.

Głosujcie tylko na listę nr. 7

Siedem hasel siódemki

1. To jak najszersza ochrona pracy, a więc 8 godzin pracy, ubezpieczenia państwowego na wypadek choroby, wypadków i braku pracy, choroby, nieszczypliwości wypadków i na starość, — to praca i chleb dla bezrobotnych.
2. To ochrona lokatorów i walka o dach nad głową dla tysięcy wydziedziczonych przez ruch budowlany ze strony Państwa i gmin, oraz ustawowe zmniejszenie banków, towarzystw akcyjnych i wielkich kapitałów do budowania.
3. To ziemia dla bezrobotnych i młodych, na obronę zagrożonych praw socjalnych robotników rolnych i lębnych.
4. To zwyciężona walka z drożyzną, lębiwą spekulacją — przez karę śmierci na parkarzy i konfiskatę ich majątku, — przez surowy zakaz wywozu żywności z granic Państwa i wysokie podatki od bogaczy.
5. To zaplanie zaopatrzenie inwalidów wojennych, wdów i sierot.
6. To rzetelna poprawa bytu urzędników i pracowników państwowych.
7. To duch prawa i sprawiedliwości, to łopienie wszelkich wszelkich obywateli Państwa, to łopienie sędzi i uczestników bezprawni i nadużyć, to walka o Polskę Pracy, Polskę Administracji, to walka o Polskę Postępu, a przez to o ugruntowanie i utrwalenie niepodległości i potęgi naszej Ojczyzny.

Narodowa Partia Robotnicza

W wyborach do Sejmu i Senatu głosujcie tylko na listę nr. 7. Głosujcie tylko na listę nr. 7. Głosujcie tylko na listę nr. 7.

Wybory się zbliżają!

Prasa to nasza potęga. Musi być naszel. Wierc zatem do dzieła!

► Gazety ogólnopolskie i lokalne czynnie włączyły się w kampanię wyborczą

Koalicyjny poker

Zgodnie z ustaleniami konstytucji marcowej i późniejszymi uściśleniami, dwuzbove Zgromadzenie Narodowe składało się z 111 senatorów i 444 posłów. Kadencja obu izb wynosiła pięć lat. Praktyczną władzę miał Sejm, a Senat — tylko ograniczone prawo weta.

Frekwencja wyborcza pokazała wyraźne różnice między poszczególnymi regionami Polski. W centrum i na zachodzie wyniosła 60-90 proc., na wschodzie — zaledwie 30-50 proc.

Podobnie jak w głosowaniu śląskim, zwycięzcą okazała się prawica. Zdobyła w sumie prawie 40 proc. mandatów (z czego Chrześcijański Związek Jedności Narodowej wprowadził do Sejmu 163 posłów).

Dobry wynik osiągnęły też partie centrowe, uzyskując w izbie niższej ok. 20 proc. miejsc (PSL „Piast”: 70 posłów, Narodowa Partia Robotnicza: 18).

Ludowcy z „Piasta” stali się drugą siłą polityczną w Sejmie. Zaledwie 20 proc. uzyskały razem lewicowe PSL „Wyzwolenie” (49 posłów) i PPS (tylko 41 posłów). Przeważone tygodnie później wybory do Senatu potwierdziły rozkład głosów sejmowych: prawica zdobyła 49 miejsc, centrum — 20, a lewica — 15.

Biorąc pod uwagę podział na lewicy i dobrą organizację prawicy, wydawało się, że ta ostatnia będzie miała decydujący głos w rządzeniu państwem. Sama endecja (Związek Ludowo-Narodowy) dysponowała niemal setką parlamentarzystów. Głos rozstrzygający

Oszczerstwo bronią Ch-Je-Ny.

Przedkwestia głosów...
W Warszawie...
W Warszawie...
W Warszawie...

WYDZIEK

WYBORY I WYBORCZYNI!!
Termin do reklamacji przedłużono do 5. października.

Hasła bloku wyborczego mniejszości narodowych.
Odezwa bloku do wszystkich mniejszości narodowych.

W Warszawie...
W Warszawie...
W Warszawie...

WYDZIEK

WYBORY I WYBORCZYNI!!
Termin do reklamacji przedłużono do 5. października.

W Warszawie...
W Warszawie...
W Warszawie...

Zmiana ceny emisyjnej pożyczki złota.

Złoty polski = 1600 Mk.

Warszawa, (PAT.). Rozmowa z...
Wzrost...
Wzrost...
Wzrost...

Nad brzegiem urny wyborczej.

JAK NALEŻY GŁOSOWAĆ?

Głosować należy w...
Głosować należy w...
Głosować należy w...

W tym dniu...
W tym dniu...
W tym dniu...

OSTATNIE STRZELY.

W przeddzień wyborów...
W przeddzień wyborów...
W przeddzień wyborów...

GENERAŁ-GUBERNATOR DLA MAŁOPOLSKI WSKRZESIŁ.

W Warszawie, (PAT.). W sobotę...
W Warszawie, (PAT.). W sobotę...
W Warszawie, (PAT.). W sobotę...

STANOWISKO P. O. W.

Państw. Organizacja...
Państw. Organizacja...
Państw. Organizacja...

TAJNA ORGANIZACJA WOJSKOVO-POLITYCZNA.

Szczegółowe...
Szczegółowe...
Szczegółowe...

cji marcowej. Rataj wywoził się z „Wyzwolenia”, ale potem przeszedł pod skrzydła Witosa, utrzymując mimo wszystko poprawne stosunki z lewicą. Marszałkiem Senatu został endeck Wojciech Trąpczyński – też dzięki współdziałaniu ludowców z prawicą.

Śmierć prezydenta

Emocje związane z organizowaniem prac Sejmu i skomplikowanymi podchodami poszczególnych partii nie zdążyły jeszcze opaść, gdy sprawą numer jeden stało się wyłonienie pierwszego prezydenta RP. Choć według konstytucji nie miał on szerokich prerogatyw, było jasne, że przy okazji jego wyboru przez Zgromadzenie Narodowe rozegra się zażarta walka. Mało kto

Walka wyborcza rozegrana.

Głównymi partnerami ludowcy „Piasta” i „Wyzwolenia” i Chjena. - Chjena pieniądzem i terrorem zdobywa mandaty. - Poważne sukcesy ludowców. - Kompletny pogrom Skuleczyków.

Wynik głosowania we Lwowie

Głosowało 76.661 na 126.523 uprawnionych -
 1. 247 2. 14134 3. 3010 3. 428 4. 33485 5. 11 313 14. 1621 17. 24164 25. 10
 Listy nr. 17. 24164 Listy nr. 2. 14134

Obraz wyborów.

Masa rezultatów wyborczych nie jest jeszcze...
 Wynik głosowania...
 Wynik głosowania...

Przedwczoraj...
 Wynik głosowania...
 Wynik głosowania...

Przedwczoraj...
 Wynik głosowania...
 Wynik głosowania...

► Podsumowanie wyborów w „Kurierze Lwowskim”

dwóch największych partii chłopskich: „Piasta” i „Wyzwolenia”. Tej opcji nie był przeciwny sam Witos, a jej gorącym orędownikiem stał się Piłsudski. Budziła ona jednak gwałtowny sprzeciw części najbardziej lewicowych działaczy „Wyzwolenia”. Sytuacja była więc patowa. Efekty wyłaniania władz sejmowych świadczyły jednak o początkach praktycznej współpracy „Piasta” z prawicą. Marszałkiem izby niższej został przedstawiciel umiarkowanych ludowców Maciej Rataj, który wcześniej odegrał aktywną rolę przy tworzeniu konstitu-

tych największych partii chłopskich: „Piasta” i „Wyzwolenia”. Tej opcji nie był przeciwny sam Witos, a jej gorącym orędownikiem stał się Piłsudski. Budziła ona jednak gwałtowny sprzeciw części najbardziej lewicowych działaczy „Wyzwolenia”. Sytuacja była więc patowa. Efekty wyłaniania władz sejmowych świadczyły jednak o początkach praktycznej współpracy „Piasta” z prawicą. Marszałkiem izby niższej został przedstawiciel umiarkowanych ludowców Maciej Rataj, który wcześniej odegrał aktywną rolę przy tworzeniu konstitu-

tych największych partii chłopskich: „Piasta” i „Wyzwolenia”. Tej opcji nie był przeciwny sam Witos, a jej gorącym orędownikiem stał się Piłsudski. Budziła ona jednak gwałtowny sprzeciw części najbardziej lewicowych działaczy „Wyzwolenia”. Sytuacja była więc patowa. Efekty wyłaniania władz sejmowych świadczyły jednak o początkach praktycznej współpracy „Piasta” z prawicą. Marszałkiem izby niższej został przedstawiciel umiarkowanych ludowców Maciej Rataj, który wcześniej odegrał aktywną rolę przy tworzeniu konstitu-

► Na czele nowo wybranego parlamentu w 1922 roku stanęli: Maciej Rataj jako marszałek Sejmu (drugi od lewej) i Wojciech Trąpczyński jako marszałek Senatu (trzeci od lewej); pierwszy od lewej stoi późniejszy minister skarbu Eugeniusz Kwiatkowski; fot. NAC

dr Patryk Pleskot - historyk, pracownik OBEP IPN w Warszawie; autor kilkunastu książek, m.in. *Niewiadomski - zabici prezydenta* (2012)



Piekło w fabryce smalcu

Tomasz Ceran

Nieznana historia „Szalcówki”, niemieckiego obozu przesiedleńczego działającego w Toruniu w latach 1940–1943, to dowód na sadyzm nazistowskich oprawców, konsekwentnie dążących do przeobrażenia Pomorza w niemieckie Prusy.

Na terenie byłej fabryki smalcu i rafinerii olejów „Standard” w Toruniu pojawił się 10 listopada 1940 roku SS-Obersturmführer Heinz Radtke, zastępca szefa miejscowego gestapo. Centrala Przesiedleńcza w Gdańsku powierzyła mu misję zorganizowania obozu przesiedleńczego. Był to kolejny etap niemieckiej polityki odpolszczenia (*Entpolonisierung*) ziem polskich wcielonych do Rzeszy.

Obóz zbiorczy utworzono w czterech halach produkcyjnych dawnej fabryki smalcu na obrzeżach Torunia. Lokali-

zacja była dla niemieckiego okupanta atrakcyjna ze względu na małą odległość do Generalnego Gubernatorstwa, dokąd zamierzano wyrzucić z Pomorza wszystkich Polaków. Obóz miał się stać miejscem selekcji wysiedlanej i wywłaszczanej ludności. Dla usprawnienia tego procesu doprowadzono tu linię kolejową.

Pierwszy transport dotarł do obozu pod koniec listopada. Było w nim 1706 Polaków z całego Pomorza Gdańskiego. Większość z nich miała w ciągu dwóch, trzech dni zostać wywieziona do GG.

Kilka miesięcy później – w marcu 1941 roku – kiedy Niemcy zaczęli przygotowywać się do ataku na ZSRR, zamknięto granicę z Generalnym Gubernatorstwem rządzonego przez Hansa Franka. W rezultacie transporty do obozu przyjeżdżały, ale już z niego nie wyjeżdżały. W „Szalcówce” Polacy przebywali nie kilka dni, ale kilkanaście miesięcy, a niektórzy nawet prawie trzy lata. W czerwcu 1942 roku przetrzymywano tam 3441 więźniów.

„Eksperci” z łódzkiego oddziału Głównego Urzędu Rasy i Osadnictwa dokonywali w obozie wstępnej selekcji biologicznej i decydowali, które rodziny „zasługują” na pełne zniemczenie. Z kolei Referat Specjalny Służby Bezpieczeństwa SD dokonywał selekcji narodowościowej, by następnie zmuszać niektórych więźniów do wpisania się na niemiecką listę narodowościową – tzw. volkslistę.



Fot. AIPN

Opuszczone przez Polaków gospodarstwa zajmowali niemieccy osadnicy sprowadzani z krajów bałtyckich. W pierwszej kolejności wysiedlano „fanatycznych Polaków” – czyli tych, właścicieli atrakcyjnych gospodarstw oraz rodziny zamordowanych w 1939 roku (Niemcy obawiali się, że zasilą one polską konspirację).

Krematorium niepotrzebne

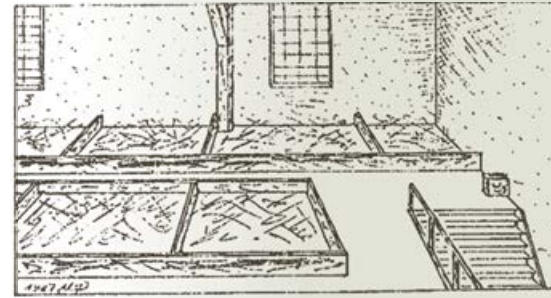
W opróżnionych z maszyn halach produkcyjnych Polacy spali na cementowej posadzce wyścielonej słomą, w tzw. barłogu. Słoma była zmieniana tylko za czasów pierwszego z czterech komendantów obozu. Szybko stała się więc siedliskiem bakterii, pcheł i wszy.

W halach panował wręcz niewyobrażalny ścisk i zaduch. Każdemu więźniowi kapo odmierzał deską miejsce na barłogu w taki sposób, że na dziecko przypadało ok. 35, a na dorosłego ok. 45 cm szerokości. Gdy więźniowie podczas snu chcieli się przewrócić na drugi bok, musieli to zrobić równocześnie. Na początku nie było łazienek, ich funkcję spełniały trzydziestolitrowe kubły. Małe dzieci załatwiały potrzeby fizjologiczne bezpośrednio do słomy, na której spały. Więźniowie nie otrzymywali żadnych ubrań; nosili to, co udało im się zabrać z domu. Szczególnie dramatyczny był los tych rodzin, które wysiedlono latem i nie zabrały ciepłych ubrań. Chcąc zachować minimum higieny, matki suszyły często jedyne ubranie dzieci na swoim cieple.

„Niewyobrażalny smród i gęste, przesycone oparami kału, moczu, gnijących z brudu ciał, morowe powietrze. Więźniów dziesiątkowały choroby z głodu, zimna, robactwa, gryzoni i szczurów, ciężko chorowaliśmy na zakażenie ogólne organizmu” – wspominała Melania Kuczyńska, jedna z więźniarek „Szmalcówki”. Wybuch epidemii tyfusu, duru plamistego i odry był kwestią czasu. Opieka medyczna w praktyce nie istniała. Niemcy zdecydowali się jedynie odseparować zakażonych więźniów od pozostałych, tworząc podobóz zlokaliz-

owany w byłej drukarni przy ul. Bażyńskich (Goethestrasse). Kto raz tam trafił, już nie wracał. W obozie był lekarz, Polak o nazwisku Ulatowski. Dysponował tylko aspiryną i własną porcją jedzenia, którą często oddawał pacjentom. Zdesperowani ludzie próbowali się leczyć własnym moczem.

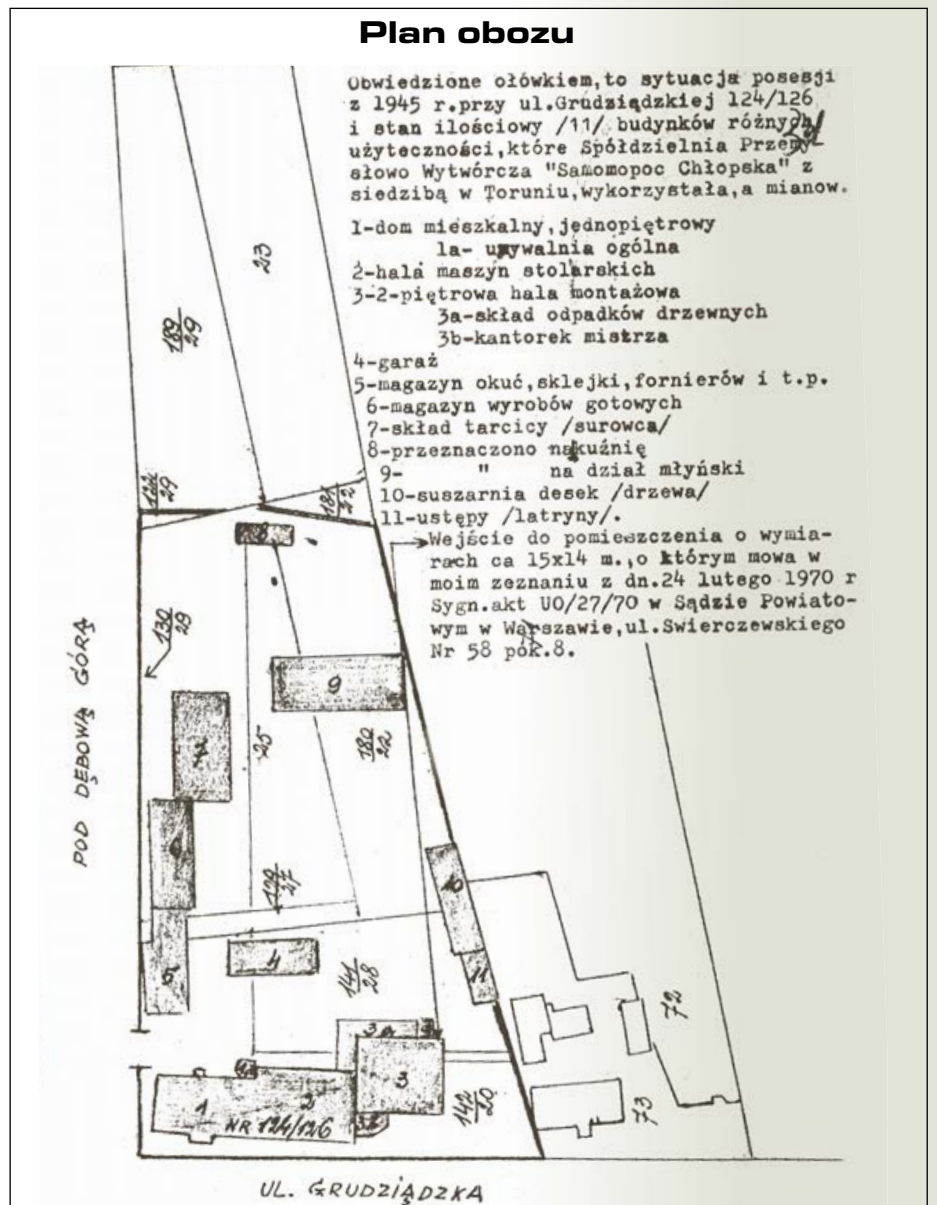
W obozie panował głód. Na dzienną rację żywnościową składały się: kawałek chleba, kubek niesłodzonej kawy („lury”) i „zupa z bydlęcymi łbami”. Prawdziwą rzadkością były ziemniaki. Więźniowie otrzymywali je tylko na wigilię i urodziny Führera (20 kwietnia – oficjalne święto państwowe w III Rzeszy). Kobiety, by nakarmić dzieci, oddawały się wartownikom za kromkę

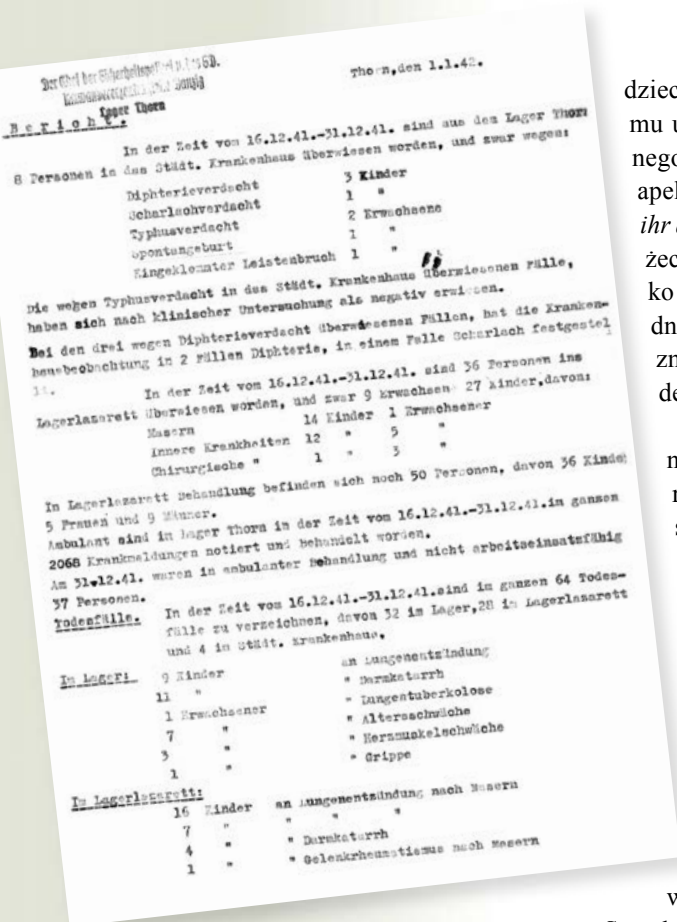


▶ Więźniowie spali na posadzce wyścielonej słomą; rysunek byłego więźnia Henryka Klimka

chleba. Niemowlęta były dożywiane fuszami od kawy. Ich spożycie nierzadko powodowało jednak biegunkę i zaburzenia pokarmowe, które często prowadziły do śmierci. Matki, którym umierały ▶

▶ Plan obozu sporządzony po 1945 roku





► Sprawozdanie lekarza obozowego: od 16 do 31 grudnia 1941 roku zmarły 64 osoby

► Pomnik znajdujący się na Cmentarzu Komunalnym im. Ofiar II Wojny Światowej

dzieci, traciły zmysły. Ulatowskemu utkwiły w pamięci słowa jednego z esesmanów, który podczas apelu miał powiedzieć: *Jetzt könnt ihr alle hier krepieren* („Teraz możecie tu wszyscy zdechnąć”). Tylko w ciągu ostatnich dwóch tygodni grudnia 1941 roku w obozie zmarły 64 osoby. Umierały przede wszystkim dzieci.

Bicie i znęcanie się nad więźniami były normą i urzędowym rytuałem. Na trwale zapisały się w pamięci Polaków, którzy przeżyli „Szmalcówkę”. Przemoc fizyczną stosowano zarówno wobec dorosłych mężczyzn, jak i kobiet oraz dzieci. Bito nawet kobiety w ciąży. Eskalacja przemocy nastąpiła w okresie od września 1941 roku do stycznia 1942 roku, gdy obóz w Toruniu został podporządkowany obozowi Stutthof, a komendantem „Szmalcówki” został Richard Reddig, który w Stutthofie zajmował się szkoleniem wartowników. Ze względu na sposób bicia był nazywany bokserem. Do Torunia przybyła także II kompania wartownicza, która w sposób „profesjonalny” miała pełnić nadzór nad przesiedleńcami. Lidia Kaczyńska zeznała,

że w trakcie przewożenia jej sześcioposobowej rodziny do „Szmalcówki” jej kilkumiesięczny brat Waldemar bardzo płakał i mama nie mogła go uspokoić. Jeden z esesmanów miał udzielić następującej rady: „Nie wiecie, co z nim zrobić? Złapcie go za nóżki i uderzcie głową o koło pociągu”. Dziecko zmarło w obozie 8 maja 1942 roku; żyło niecałe dziewięć miesięcy.

W „Szmalcówce” nie dokonywano egzekucji, nie było komór gazowych, cyklonu B, zastrzyków fenolu. Henryk Wojtalewicz, były więzień „Szmalcówki”, stwierdził, że w obozie „krematorium nie było potrzebne”. Głód, mróz, przerażające warunki sanitarne, choroby zakaźne i sadyzm niemieckich wartowników okazały się w pełni wystarczające.

Czytając protokoły zeznań byłych więźniów „Szmalcówki”, trudno nie stwierdzić, że ten obóz przejściowy był piekłem zorganizowanym przez niemieckich zbrodniarzy. Zofia Kosak-Szczucka w broszurce *W piekle*, wydanej w 1942 roku, opisała pięć największych niemieckich obozów, zaznaczając zarazem, że „na terenie Rzeszy, zachodnich ziem polskich oraz tzw. Generalnej Guberni znajduje się znaczna ilość pomniejszych kręgów piekielnych, mniejszych co do rozmiarów, nie co do nasilenia męki”. Obóz w Toruniu niewątpliwie był takim właśnie kręgiem piekielnym. Warto pamiętać, że na terenie okupowanej Polski Niemcy zorganizowali blisko 5 tys. różnego rodzaju obozów, więzień, aresztów.

„Powinno was zdychać więcej”

Historia „Szmalcówki” to także dowód na zapomniane części składowe ideologii narodowego socjalizmu – antyślawizm i antypolskość. W obozie został brutalnie zamordowany sędzia Adam Hoszowski – za to tylko, że podczas jednego z rutynowych bić powiedział do swojego niemieckiego oprawcy: „Co we mnie walisz jak w bęben? To jest wasza niemiecka kultura!”. Zamknięto go w bunkrze, gdzie był przez dwa tygodnie bity i upokarzany do tego stop-



Fot. T. Czeran

nia, że prosił współwięźniów o sznurek albo żyłkę, aby popełnić samobójstwo. W końcu został zastrzelony. Wartownik o nazwisku Dohbert po śmierci trzech więźniów miał powiedzieć: „Do diabła! Dlaczego tak mało? Przekłete polskie świnie! Powinno ich zdychać więcej...”. Z kolei Willy Ehlert – trzeci komendant obozu – gdy zobaczył, że jedna z Polek, Wanda Klimek, troskliwie opiekuje się sześciorgiem dzieci, powiedziała: „Jesteś dobrą matką. Chyba już kiedyś mówiłem, gdybyś nie była Polką, stawałbym ciębie niemieckim matkom za wzór. Ale jesteś. I w tym tkwi cały twój problem”.

Zbrodnia bez kary

Obóz w Toruniu zlikwidowano w czerwcu 1943 roku, a pozostałych więźniów przewieziono do podobnego obozu w Potulicach. Znamy z imienia i nazwiska 515 Polaków, którzy zginęli w „Szmalcówce”; najczęściej były to całe rodziny. 317 ofiar, czyli 62 proc., to dzieci. Wśród nich dwie trzecie miało mniej niż trzy lata. Najstarszą osobą, która zmarła w obozie, była dziewięćdziesięcioletnia Maria Jasiecka. Jedną z najmłodszych ofiar była zaś Anna Rudek, która urodziła się nieżywa lub zmarła tuż po urodzeniu.

Żaden z czterech komendantów obozu, nie mówiąc już o szeregowych wartownikach, nie został pociągnięty do odpowiedzialności karnej. Ostatni z nich – wspomniany już Willy Ehlert – zmarł przez nikogo nieniekajony w 1995 roku w Oldenburgu. Prokurator z bydgoskiej delegatury Instytutu Pamięci Narodowej Małgorzata Wójcik w postanowieniu o zawieszeniu śledztwa w sprawie „Szmalcówki” nie mia-

▶ Fragment symbolicznego obozowego muru z tablicami pamiątkowymi postawiony na skrzyżowaniu ulic Kozackiej i Grudziądzkiej

ła wątpliwości, że „zachowanie władz obozu – świadome i celowe, utrudniające w różnoraki sposób życie ludności osadzonej w obozie, doprowadzające do jej biologicznego wyniszczenia, wyczerpuje znamiona przestępstwa – zbrodni ludobójstwa”.

Mądra pamięć

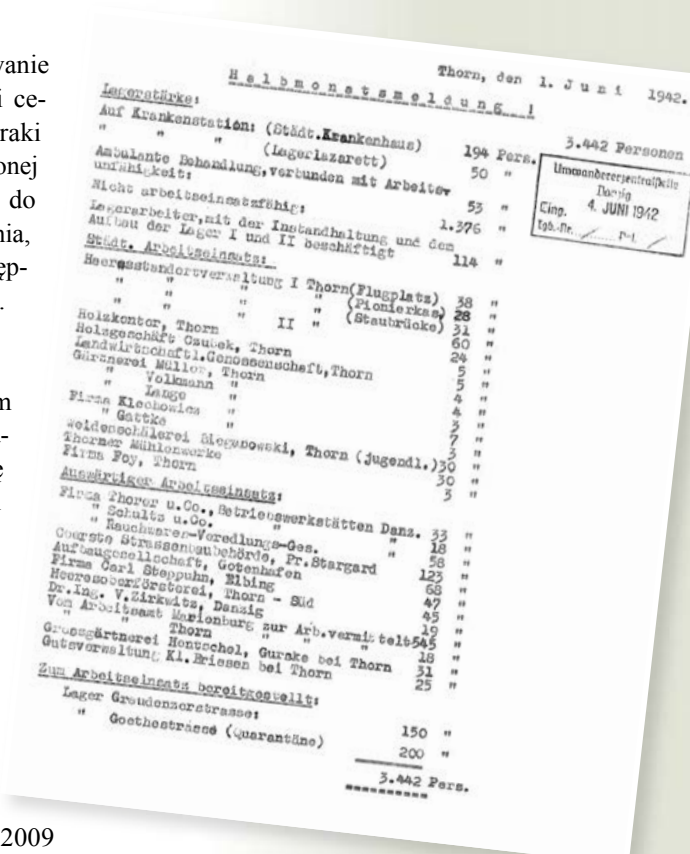
Na Cmentarzu Komunalnym nr 2 im. Ofiar II Wojny Światowej w Toruniu znajduje się pomnik „Dzieciom polskim ofiarom faszyzmu”. Prowadzi do niego alejka, wzdłuż której umieszczono 51 grobów dziecięcych. Na niektórych z nich zachowały się drewniane lub kamienne krzyże, a bliscy do dziś, oprócz kwiatów i zniczy, przynoszą małe pluszowe misie. Obok mogił w 2009 roku postawiono osiem kamiennych tablic z imionami i nazwiskami dzieci, które zginęły w obozie. Wnuk Henryka Wojtałowicza – Pawełek – kilka lat temu, gdy dowiedział się, że jego dziadek był w obozie w Toruniu, poprosił go o opowiedzenie na lekcji historii przeżyć związanych z II wojną światową. Podczas zajęć były więźni „Szmalcówki” ze smutkiem zorientował się, że nikt – łącznie z nauczycielem

▶ Z raportu komendanta: 1 czerwca 1942 roku w obozie przebywały 3442 osoby

pochodzącym z grodu Kopernika – nic o obozie nie wiedział. Jak stwierdził, „nie chodzi o sianie nienawiści między narodami czy bezustanne epatowanie martyrologią narodu polskiego. Chodzi o pamięć”.

Czesław Miłosz w eseju *Po stronie pamięci* napisał: „Tam, gdzie nie ma pamięci, nie tylko czas jest pustkowiem, także przestrzeń, drzewa i skały mówią do nas, ale my ich nie rozumiemy. Tylko poprzez pamięć możemy nauczyć się rozumieć ich mowę”.

dr Tomasz Ceran – historyk, pracownik OBEP w Gdańsku, autor książki „Szmalcówka”. *Historia niemieckiego obozu w Toruniu (1940–1943) na tle ideologii nazistowskiej* (2011)



Fot. T. Ceran

Aktion Zamosc

Agnieszka Jaczyńska



► Niemcy zabierają dzieci

Fot. AIPN

W ciągu kilku miesięcy 1942 i 1943 roku Niemcy wysiedlili z Zamojszczyzny ponad 100 tys. Polaków. Mija właśnie 70 lat od tych okrutnych wydarzeń.

W lipcu 1941 roku Heinrich Himmler wizytował Zamojszczyznę, by przekonać się, czy „oczyszczony” z Polaków obszar może być kolonizowany przez Niemców z Besarabii, Ukrainy, Bośni, Serbii i Słowenii. Już 17 lipca nakazał rozpoczęcie akcji, która miała doprowadzić do powstania pierwszego obszaru osiedleńczego Niemców w Generalnym Gubernatorstwie (GG). Ten „bastion niemieckości” miał się stać punktem wyjścia do kolonizacji obszarów położonych jeszcze bardziej na wschodzie. Nadzór nad operacją powierzono wyższemu dowódcy SS i policji w GG Friedrichowi-Wilhelmowi Krügerowi, a bezpośrednio wykonanie Odilo Globocnikowi, dowódcy SS i policji na dystrykt lubelski.

Od 6 do 25 listopada 1941 roku Niemcy wysiedlili siedem podzamojskich wsi: Huszczkę Małą, Huszczkę Dużą, Wysokie, Dulniki, Białobrzegi, Bortatycze i Zawadę (w sumie ponad 2 tys. Polaków). Na masową skalę akcję wysiedleńczą rozpoczęto jednak w nocy z 27 na 28 listopada 1942 roku, poczynając od wsi Skierbieszów. I trwała ona, z kilkumiesięczną przerwą, do sierpnia 1943 roku. Plany niemieckie przewidywały wypędzenie 140 tys. Polaków z 696 wsi oraz sprowadzenie 60 tys. kolonistów niemieckich. Ostatecznie wysiedlenia Zamojszczyzny objęły 293 wsie i ok. 110 tys. Polaków, w tym 30 tys. dzieci. W toku tej akcji przemieszczono również ok. 18 tys. Ukraińców. Do opróżnionych wsi sprowadzono ok. 12–13 tys. osadników niemieckich. W akcji wysiedleńczej Zamojszczyzny uczestniczyli: policja, żandarmeria, żołnierze SS i Wehrmachtu, Sonderdienst, volksdeutsche oraz Ukraińska Policja Pomocnicza w służbie niemieckiej. Generalny gubernator Hans Frank chciał, aby Aktion Zamosc rozpoczął dopiero po zwycięstwie nad ZSRR, ale Reichsführer-SS Heinrich Himmler, ciesząc się pełnym poparciem Adolfa Hitlera, nie zamierzał czekać.

Obóz w Zamościu

W listopadzie 1942 roku, na krótko przed rozpoczęciem właściwych wysiedleń, zamojska filia Centrali Przesiedleńczej zdecydowała o przerobieniu istniejącego u zbiegu ulic Piłsudskiego i Okrzei w Zamościu obozu dla jeńców sowieckich na obóz przejściowy dla wysiedlanej ludności. Do istniejących dwóch baraków stajennych dobudowano piętnaście baraków mieszkalnych. Komendantem obozu został SS-Unterscharführer Artur Schütz, ale w czerwcu 1943 roku skierowano go do Zwierzyńca w celu usprawnienia funkcjonowania tamtejszego obozu. Wówczas na czele obozu w Zamościu stanął SS-Sturmbannführer Hermann Krumey. Decyzje o dalszym losie uwięzionych podejmował w trakcie badań rasowych Riel, nazywany przez więźniów „doktorem”. Innym zapamiętanym przez więźniów członkiem załogi był nazywany „Karnarkiem” Grunert, członek SA, który segregował uwięzionych po przeprowadzeniu badań rasowych. To jego i komendanta Schütza więźniowie uważali za najokrutniejszych zbrodniarzy.

Cały obóz otoczono drutem kolczastym. Na rogach ogrodzenia postawiono wieże strażnicze. Szczególnie chronio-

► Kolumna wysiedlonych mężczyzn z pow. biłgorajskiego prowadzonych pod niemiecką eskortą, najprawdopodobniej do obozu przejściowego w Zamościu, lipiec 1943 roku

ny był barak, w którym przesłuchiowano podejrzanych o działalność konspiracyjną oraz pochwyconych w czasie akcji antypartyzanckich. Na terenie obozu obowiązywał ścisły zakaz przebywania więźniów poza wyznaczonym miejscem pobytu. W jednym z baraków urządzono szpital; mógł pomieścić 120 chorych. Więźniów trzymano w warunkach zagrażających życiu i zdrowiu, panował głód, brakowało lekarstw. Szerzyły się choroby, które często kończyły się śmiercią. Wysoki odsetek zgonów wśród uwięzionych zanotowano szczególnie w pierwszej fazie wysiedleń, w okresie bardzo surowej zimy.

Polacy wysiedleni ze Skierbieszowa i okolicznych wiosek trafili do obozu pomiędzy 28 a 30 listopada 1942 roku. Według danych niemieckich w ciągu miesiąca osadzono tam 7055 mieszkańców z 62 wsi. Po przekroczeniu obozowej bramy kierowani byli do baraku 5, a następnie do baraków 2, 3 lub 4, gdzie komisja kwalifikacyjna dokonywała segregacji. Decyzje podejmowano na podstawie zarządzenia Himmlera, które nakazywało dzielić badanych na cztery podstawowe grupy. Pierwszą stanowili spolszczeni Niemcy, drugą ci, których wedle kryteriów rasowych można było zgermanizować. Kolejna, trzecia grupa to osoby nadające się do pracy, do czwartej zaś zaliczano pozostałych, w tym dzieci do czternastego roku życia, osoby powyżej 60 lat oraz chorych i ułomnych. W obrębie grupy czwartej stosowano dodatkową segregację – ostatecznie decydującą o wywózkach do Auschwitz oraz o wyodrębnieniu dzieci przeznaczonych do zniemczenia.

Segregacja rozpoczynała się od sprawdzania dokumentów i rozdzielania rodzin. Separacja mężczyzn od kobiet i dzieci spowodowała przerażenie. Płacz, wołanie o pomoc i próby powstrzymania obozowej załogi nieuchronnie kończyły się biciem i stanowczym egzekwowaniem procedur. Wysiedleńcy zakwalifikowani do I i II grupy całymi rodzinami osadzani byli w barakach 6, 7 lub 8, w późniejszym czasie w 10. Po krótkim pobycie w obozie przewożono ich do Łodzi, gdzie po dodatkowych badaniach większość trafiała na roboty do Rzeszy, a pozostali do ośrodków germanizacyjnych. W baraku 9 i 10 umieszczano zakwalifikowanych do grupy III. Do baraku 12 trafiali więźniowie z grupy IV przeznaczeni do wywózki do KL Auschwitz, a w barakach 9a, 16 i 17 gromadzono osoby starsze i dzieci do czternastego roku życia, które sukcesywnie wywożono transportami kolejowymi do tzw. wsi rentowych w okolicach Garwolina i Siedlec.

Do końca stycznia 1943 roku większość osób przywożonych do obozu w Zamościu została z niego wywieziona. Od lutego trafiali tu schwytni żołnierze Batalionów Chłopskich i Armii Krajowej biorący udział w akcjach zbrojnych, które miały utrudnić przeprowadzanie wysiedleń, oraz mężczyźni, którzy zdaniem okupanta mogli przystąpić do oddziałów partyzanckich. Byli oni osadzani w dwóch wydzielonych barakach i poddawani ciężkiemu śledztwu. 28 lutego prawie tysiąc więźniów zostało wywiezionych w kierunku Mińska Mazowieckiego, w połowie marca zaś przewieziono ich do Berlina. W tym czasie masowe wysiedlenia zostały wstrzymane, a ponad tysiąc więźniów wykorzystywano jako

przymusowych robotników na terenie obozu lub poza jego obrębem. W maju 1943 roku, po wywiezieniu ponad siedmiuset Polaków, na miejscu pozostało pięćset więźniów.

Na początku czerwca, z powodu przygotowań do przyjęcia ofiar trzeciej fazy wysiedleń („Großaktion”), obóz został praktycznie opróżniony. Po rozpoczęciu ►

W obozie w Zamościu

Kazimiera Dołba (z domu Kowalczyk)

„[...] wprowadzili nas do pierwszego baraku. [...] przyszedł do nas komendant obozu i powiedział, że kolejno mamy iść całymi rodzinami do lekarzy. [...] Rozbieraliśmy się do pasa i pojedynczo podchodziliśmy do nich [...] Kładliśmy ręce na stół, a wtedy patrzyli nam w oczy, za uszy i na ręce. Rodzicom dawali kartki i szliśmy do następnego baraku. [...] Zaczęli oddzielać dzieci od rodziców i wtedy zaczęło się piekło na ziemi. [...] Dzieci trzymają matki za ręce, za spódnicę, wracają, matki płaczą. A Niemcy rozwścieczeni krzyczą: „Odprowadzić, bo jak ci dam 25 nahajów, to cię zaraz szlag trafi”. [...] Dzieci i tak wracały, a oni je popychali, odrzucali. [...] Dzieci odprowadzili do baraku numer 9 – A i B. [...] wieczorem ścieraliśmy szmatami i miotłą wodę i każdy rozkładał na podłodze jakieś szmaty [...] i tak spaliliśmy. [...] poszłam raz na drugą dziewiątkę. Tam nie było podłogi i jak ludzie śniegu nanieśli butami, zrobiło się błoto. Poszłam z mamą do baraku numer 16, [...] to była końska stajnia: nie było w ścianach okien [...]. Podłogi też nie było, jedynie ziemia. Ratowało ich, że były tam półki zbite z desek i na tych półkach siedziały dzieci. [...]”

Bogusław Garbacik, *Wysiedlenia Wielączy*, „Karta. Kwartalnik historyczny” 2010, nr 62, s. 59–60

Fragmenty dziennika Adama Mastalińskiego

1 lipca 1943 roku:

„Na ulicach miasta ukazały się gromadki kobiet z pakunkami. To żony, matki i siostry niosą żywność swoim mężom, braciom i synom. Czy podadzą za druty? Czy pozwolą im?” (s. 169).

6 lipca 1943 roku:

„Baraki są stale rozładowywane i ponownie zapełniane. A ile wywozi się na cmentarz? Po kilka, kilkanaście trupów codziennie, lub, co dwa-trzy dni. Są przywożone, jak kłody zrucane na ziemię i grzebane bez niczego” (s. 173).

Karty męczeństwa Zamojszczyzny. Dziennik spisany pod okupacją hitlerowską, red. Konrad Mastaliński, Zwierzyniec 2011



Fot. ze zbiorów Muzeum Zamojskiego w Zamościu

► Badania rasowe wysiedlonych w obozie przejściowym w Zamościu

tej akcji tylko pomiędzy 24 czerwca a 5 lipca do obozu trafiło 12 070 osób. Byli to mieszkańcy powiatu biłgorajskiego; wielu z nich przeszło wcześniej przez obóz w Zwierzyńcu. Załoga obozowa szczególnie okrutnie obchodziła się z mężczyznami; wielu pod pretekstem działalności w partyzance poddano barbarzyńskim przesłuchaniom. Od pierwszych dni lipca Riel rozpoczął segregację więźniów, po której właściwie nieprzerwanie wysyłano transporty na Majdanek i do Rzeszy. Z powodu olbrzymiego przeludnienia więźniowie przetrzymywani byli pod gołym niebem, zaprzestano również systematycznej segregacji.

W połowie sierpnia 1943 roku akcja wysiedleńcza została zahamowana. Niemcy skupili się na przygotowywaniu kolejnych transportów, kierowanych głównie do Generalnego Gubernatorstwa. W obozie pozostało około siedmiuset Polaków, z których część wywieziono na Majdanek. Ostatecznie pozostało dwustu więźniów, którzy byli potrzebni Niemcom do utrzymania obozu, gdy znajdował się już w fazie likwidacji. W listopadzie i grudniu w obozie przebywał wspomniany Hermann Krumey, szef Centrali Przesiedleńczej w Łodzi. Przyjmuje się, że obóz w Zamościu został zlikwidowany 19 stycznia 1944 roku, chociaż nie można wykluczyć, że na krótko została tu osadzona pewna liczba jeńców sowieckich. Na podstawie niemieckich dokumentów można stwierdzić, że tylko w okresie wysiedleń Zamojszczyznę przez obóz w Zamościu przeszło 31 536 Polaków.

Obóz w Zwierzyńcu

Na początku okupacji pełnił on funkcję bazy organizacji Todt, wykorzystującej przymusowych pracowników do budowy i remontów dróg. W 1942 roku wydzielono sześć baraków otoczonych drutem kolczastym i wieżami strażniczymi; do grudnia mieściła się w nich karna kompania dla 320 jeńców francuskich. W lutym 1943 roku trafiło tu 280 mężczyzn z pobliskich wsi, a następnie grupa mężczyzn, kobiet i dzieci z okolic Józefowa. Pod koniec marca, po pacyfikacji wsi Różaniec, do obozu w Zwierzyńcu ze spalonej wsi oraz jej okolic przypędzono ośmiuset mieszkańców, w tym kobiety i dzieci, a następnie kolejnych z Wyłóczki. Pozostali trafili do obozu w Zamościu i na Majdanek. Łącznie w marcu i kwietniu 1943 roku przez obóz w Zwierzyńcu przeszło ponad 2500 osób.

Wiosną 1943 roku obóz opustoszał, a jego załoga zaczęła przystosowywać go dla ofiar akcji pacyfikacyjno-wysiedleńczej realizowanej przez Niemców pod kryptonimem „Werwolf” w ramach „Großaktion”. Załogę obozu w Zwierzyńcu stanowili m.in.: komendant SS-Hauptsturmführer Reinhold Hahn (wcześniej służył w Auschwitzu) i gestapowcy – Waldemar Trautwein, Albert Zeiga i Leon Arendt. Funkcje strażników pełnili również Ukraińcy. Pod koniec czerwca 1943 roku do Zwierzyńca zaczęły trafiać ofiary ostatniej fazy wysiedleń. Byli to m.in. mieszkańcy Aleksandrowa i Górecka (3 tys. osób), Majdanu Kasztelańskiego i Tarnogrodu. W pierwszych dwóch dniach lipca osadzono w Zwierzyńcu 1500 męż-

czyni ze Szczepieszyna, a także ponad dwustu z przyległych do niego wiosek. Po 15 lipca do obozu trafiały niewielkie grupy wysiedleńców, co wiązało się z wyhamowywaniem akcji. Więźniów transportowano w różny sposób, z pobliskich miejscowości byli pędzeni pieszo, czasami podstawiano furmanki. Z odleglejszych miejscowości przywożono ich ciężarówkami i pociągami.

W okresie największego zagęszczenia obóz składał się z 21 baraków, w tym dziewięciu o charakterze mieszkalnym. Wydzielono w nim trzy pola, każde otoczone ogrodzeniem z drutu kolczastego. Pierwsze pole zajmowały budynki administracji i obsługi obozu, na drugim przetrzymywano jeńców podejrzanych o przynależność do partyzantki, a trzecie przeznaczone było dla pozostałych wysiedleńców. W tym czasie obozu broniło kilka dział oraz stanowisk ciężkich karabinów maszynowych. Panowały tu niezwykle ciężkie warunki sanitarno-bytowe. Brakowało żywności i wody, która była przywożona w beczkowozach ze studni leżącej poza obrębem obozu, głównie na potrzeby kuchni. Prawie nieosiągalna była do celów higienicznych, bywały dni, że nie dostarczano jej więźniom w ogóle. Nie funkcjonowały żadne budynki sanitarne, baraki przystosowane były do przetrzymywania około czterystu osób, tymczasem w obozie przebywało przeciętnie od 2 tys. do 4 tys. osadzonych, a niekiedy liczba ta wzrastała do 7 tys. W takich warunkach wśród uwięzionych szerzyły się dyfteryt, zatrucia pokarmowe, a wśród dzieci wybuchła

► Dzieci z ochronki prowadzonej przez Różę i Jana Zamojskich, uratowane z obozu przejściowego w Zwierzyńcu



Fot. ze zbiorów Muzeum Zamojskiego w Zamościu

epidemia odry. Niewielki dwuizbowy szpitalik nie był w stanie pomieścić wszystkich potrzebujących.

Hrabia Jan Zamoyski, przewodniczący Komitetu Rady Głównej Opiekuńczej na powiat biłgorajski oraz delegat do RGO w Krakowie, podjął ryzyko osobistej rozmowy z Odilo Globocnikiem i uzyskał zgodę na wypuszczenie z obozu dzieci do lat sześciu. Wszystkie zostały umieszczone w prowadzonej przez jego żonę, Różę Zamoyską, ochronce w Zwierzyńcu.

Ponownie obóz zapełnił się w czerwcu 1944 roku podczas niemieckiej akcji antypartyzanckiej „Sturmwind I i II”. W lipcu Niemcy zlikwidowali ogrodzenie, przygotowując obóz na miejsce postoju dla swoich wycofujących się wojsk. W trakcie walk o Zwierzyniec część baraków została zniszczona. Szacuje się, że przez obóz w Zwierzyńcu w lipcu i sierpniu 1943 roku przeszło ok. 12 tys. mężczyzn, kobiet i dzieci, natomiast w całym okresie funkcjonowania obozu ok. 20 tys. Polaków.

Auschwitz

Część ludności Zamojszczyzny wysiedlonej w pierwszej fazie została wywieziona trzema transportami z obozu przejściowego w Zamościu do Auschwitz. W pierwszym transporcie, który wyruszył z Zamościa 10 grudnia 1942 roku, znajdowało się 644 mieszkańców wsi położonych wokół Zamościa (m.in. Skierbieszowa, Howca, Wielączy, Zawady, Chomęcisk) oraz Majdanu – przedmieścia Zamościa. Do KL Auschwitz dotarły 632 osoby (318 kobiet i dziewcząt, w tym co najmniej 19 dziewczynek poniżej piętnastego roku życia, oraz 314 mężczyzn i chłopców, z których 48 miało od 9 do 14 lat); pozostałe zdołały zbiec przed dotarciem transportu do celu. Drugi transport, skierowany z obozu w Zamościu 13 grudnia 1942 roku, złożony był głównie z mieszkańców wsi okalających Zamość od strony Krasnobrodu (m.in. Łabunie, Żdanów, Lipsko); liczył 86 osób (48 kobiet i dziewcząt oraz 38 mężczyzn i chłopców). Trzecim transportem, z 3 lutego 1943 roku, wywieziono z Zamoś-

cia 1000 osób, mieszkańców powiatów hrubieszowskiego i zamojskiego (m.in. Sitno, Niedzieliska, Komarów, Horyszów Polski, Mircze). Znajdowało się wśród nich 417 zamojskich Żydów, których zgładzono natychmiast po przybyciu transportu do Auschwitz. Wśród 583 Polaków zarejestrowano 301 kobiet i dziewcząt (najmłodsza z nich miała 13 lat) oraz 282 mężczyzn i chłopców.

Wysiedleńcy z obozu przejściowego w Zamościu w dniu formowania transportu przeganiani byli na towarową rampę kolejową, gdzie umieszczano ich w bydłych wagonach, z których każdy miał jedynie dwa małe zakratowane okienka. Trzydniowa droga w przepelnionych wagonach – bez żadnych przystanków, przy braku wody i pożywienia oraz dużym mrozem – powodowała ogromne wyczerpanie. Gdy transporty docierały do rampy kolejowej Auschwitz, wśród krzyków, pędzenia i bicia wszyscy byli wypędzani z wagonów przez esesmanów. Następnie oddzielano mężczyzn od kobiet. Mężczyźni byli kierowani do obozu męskiego (sektor B I b) w Birkenau, a kobiety do kobiecego (B I a). Następnie w ciągu kilku kolejnych dni dokonywano rejestracji uwięzionych, potwierdzanej wytatuowaniem numeru obozowego. Wszystkie kobiety przechodziły kwarantannę, w czasie której wyodrębniano matki z córkami oraz kobiety w widocznej ciąży, izolując je od pozostałych więźniarek z Zamojszczyzny. Starsze, chore i kaleki kierowano do baraku zwanego „blokiem śmierci”, skąd trafiały do komór gazowych. Szczególnie tragiczny los spotkał matki rodzące w obozie oraz ich dzieci. Do czerwca 1943 roku były one uśmiercane zastrzykami z fenolu; udokumentowano przypadki takich zabójstw w styczniu 1943 roku. Po zakończeniu kwarantanny kobiety umieszczano w komandach pracy. Mężczyźni przed rejestracją przechodzili selekcję, podczas której oddzielano starszych, kalekich oraz młodszych chłopców. Nieznany jest ich dokładny los; wiadomo, że w styczniu 1943 roku kilku chłopców z Zamojszczyzny zostało

W obozie w Zwierzyńcu

Z relacji Edmunda Lotza

(wysiedlonego z Zamchu 29 czerwca 1943 roku)

„[...] na zbiórce [...] zobaczyłem [...] człowieka, około 70 lat. [...] Niemiec wstał zza stołu i zastrzelił tego starca bez żadnej przyczyny. [...] Jan Buczek z Zamchu przyniósł chleb dla głodnych mężczyzn na polu karnym. Zobaczył to wartownik z wieży i strzelił, zabijając [...] mężczyznę z grupy dzielącego chleb [...]. Śmiertelność ludzi w obozie była duża, przeważnie wśród starców i małych dzieci. [...] w czasie mojego pobytu zmarło w obozie ponad 100 osób”.

Czesław Służewski, *Hitlerowski obóz przejściowy w Zwierzyńcu*, Zwierzyniec 1993, s. 92–93

Fragment dziennika dr. Zygmunta Klukowskiego

„[...] największe wrażenie [...] sprawily na mnie dzieci w szpitalu ordynackim [...] około czterdziestu, najwięcej w wieku do pięciu lat. Chorują [...] na czerwonkę i odrę. [...] leżą po dwoje, wyniszczone i wychudzone tak, że podobne są raczej do trupków”.

Zygmunt Klukowski, *Zamojszczyzna. Tom I, 1918–1943*, Warszawa 2007, s. 369–370

Auschwitz

Fragment zeznania Stanisława Głowy przed sędzią okręgowym śledczym Janem Sehnem w Krakowie, 30 września 1946 roku

„[...] Zimą 1942/43 sprowadził Rapportführer Palitzsch [...] 2-ch chłopców, pochodzących z transportu z Zamojszczyzny. [...] przyprowadził ich na blok 20-ty, gdzie Pańszczyk obu zaszpiłował [podał trujący zastrzyk]. Byli to chłopcy: Rycaj Mieczysław i Rycyk Tadeusz. [...] Resztę, tzn. około 90-ciu chłopców, przyprowadził Palitzsch na blok 20-ty i tam zostali zabici zastrzykami przez podoficera sanitariusza Scharpego. [...]”

Helena Kubica, *Zagłada w KL Auschwitz Polaków wysiedlonych z Zamojszczyzny w latach 1943–1943*, Oświęcim–Warszawa 2004, s. 221

Fragment zeznania Czesława Węclawika, wysiedlonego wraz z żoną ze Skierbieszowa, na temat pobytu w KL Auschwitz

„[...] zostałem wysiedlony wraz z żoną, która była wtedy w ciąży. [...] W Oświęcimiu rozdzielono mnie z żoną. Słyszałem od ludzi, że żona [...] urodziła żywe dziecko, które Niemcy za pomocą zastrzyku zabili. Żonę również Niemcy [...] zabili [...]. W transporcie tym, w którym mnie Niemcy wieźli do Oświęcimia, było [...] około 200 dzieci w wieku od 8 do 10 lat. Przez dwa miesiące dzieci te były razem z dorosłymi, a później Niemcy zabrali je i ślad po nich zaginął. [...]”

Helena Kubica, *Zagłada w KL Auschwitz Polaków wysiedlonych z Zamojszczyzny w latach 1942–1943*, Oświęcim–Warszawa 2004, s. 218

*Do obozów i w Ameryce
prawomocnie. Jan Bożego
Janinek i cniela tej.
i matka Stefei i Józta
Chciałbym się do nie-*

Fot. AIPN



► Dzieci Zamojszczyzny w Szpitalu Miejskim im. Jana Bożego w Lublinie, po zwolnieniu z Majdanka

Na Majdanku

Fragment relacji Janiny Buczek-Różańskiej, wysiedlonej z Bidaczowa Nowego

„[...] Wreszcie powrót z łaźni, ubrania łagrowe, drewniaki i... wierście mi – matki nie poznawały dzieci, mężowie żon. [...] Rodziny zostały rozdzielone. [...] pod karą śmierci nie wolno było opuszczać baraków. Bardzo chciało mi się jeść [...] Jednego dnia usiadłam pod blokiem i dobyteł pył, okruchy po wczoraj zjedzonym chlebie i jadłam je jak czekoladę. [...] Jednego dnia zobaczyłam przez druty ojca, pokazała mi go matka. Nie poznał nas [...]. Było [...] ogrodzone miejsce, gdzie znoszono ciężko chorych i umarłych. Widziałam, jak najbliżsi odnosili umierające dzieci, musieli je tam zostawić żywe jeszcze i często przytomne. Zapyta ktoś czy płakali. – Nie. Nie płakali ani ci, którzy zostawali na polu śmierci, ani ci, którzy odchodzili. [...]”

Przemoc, poniżenie, poniewierka. Wspomnienia z przymusowych robót rolnych 1939–1945, wyb. i oprac. Ludwik Staszyński, Warszawa 1967, s. 21–25

Fragment relacji Zofii Pawłowskiej, pielęgniarki, która jako więźniarka Majdanka uczestniczyła w przyjmowaniu transportów z Zamojszczyzny

„Kolo łaźni [...] tłoczno od zbitych gromad kobiet i dzieci; to transport z pacyfikowanej Zamojszczyzny [...]. Wstrząsający jest widok tego tłumu matek z dziećmi. [...], boją się, dzieci płaczą na głos, co do wściekłości doprowadza dozoruujących Niemców, którzy poczynają bić po głowach, krzycząc ochryplymi głosami. [...] Najboleśniej jest widok dzieci [...] oczy teraz łzami zalane, buzie ściągnięte w podkówkę, całe ciała drżące z lęku. [...] Są już [...] dzieci ciężko chore. To odra, koklusz, zapalenie płuc [...]”.

APMM, *Zbiór relacji i wspomnień*. Zofia Pawłowska, *Kartki z pamiętnika*, [w:] Janina Kielboń, *Wysiedleńcy z Zamojszczyzny w obozie koncentracyjnym na Majdanku 1943*, Lublin 2006, s. 235–237

włączonych do grupy młodocianych więźniów poddanych pseudomedycznym eksperymentom – wstrzyknięto im zarazki tyfusu, wskutek czego większość z nich zmarła. Natomiast w lutym i marcu 1943 roku dwie grupy chłopców z Zamojszczyzny zostały zamordowane dosercowymi zastrzykami fenolu. Część uwięzionych kierowana była do innych obozów koncentracyjnych, np. do Buchenwaldu i Mauthausen-Gusen w Rzeszy. Tragiczne warunki sanitarno-bytowe panujące w obozie i ciężka, wyniszczająca praca sprawiły – obok bezpośrednich form uśmiercania – że spośród wysiedleńców z Zamojszczyzny, którzy trafili do Auschwitz, zginęło 82 proc. z 1301 zarejestrowanych więźniów; większość z nich przetrwała jedynie kilka miesięcy obozowej egzystencji. Pobyt w obozie przeżyło jedynie 229 osób.

Majdanek

W trakcie ostatniej fazy wysiedleń Zamojszczyzny, prowadzonej głównie w powiecie biłgorajskim, ale również części zamojskiego oraz tomaszowskiego, duża część wysiedlonych została skierowana w kilku transportach do KL Majdanek. Część z nich trafiła tam bezpośrednio, większość przebywała wcześniej w obozach przejściowych w Zamościu i Zwierzyńcu. Pierwszy transport trafił na Majdanek 30 czerwca 1943 roku, następne przybywały codziennie do 9 lipca. W kolejnych dniach prosto z miejsc wysiedlenia, a 31 lipca z obozów w Zamościu i Zwierzyńcu przywieziono kobiety i mężczyźni uznanych w trakcie selekcji za członków zbrojnego podziemia. Większość przybyłych do obozu przeszła typową procedurę, poczynawszy od skierowania do łaźni, a skończywszy na rejestracji odbywającej się bezpośrednio na polu obozowym. Początkowo wysiedlone rodziny trafiały na pole nr III, później kobiety z dziećmi kierowane były na pole nr V. W okresie nasilonych transportów wysiedleńców kierowano także na pole

nr IV oraz teren pomiędzy polem IV i V – tu panowały najtrudniejsze warunki, ponieważ więźniowie, z braku miejsca w barakach, czasowo przetrzymywani byli pod gołym niebem. Numery obozowe były nadawane chłopcom od czternastego roku życia oraz wszystkim dorosłym. Bardzo ciężkie warunki – głód, brak należytej opieki lekarskiej, potęgowane szczególnie upalnym latem – powodowały depresję, ogromną zachorowalność (głównie na czerwonkę i tyfus) oraz śmierć. Im dłuższy był pobyt w obozie, tym wyższa śmiertelność. Szacunki mówią o prawie jedenaścieprocentowej śmiertelności wśród uwięzionych wysiedleńców, a należy do tego dodać również tych, którzy po fali zwolnień z obozu w sierpniu 1943 roku zmarli w lubelskich i okolicznych szpitalach (np. w szpitalu Jana Bożego do 1 września spośród leczonych 299 zwolnionych zmarło 155, większość poniżej dwunastego roku życia). Przyjmuje się, że w obozie na Majdanku osadzonych zostało od 9 do 15 tys. wysiedleńców z Zamojszczyzny. Zachowane niemieckie dokumenty pozwalają stwierdzić, że było to 9 tys. osób.

Większość wysiedleńców z Zamojszczyzny umieszczonych w obozie na Majdanku została skierowana na przymusowe roboty do Rzeszy, część została zwolniona pomiędzy 9 a 13 sierpnia 1943 roku i skierowana do wyznaczonych przez Centralę Przesiedleńczą gmin w powiecie lubelskim. Osoby podejrzewane o przynależność do partyzantki zostały zatrzymane w obozie.

Losy wysiedlanej ludności Zamojszczyzny potoczyły się różnie. Ponad połowa przeszła przez obozy przejściowe, głównie w Zamościu i Zwierzyńcu. Około 11 tys. osób zostało wywiezionych do obozów koncentracyjnych Auschwitz i Majdanek. W niektórych przypadkach ginęły w nich całe rodziny. ❀

Agnieszka Jaczyńska – pracownik OBEP IPN w Lublinie

*one się chorzy
by przed tym nie odrobie
tęże uprzejme proszę adreśtać mi
w Lublinie nielubności.*

Dämonisch ging Stella Kübler über

Paktując z diabłem

Joanna Hytrek-Hryciuk

Wiemy, że Stella Goldschlag-Kübler miała „dobry, aryjski” wygląd, ale nie znamy odpowiedzi na pytanie, czy współpracowała z gestapo dla pieniędzy, czy faktycznie wierzyła, że w ten sposób ocali swoich bliskich przed deportacją do komór gazowych. Pewne jest jedno: od 1943 roku była największym postrachem ukrywających się w Berlinie Żydów, chociaż nigdy nie poznamy dokładnej liczby osób, które przez nią straciły życie.

Szesnastoletnia Stella wracała 10 listopada 1938 roku ze szkoły, gdy zobaczyła zdemolowane żydowskie sklepy i zbezczeszczoną synagogę w berlińskiej dzielnicy Wilmersdorf, gdzie się urodziła i dorastała. „Noc kryształowa” – jak nazwano ten pogrom niemieckich Żydów – niewiele ją obchodziła. Nie chciała być Żydówką. Żydzi byli przegrani, a ją miał podziwiać cały świat.

Berlińska Marilyn Monroe

„To była Marilyn Monroe naszej szkoły” – napisał o niej Peter Wyden, szkolny kolega i autor jej biografii; wysoka, szczupła, długonoga, z jasnoniebieskimi oczami i olśniewającym uśmiechem, zimna. Żydowskie koleżanki kpiły z niej. Żydowskie chłopcy kochali się w niej na zabój. Kiedy wybuchła II wojna światowa, Stella śpiewała przeboje Cole’a Portera i Hoagy Carmichaela. Miała fenomenalny głos. Została solistką w jazzowym sekstecie, którym kierował Manfred Kübler, jej późniejszy pierwszy mąż. Granie tej „barbarzyńskiej i dekadentckiej” muzyki w narodowosocjalistycznym państwie było ryzykowne, ale dla Stelli liczyło się tylko to, że publiczność prosi o więcej. W wieku siedemnastu lat Stella Goldschlag została gwiazdą.

Dwa lata później nazistowskie władze nakazały wszystkim Żydom w Rzeszy nosić żółtą gwiazdę Dawida. Stel-

la została zmuszona zamienić estradę na pracę w fabryce zbrojeniowej. Nie chciała jednak pokazywać się publicznie z gwiazdą Dawida. Przez sześć dni w tygodniu, po dziesięć godzin dziennie, była *Rüstungsjudin* – oznaczoną gwiazdą robotniczą w fabryce Siemens. W pozostałym czasie udawała, że nie jest Żydówką.

Życie w pułapce

„U-Boot” lub „nurek” – tak nazywano Żydów, którzy ukrywali się u „aryjskich” przyjaciół lub udawali kogoś, kim nie byli, starając się prowadzić życie niebudzące podejrzeń. W całej III Rzeszy „nurkami” było ponad 12 tys. osób. W tłoczonym, liberalnym Berlinie – ponad 7 tys. Tropienie uciekinierów ułatwiała jednak łapanki i donosy. W lutym 1943 roku pod fabrykę, w której pracowali Stella i Manfred, zajechali esesmani. Stella wmieszała się w tłum „aryjskich” pracowników i spokojnie opuściła budynek. Po spojrzeniu strażnika wywnioskowała, że uratowały ją nie fałszywe papiery, z których specjalista wywabił hańbiącą literę „J”, ale jej blond włosy. Mniej szczęścia i tupego miał Manfred, który został deportowany do obozu Auschwitz, gdzie wkrótce zmarł. Stella przepadła bez śladu. Została „nurkiem”.

W mieszkaniu niemiecko-żydowskiego małżeństwa, gdzie dzieliła los z dwunastoma innymi „nurkami”, po-



▶ Stella Kübler, 1957. W RFN za swą działalność jako „łapaczka” gestapo została ponownie postawiona przed sądem. Sąd Krajowy w Berlinie skazał ją 29 czerwca 1957 roku na dziesięć lat więzienia. Ze względu na czas spędzony w więzieniach radzieckich i energońskich karę uznano za odbytą. W 1994 roku popełniła samobójstwo.

Fot. Stiftung Topographie des Terrors

znała Rolfa Isaaksohna. Przystojny i elegancki, legalnie pracował jako statysta w operze, dzięki czemu obracał się wśród berlińskiej bohemy. Znajomi nazwali ich „piękną parą”. W czerwcu 1943 roku w „Café Bollenmüller” gestapo zatrzymało Stellę. Nie był to przypadek: pięć minut wcześniej do sali weszła Inge Lustig, na którą rozbawiona para nie zwróciła większej uwagi. Inge współpracowała z gestapo, była „łapaczką”: nie musiała nosić gwiazdy, żyła niczym wolny człowiek, za każdą „żydowską głowę” dostawała 100 marek premii. Ale „łapacze” żyli zwykle równie krótko jak ich ofiary.

Stella trafiła do stołecznej siedziby gestapo przy Burgstraße. Została osadzona w pojedynczej celi bez okien, z zalegającą na podłodze wodą. Była torturowana, a jej krzyki zagłuszała pompa hydrauliczna, która osuszała piwnicę. Stella została oskarżona o fałszowanie dokumentów. ▶

Juden den Häshern ausgeliefert

Zehn Jahre Zuchthaus für die „Greiferin“ / Die Strafe gilt als verbüßt

BERICHT UNSERER BERLINER REDAKTION

kn. Berlin, 30. Juni
Das Große Schwurgericht in Berlin Moabit
die 34 Jahre alte Jüdin Stella Kübler-
sohn, die in den Jahren 1943 bis 1944 als
„Greiferin“ der Geheimen Staats-
polizei in Berlin zahlreiche illegale lebende
aufspürte und auslieferte, wegen fort-
währender Beihilfe zum Mord und zur Freiheits-
beraubung mit Todesfolge zu zehn Jahren
Zuchthaus und Aberkennung der bürgerlichen
Rechte auf zehn Jahre verurteilt. Die
Strafe gilt als verbüßt, weil die Angeklagte
den gleichen Straftaten 1946 vor einem
Militärtribunal zu zehn Jahren
Zuchthaus verurteilt worden war, die sie in
der Zone verbüßt hat.

Der Prozess beschwor noch einmal die Zeit
der Verfolgungen. Nur mit einem Polizeil-
kennten die erregten Zeugen und die
die sich vor den Türen des Gerichts-
gebäudes, daran gehindert werden, tät-
lich alle Schuld leugnete. Die Zeugen
von ihnen entgingen im letzten Mo-
ment dem Tod in Auschwitz — schilderten, wie
sie den Kartenstellen und an den ille-
galen Sammelstellen mit einem Dienstausweis der Ge-
heimen Staatspolizei, in das Lager der Großen
Straße habe abführen lassen. Ein
Zeuge erklärte, wie die damals bildschöne,
junge Frau ihn auf dem Kurfürstent-
damm in Berlin verhaften und sich als Jüdin zu er-
kennen lassen. Als er ihr erklärt habe,
dass sie eine Jude sei, habe sie telefonisch
verständigt und ihn verhaften
lassen. Andere Zeugen belastete die An-

geklagte mit der Aussage, bei der Beerdigung
des arischen Partners einer Mischehe den nicht
mehr geschützten jüdischen Teil bereits auf
dem Friedhof abgeholt zu haben.
Der Staatsanwalt hatte für die Kübler
fünfzehn Jahre Zuchthaus unter Anrechnung
der verbüßten Strafe gefordert. Er machte
geltend, daß die Angeklagte ihr Leben nur der
Tatsache verdanke, daß sie nach dem Kriege
der deutschen Gerichtsbarkeit entzogen war.
Der Verteidiger plädierte, unterbrochen
vom lauten Protest der Zuhörer, auf Beihilfe
zur schweren Freiheitsberaubung, da die An-

Wycinek z artykułu
w dzienniku „Frankfurter
Allgemeine Zeitung“
z 1957 roku informującego
o skazaniu Stelli Kübler

Wkrótce przewieziono ją
do kobiecego więzienia
w dzielnicy Tempelhof,
skąd uciekła w sierpniu
w trakcie wielkiego bom-
bardowania Berlina. Szyb-
ko jednak znów znalazła
się w rękach gestapo. Wie-

dząc, że jej rodzice znajdują się w obozie
przejściowym i zostaną niebawem wywie-
zieni „na wschód”, zgodziła się przyjąć
perfidną propozycję. Została „łapaczka”.

Zatrzymać Żyda!

Stella była pomyslowa i niezawodna.
Miała fenomenalną pamięć do twarzy,
nazwisk i dat. Jeżeli szła do kina, pilno-
wała, aby przyjść odpowiednio wcześniej
i przyjrzeć się publiczności. Niespiesznie
wchodziła również do eleganckich ka-
wiarni na Kurfürstendamm, badawczo
oceniając gości. Odwiedzała też pogrze-
by. Jej atutem była naturalność w na-
wiązywaniu znajomości. W taki sposób
zaczęła Edith Ziegler, Chaima Hor-
na, Gerda Kachela, Elli Lewkowitz czy
Paula Regensburgera, który pomógł jej
po aresztowaniu Manfreda Küblera. Jed-
no z nich zapamiętało, że podczas aresz-
towania krzyczała: „Zatrzymać Żyda!”.

Nie wiadomo, ile osób wydała. W Ber-
linie i obozach śmierci krążyły legendy
o całych pociągach ofiar „blond trucizny”
– jak ją nazywano; według różnych źró-
deł miałyby to być od sześciuset do nawet
3 tys. osób. Stella była znakomitym „łapa-
czem”, ale nie wydaje się prawdopodobne,

by była w stanie wy-
dać połowę berlińskich
„nurków”. Z czasem
zorientowała się, że nie
może już dłużej chronić
rodziców. Przez obóz
w Theresienstadt trafi-
li jesienią 1944 roku do
Auschwitz, gdzie zginęli.

Jej współpraca z gestapo
wyraźnie osłabła. Musia-
ła ukrywać się już nie tyl-
ko przed funkcjonariuszami tajnej policji,
ale i działaczami organizacji antynazistow-
skiej, którzy wydali na nią wyrok śmierci.
Wyrok nie został wykonany. Wiosną 1945
roku Stella postanowiła opuścić Berlin.

„Dryg do bycia kapusiem”

Ponownie pojawiła się w mieście niespeł-
na rok później. Odwiedziła wówczas biu-
ro gminy żydowskiej przy Oranienburger
Straße, prosząc o wydanie zaświadczenia
dla „ofiary faszyzmu”. Tam rozpoznała
ją jedna z ofiar, cudem uratowana z pie-
kła Auschwitz. Po niemal półgodzinnej
szamotaninie piękne loki Stelli leżały na
podłodze, a ją samą zabrano do siedziby
policji przy Alexanderplatz. Proces przed
radzieckim trybunałem wojskowym trwał
jeden dzień i prowadzony był w języku
rosyjskim. Stella została skazana na dzie-
sięć lat robót przymusowych, z których
dwa spędziła w Sachsenhausen, byłym
nazistowskim obozie koncentracyjnym,
przekształconym w radziecki obóz pracy.
Trafiła też m.in. do twierdzy Hoheneck.
Po tym, jak doniosła na organizatorki
strajku głodowego, koleżanki uważały,
że miała „dryg do bycia kapusiem”.

W 1956 roku w gazecie berlińskiej
gminy żydowskiej ukazało się ogłosze-
nie o poszukiwaniu świadków wojennej
działalności Stelli Goldschlag. Ci, któ-
rzy przetrwali wojnę w obozach lub jako
„nurkowie”, chcieli zemsty i dokładnie
pamiętali szykowną blondynkę. Chociaż
w więzieniu zachorowała na gruźlicę, na
kolejnym procesie, który wytoczono jej
już w Berlinie Zachodnim, wyglądała
jak zwykle oszalamiająco.

W procesie zeznawało 32 świadków,
których Stella traktowała z dystansem

turystki. Dziennikarze, znużeni suchymi
oskarżeniami w procesach norymber-
skich, ochoczo podjęli pikantne szcze-
gółki śledztwa i historia „blond trucizny”
czy „blond upiora” nie schodziła z pierw-
szych stron gazet. Jedni, tak jak Lieselot-
te Streszak, opowiadali, jak w czasie
aresztowania Stella wyrwała z rąk mat-
ki trzyletniego, chorego syna; inni prze-
konywali, że do obozu dla Żydów przy
Große Hamburger Straße przemycala je-
dzeń, lekarstwa i listy. Kobieta uparcie
zaprzeczała oskarżeniom. Poddała się,
gdy jeden ze świadków opowiedział, jak
w Auschwitz rozmawiał z ojcem Stelli,
załamany działaczką córki. Skazano
ją na dziesięć lat pozbawienia wolności.
Ponieważ dokładnie tyle spędziła w ra-
dzieckich i enerdownskich więzieniach,
mogła wrócić do domu.

Obecny na rozprawie psychiatra opisał
jej osobowość jako „dom z mocno za-
trzaśniętymi oknami”; podkreślił jej brak
wrażliwości i egocentryzm, ale w sensie
medycznym była zdrowa. Na depresję
zachorowała znacznie później. W 1994
roku rzuciła się z okna swojego berliń-
skiego mieszkania.

Epilog

Yvonne, córka Stelli i jednego z jej kochan-
ków, przysłała na świat jesienią 1945 roku.
Po aresztowaniu matki została adoptowa-
na. Wyjechała do Izraela i całe dorosłe ży-
cie podporządkowała idei oczyszczenia się
z piętna matki. Inge Lustig, „łapaczka”,
która wydała Stellę, zmarła w Auschwitz.
W 1992 roku Peter Wyden opublikował
biografię swojej szkolnej koleżanki: *Stella. One Woman's True Tale of Evil, Betrayal, and Survival in Hitler's Germany*. Życio-
rys Stelli stał się też kanwą sztuki *Blonde Poison*
autorstwa Gail Louw z Elizabeth
Counsell w tytułowej roli. Sztuka grana
w londyńskim Jermyn Street Theatre cie-
szyła się ogromną popularnością i uzna-
niem krytyków. Jeden z nich zapytał o Stel-
lę: „Czy zło było w niej, czy było tylko
środkiem przetrwania?”

dr Joanna Hytrek-Hryciuk – pracownik OBEP IPN
we Wrocławiu; autorka książki „Rosjanie nadchodzą!”
Ludność niemiecka a żołnierze Armii Radzieckiej (Czerwonej)
na Dolnym Śląsku w latach 1945–1948 (2010)

Zakazane święto reakcji

Mariusz Żuławnik

„Dzień 11 listopada, jako rocznica odzyskania przez Naród Polski niepodległego bytu państwowego i jako dzień po wsze czasy związany z wielkim imieniem Józefa Piłsudskiego, zwycięskiego Wodza Naczelnego w walkach o wolność Ojczyzny – jest uroczystym Świętem Niepodległości” – głosiła ustawa z 1937 roku. W II Rzeczypospolitej święto to oficjalnie obchodzono tylko dwa razy. Później zostało zakazane. Najpierw przez władze okupacyjne – niemieckie i sowieckie – a następnie, na przeszło czterdzieści lat, przez przywódców PRL.

Dzień 11 listopada 1918 roku został uznany za formalną datę odzyskania przez Polskę niepodległości dopiero w 1926 roku, mimo że obchodzono go już wcześniej. W okólniku wydanym 8 listopada 1926 roku przez premiera Józefa Piłsudskiego mowa jest o tym, że za trzy dni naród polski będzie obchodził „ósmą rocznicę zrzucenia jarzma niewoli”. Ten sam okólnik ustanowił 11 listopada dniem wolnym od pracy w administracji rządowej i szkolnictwie.

Do oficjalnego kalendarza świąt państwowych dzień ów wprowadził jednak dopiero Sejm Rzeczypospolitej Polskiej ustawą z 23 kwietnia 1937 roku o Świącie Niepodległości. 11 listopada upamiętniał moment przekazania przez Radę Regencyjną władzy wojskowej Piłsudskiemu i uroczystie obchodzony był aż do wybuchu II wojny światowej. Tego dnia w całym kraju odprawiano nabożeństwa w intencji ojczyzny, organizowano akademie i wieczornice oraz parady wojskowe. Szczególnie hucznie świętowano dziesiątą i dwudziestą rocznicę.

Agresja III Rzeszy Niemieckiej i Związku Sowieckiego na Polskę we wrześniu 1939 roku w zasadniczy spo-

sób wpłynęła na kultywowanie Święta Niepodległości. Oficjalnie i jawnie dzień 11 listopada świętowano jedynie w Polskich Siłach Zbrojnych na Zachodzie oraz w instytucjach państwa polskiego na wychodźstwie. Zupełnie inaczej sytuacja wyglądała na terenach znajdujących się pod okupacją zarówno sowiecką, gdzie z całą zajądłością zwalczano wszelkie przejawy „pańskiej” Polski, jak i niemiecką. Z oczywistych względów jakakolwiek forma świętowania powrotu Polski na mapę Europy była tam surowo zakazana. Mimo to Polacy nie zapominali o obchodach rocznicy. Na obszarach okupowanej przez hitlerowskie Niemcy Polski obchody przybierały najróżniejsze formy. Prasa konspiracyjna publikowała okolicznościowe artykuły, w których przypominała wydarzenia sprzed ponad dwudziestu lat, a także nawoływała do walki z okupantem. W świątyniach odprawiano nabożeństwa, a miejsca pamięci narodowej ozdabiano pod osłoną nocy białoczerwonymi akcentami – flagami i kwiatami. W Warszawie na przykład kwiatami przystrajano płot okalający Belweder, a także Grób Nieznanego Żołnierza, pomnik księcia Józefa Poniatowskiego czy nieistniejący już pomnik Saperera. Na kamienicach, ▶

▲ Parada wojskowa ulicami Warszawy podczas Święta Niepodległości 11 listopada 1937 roku

▶ Marszałek Polski Edward Rydz-Śmigły z zadowoleniem przygląda się armii defilującej w Święto Niepodległości, 11 listopada 1937 roku



murach, słupach ogłoszeniowych i tramwajowych pojawiały się napisy „11 XI 1918”, „Polska żyje!” i „Polska zwycięży!”. Tu i ówdzie widać było kotwicę, symbol Polski Walczącej. Autorami grafik była m.in. warszawska Organizacja Małego Sabotażu „Wawer”. Jedną z jej najsłynniejszych akcji została przeprowadzona 11 listopada 1941 roku. Wówczas to jeden z członków „Wawra”, Edward Okólski, umieścił polską flagę na pomniku płk. Jana Kilińskiego na pl. Krasińskich. Za swoje dokonanie został później uhonorowany pseudonimem organizacyjnym „Kiliński”. Tak „świętowano” w latach 1939–1943...

Nowy dzień niepodległości

W roku 1944 dzień odzyskania przez Polskę niepodległości 11 listopada 1918 roku obchodzono w zupełnie innych warunkach. Świętowano zarówno w tzw. Polsce Lubelskiej (na Białostoczczyźnie, Lubelszczyźnie, Rzeszowszczyźnie i na częściowo wyzwolonych terenach Mazowsza), jak i w... stolicy ZSRS. Centralne obchody odbyły się, rzecz jasna, w Lublinie, gdzie ulokowały się władze komunistyczne – Krajowa Rada Narodowa i Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego. Na pl. Litewskim zorganizowano paradę wojskową z udziałem żołnierzy „ludowego”



► Plakat ROPCio przygotowany na obchody sześćdziesiątej rocznicy odzyskania niepodległości

Wojska Polskiego i Armii Czerwonej oraz uroczystą akademię w Teatrze Miejskim, na której okolicznościową mowę wygłosił Bolesław Bierut. Józef Stalin skierował nawet do niego depechę z życzeniami z okazji „święta narodowego Polski”, w której podkreślał przyjaźń między polskim i sowieckim narodem. Lubelskie obchody Święta Niepodległości swoją formą nawiązywały do przedwojennych uroczystości. W ten sposób komuniści chcieli podkreślić kontynuację władzy politycznej i tradycji walk o niepodległość. Nie bez

znaczenia pozostawała także chęć przypodobania się społeczeństwu. A służyć temu miał m.in. udział przedstawicieli władz komunistycznych w nabożeństwach odprawianych w intencji ojczyzny.

Nie mniej uroczyste obchody miały miejsce w Moskwie. Co prawda nie było defilady wojskowej, ale za to tamtejsi Polacy zorganizowali zebranie, podczas którego przemawiał Stefan Jędrzychowski, przedstawiciel PKWN. Z kolei Aleksander Juszkiewicz, członek Rady Naczelnej Stronnictwa Ludowego i sekretarz generalny Związku Patriotów Polskich, wygłosił okolicznościową mowę transmitowaną przez Radio Moskwa. Później wziął udział w uroczystym obiedzie zorganizowanym w przedstawicielstwie PKWN, na którym obecni byli także przebywający w stolicy Związku Sowieckiego działacze KRN i PKWN. „Obiad upłynął w atmosferze braterskiej solidarności ludzi, którzy podjęli się dzieła budowy nowej Polski Ludowej i temu dziełu poświęcili wszystkie swoje siły, zdolność i całą energię” – wspominał po latach Jędrzychowski. Świętowano także we wszystkich szkołach i instytucjach podlegających Komitetowi do spraw Dzieci Polskich.

Obchodzone 11 listopada 1944 roku Święto Niepodległości stało się dla

► Uczestnicy manifestacji z okazji Święta Niepodległości w drodze do Grobu Nieznanego Żołnierza w Warszawie, wśród nich Wojciech Ziemiński (na lewo od wieńca), 11 listopada 1979 roku



Fot. ze zbiorów M. Czajlickiego

Za organizowanie i udział w obchodach Święta Niepodległości groziły w PRL surowe sankcje. Przekonali się o tym m.in.: Andrzej Czuma, Jan Józef Janowski, Bronisław Komorowski oraz Wojciech Ziemiński, uczestnicy manifestacji patriotycznej przed Grobem Nieznanego Żołnierza w Warszawie, którzy w 1980 roku zostali skazani na kary więzienia. 11 listopada 1979 roku o godz. 17.00 wzięli oni udział we mszy św. w katedrze pw. św. Jana Chrzciciela, podczas której kazanie wygłosił ks. Stefan Niedzielak. Po nabożeństwie uformował się pochód, który przez ul. Świętojańską, pl. Zamkowy, Krakowskie Przedmieście i Bagińskiego przeszedł pod Grób Nieznanego Żołnierza. Według różnych źródeł wzięło w nim udział 3–5 tys. osób, wśród nich m.in. przedstawiciele Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela, Komitetu Samoobrony Społecznej KOR i Konfederacji Polski Niepodległej. Na Grobie Nieznanego Żołnierza manifestanci złożyli kwiaty, okolicznościowe przemówienia wygłosili Czuma, Janowski, Komorowski, Ziemiński oraz Nina Milewska. Po odśpiewaniu hymnu zgromadzeni rozeszli się do domów. Niebawem Czuma, Janowski, Komorowski i Ziemiński trafili przed sąd. Skazano ich na kary od jednego do trzech miesięcy więzienia. Wyrok wydał sędzia Sądu Rejonowego w Warszawie, Andrzej Kryże. W uzasadnieniu napisał, że „demonstracyjnie okazali lekceważenie wobec Narodu Polskiego, [...] zarzucając mu m.in., że nie jest on narodem wolnym i niepodległym”. Wyrok uchylono dopiero po 1989 roku.

komunistów doskonałym momentem do skrytykowania Józefa Piłsudskiego i „reakcyjnych rządów elity sanacyjnej”. Zarzucano im prowadzenie polityki wrogiej wobec ZSRS, odsunięcie narodu od wpływów na rządy, wreszcie klęskę wrześniową 1939 roku, lata okupacji, a także miliony ofiar oraz zniszczone miasta i wsie. Mimo że na każdym kroku podkreślano znaczenie 11 listopada, ignorując przy tym pierwszego marszałka Polski, coraz częściej i głośniejszymi słowami mówiono o nowym dniu niepodległości. Wydawana w Lublinie „Rzeczpospolita”, centralny organ prasowy PKWN, pisała w 1944 roku: „11 listopada pozostanie dla nas dniem niepodległości. Dniem zakończenia 120-letniej walki narodu o niepodległość. Dniem realizacji dążeń Tadeusza Kościuszki, Henryka Dąbrowskiego, Romualda Traugutta, Jarosława Dąbrowskiego. Ale w ogniu burzy dziejowej zrodził się nowy dzień niepodległości, nowy dzień odrodzenia państwowości polskiej. Jest nim dzień 22 lipca 1944 roku. Dzień, w którym proklamowana została jedyna legalna władza odrodzonego państwa – Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego”.

Nowa sytuacja społeczno-polityczna, w jakiej znalazła się Polska po zakończeniu II wojny światowej, przyczyniła się do zmian w kalendarzu świąt państwowych. W 1945 roku władze komunistyczne zlikwidowały Święto Niepodległości. W jego miejsce wprowadzono tzw. Narodowe Święto Odrodzenia Polski. Kulturowanie rocznicy ogłoszenia Manifestu PKWN w Chełmie 22 lipca 1944 roku (w rzeczywistości dokument został podpisany przez Stalina w Moskwie dwa dni wcześniej) miało legitymować system i władze komunistyczne oraz podkreślać znaczenie udziału „ludowego” Wojska Polskiego w wyzwoleniu kraju spod niemieckiej okupacji. W ten sposób komuniści próbowali wymazać ze społecznej świadomości datę 11 listopada 1918 roku oraz postać Józefa Piłsudskiego – jednego z głównych architektów niepodległej Polski, którego oskarżono o zdradę demokracji. Podobnemu celowi służyć miało także zlikwidowanie Świę-



► Demonstracja 11 listopada 1980 roku w Poznaniu

ta Żołnierza, obchodzonego 15 sierpnia dla upamiętnienia walk w obronie ojczyzny podczas wojny polsko-bolszewickiej z lat 1919–1921.

Datę 11 listopada miały przyćmić obchodzone kilka dni wcześniej rocznice: wybuchu rewolucji bolszewickiej w nocy z 6 na 7 listopada 1917 roku (według obowiązującego w Rosji kalendarza juliańskiego – w nocy z 24 na 25 października) oraz powstania w nocy z 6 na 7 listopada 1918 roku Tymczasowego Rządu Ludowego Republiki Polskiej pod kierownictwem Ignacego Daszyńskiego. Szczególnie hucznie celebrowano kolejne rocznice tzw. Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej. Reżim komunistyczny na każdym kroku podkreślał, że miała ona decydujący wpływ na odzyskanie przez Polskę upragnionej państwowości. W lansowaniu tej tezy nie przeszkadzał mu fakt, że jej polscy uczestnicy – jak Feliks Dzierżyński czy Julian Marchlewski – byli zagorzałymi przeciwnikami odbudowy niepodległej i suwerennej Polski.

Stopniowe przywracanie pamięci

Przez cały okres istnienia Polski „ludowej” obchody Święta Niepodległości były zakazane, a jakiegokolwiek próby jego kulturowania groziły surowymi sankcjami ze strony władz państwowych. Dzień 11 listopada 1918 roku i postać pierwszego marszałka Polski funkcjonowały przede wszystkim w przestrzeni prywatnej. O postaciach i symbolach związanych z odzyskaniem przez Polaków upragnionej państwowo-

ści i narodzinach Drugiej Rzeczypospolitej mówiło się tak, jak o zdradzieckiej napaści Stalina na Polskę 17 września 1939 roku czy o zbrodni katyńskiej dokonanej w 1940 roku przez oprawców z NKWD. Zniesione Święto Niepodległości społeczeństwo polskie obchodziło przede wszystkim w kościołach, gdzie księża odprawiali nabożeństwa w intencji ojczyzny, podczas których głosili przepelnione patriotycznymi treściami kazania. Tak m.in. świętowali nieformalnie wskrzeszony w Krakowie na początku lat siedemdziesiątych Związek Legionistów Polskich, najstarsza piłsudczykowska organizacja kombatancka. Rokrocznie jej członkowie organizowali 11 listopada uroczyste msze św., a następnie składali kwiaty w krypcie Józefa Piłsudskiego na Wawelu. Towarzyszył im zawsze kard. Karol Wojtyła.

Sytuacja zmieniła się diametralnie w roku 1978. Władze państwowe świętowały kolejną rocznicę rewolucji październikowej, a także przygotowywały się do grudniowych obchodów sześćdziesiątej rocznicy powstania Komunistycznej Partii Polski i trzydziestolecia PZPR. Tymczasem 11 listopada środowiska opozycyjne, wzmocnione po wyborze kard. Wojtyły na Stolicę Apostolską, obchodziły sześćdziesiątą rocznicę powrotu niepodległej i suwerennej Polski na mapę Europy. Inicjatorem jawnych, niezależnych od władz państwowych obchodów był Ruch Obrony Praw Człowieka i Obywatela, który przy aktywnym wsparciu środowisk kombatanckich i niepodle-

głościowych, studenckich oraz Kościoła katolickiego zorganizował uroczystości w Gdańsku, Krakowie, Lublinie, Łodzi i Warszawie. We wszystkich tych miastach scenariusz obchodów był zbliżony – najpierw w kościołach odprawiano nabożeństwa w intencji ojczyzny, czasem poświęcono tablice pamiątkowe związane z Józefem Piłsudskim i Armią Krajową, a następnie uczestnicy przechodzili do miejsc pamięci, gdzie składali kwiaty i wieńce oraz zapalali znicze. Towarzydziły temu przemowy czołowych działaczy opozycyjnych. Poza tym śpiewano hymn i pieśni patriotyczne. Tego roku obchody zakazanego święta przerodziły się – po raz pierwszy od zakończenia II wojny światowej – w manifestacje patriotyczne.

W latach 1980–1981, w okresie tzw. karnawału Solidarności, opozycja polityczna (m.in. Konfederacja Polski Niepodległej – nawiązująca do tradycji piłsudczykowskich – i NSZZ „Solidarność”) świętowała 11 listopada już w sposób całkowicie jawny. Jakby tego było mało, w organizację uroczystości włączał się także aparat państwowo-partyjny. 11 listopada 1981 roku – pierwszy raz od 1944 roku – władze złożyły wieńce przed Grobem Nieznanego Żołnierza w Warszawie. Nie oznacza to jednak, że komuniści nie dostrzegali zagrożeń płynących ze świętowania 11 listopada. Wręcz przeciwnie. Henryk Walczyński, dyrektor Departamentu III MSW, pionu odpowiedzialnego za walkę z działalnością antypaństwową, w raporcie poświęconym obchodom 63. rocznicy wskrzeszenia państwowości

polskiej pisał, że opozycja polityczna wyzwała w społeczeństwie „silne nastroje nacjonalistyczne”, a także dopuszcza się „wyraźnego nadużywania ofiar dawnych walk o niepodległość do bieżących celów politycznych”. I dalej: „Podkreślanie konieczności »odzyskania niepodległości« sugeruje jej aktualny brak, a przez porównania walki z zaborcami w czasie I wojny światowej z »obecną walką społeczeństwa« wywołuje wrażenie, iż teraz naród również »walczy o niepodległość«, rzekomo ograniczoną przez nasze sojusze”.

Inaczej było w następnych latach, po wprowadzeniu stanu wojennego i delegalizacji Solidarności. Mimo trudności opozycja antykomunistyczna przez całe lata osiemdziesiąte organizowała niezależne obchody wydarzeń z 11 listopada 1918 roku (podczas gdy władza uporczywie czciła przewrót bolszewicki w Rosji). Odprawiano nabożeństwa, składano kwiaty i wieńce w miejscach pamięci ważnych dla historii Polski (takich jak Grób Nieznanego Żołnierza w Krakowie czy pomnik Konstytucji 3 Maja w Lublinie) lub o znaczeniu lokalnym (np. kopiec-pomnik ku czci płockich harcerzy poległych w 1920 roku). Odnawiano groby legionistów, żołnierzy walczących z bolszewicką nawałą w pierwszych latach II Rzeczypospolitej czy też Żołnierzy Wyklętych. W prasie tzw. drugiego obiegu publikowano artykuły historyczne. Milicja, ZOMO i bezpieka starały się przeszkadzać społeczeństwu w świętowaniu, dość często rozpędzając patriotyczne manifestacje – tak jak to miało miejsce w Gdańsku, Katowicach czy Poznaniu

w 1988 roku – lub też inwigilując ich uczestników. Tak czy inaczej, w ostatniej dekadzie istnienia PRL postać Józefa Piłsudskiego oraz data 11 listopada 1918 roku na dobre zadomowiły się w przestrzeni publicznej. O narodzinach II Rzeczypospolitej pisano nawet w oficjalnej prasie. Podobnie zresztą jak o Piłsudskim. Tyle tylko że przede wszystkim w kontekście jego działalności socjalistycznej.

Reżim komunistyczny nie mógł pozostać głuchy na działania Kościoła katolickiego, środowisk kombatanckich i niepodległościowych oraz powstałej w drugiej połowie lat siedemdziesiątych opozycji politycznej, która – walcząc o prawdę historyczną – z roku na rok coraz śmiej i głośniej przypominała o symbolach i postaciach związanych z tradycją walk o niepodległość Polski i początkami II Rzeczypospolitej. I nie pozostał. Podczas obrad „okrągłego stołu” Sejm PRL przywrócił dzień 11 listopada do kalendarza świąt państwowych. „Dla upamiętnienia rocznicy odzyskania przez Naród Polski niepodległego bytu państwowego oraz walk pokoleń Polaków o wolność i niepodległość” – głosiła preambuła ustawy z 15 lutego 1989 roku o Narodowym Święcie Niepodległości. Historia zatoczyła koło. Po zmianach ustrojowych z lat 1989–1990 wydzwięk obchodów 11 listopada uległ zmianie. Niestety, dla wielu Polaków dzień niepodległości jest dziś tylko kolejnym dniem wolnym od pracy... ❄

dr Mariusz Żuławnik – historyk, naczelnik Wydziału Informacji i Sprawżeń BUIAD IPN

➤ 11 listopada 1981 roku w Krakowie: manifestanci składają kwiaty przy Grobie Nieznanego Żołnierza na pl. Jana Matejki; jeden z mężczyzn ubrany jest w krakowski strój ludowy; z tyłu widać sztandar z napisem „Solidarność” oraz transparent „Wolny naród w niepodległym państwie”



Fot. NAC

11 listopada III Rzeczypospolitej

Andrzej Zawistowski

Przez niemal cały okres istnienia II Rzeczypospolitej spierano się o datę odzyskania przez Polskę niepodległości, którą można by celebrować jako święto narodowe. Po dziewiętnastu latach ustalono, że będzie to 11 listopada. Do dziś trwają spory, który dzień uznać można za symboliczną datę odzyskania przez Polskę niepodległości po latach komunizmu.

▲ Marszałek Józef Piłsudski na Kasztance przyjmuje defiladę z okazji rocznicy odzyskania niepodległości; 11 listopada 1926 roku

Sobota, 28 października 1989 roku. Wieczorne wydanie najważniejszego programu informacyjnego Telewizji Polskiej – Dziennika TV. Gościem audycji jest Joanna Szczepkowska, aktorka przez lata sprzyjająca opozycji, córka senatora z ramienia Solidarności. Pod koniec rozmowy Szczepkowska wypowiada słowa, które przeszły do historii: „Ponieważ już tutaj jestem, chciałabym podać pewną wspaniałą wiadomość. Przynajmniej według mnie jest ona prawdziwa. [...] Proszę państwa, 4 czerwca 89 roku skończył się w Polsce komunizm”.

Dla każdego państwa dzień odzyskania niepodległości jest najważniejszy w całorocznym kalendarzu świąt, ponieważ – odwołując się do konkretnego wydarzenia – definiuje tożsamość obywateli kraju.

Przed II wojną światową w Polsce przez kilkanaście lat spierano się, któ-

ry dzień uznać za początek II Rzeczypospolitej. Obóz sanacji optował za 11 listopada i związaniem tego święta z Józefem Piłsudskim, socjaliści – za 7 listopada, na pamiątkę utworzenia Tymczasowego Rządu Ludowego Republiki Polskiej z Ignacym Daszyńskim na czele. I dopiero w 1937 roku uchwalono, że to 11 listopada ma być świętem państwowym.

Po II wojnie światowej data ta została wymazana z kalendarza świąt i zastąpiona 22 lipca – Świętem Odrodzenia Polski. Przypominano w ten sposób ogłoszenie Manifestu lipcowego PKWN, fałszywego w treści i wymowie dokumentu proklamującego Polskę „ludową”. Dość jasna była opozycja między nieuznanym 11 listopada a oficjalnym 22 lipca, a społeczna świadomość znaczenia tej pierwszej daty systematycznie rosła. Symboliczne było to, że rok 1989 był jedynym w historii Polski, kiedy dwukrotnie obchodzono święto powstania państwa: po zwycięstwie NSZZ „Solidarność” nie zdążono zlikwidować komunistycznego święta, ale już w listopadzie świętowano rocznicę odzyskania niepodległości. Co ciekawe,

święto to przywrócił jeszcze w lutym 1989 roku Sejm PRL IX kadencji.

Powstała w 1989 roku III Rzeczypospolita nawiązała historycznie do swojej niepodległej poprzedniczki. Bez dyskusyjnie za najważniejsze święto uznano więc 11 listopada, zapominając o przedwojennych sporach. Co jakiś czas wraca jednak dyskusja, kiedy III RP w rzeczywistości miała swój „11 listopada”. Kiedy więc w Polsce symbolicznie skończył się komunizm?

1 stycznia 1989 roku

Gdyby koniec komunizmu mierzyć narzędziami ekonomicznymi, w Polsce skończył się on... 1 stycznia 1989 roku. Wówczas w życie weszły regulacje prawne, zwane ustawami Mieczysława Wilczka. *De facto* likwidowały one typową dla komunizmu gospodarkę nakazowo-rozdzielczą. Polacy zyskali prawo do swobodnej działalności gospodarczej, a istniejące przedsiębiorstwa samodzielnie mogły określać profil swojej produkcji. Zniesiono monopol państwa w handlu zagranicznym i zwiększono możliwości działania firm z obcym kapitałem. Kilka miesięcy później moż- ➤

liwiono wolny handel obcymi walutami. Dodatkowo do zmian w gospodarce było wprowadzenie swobodnego dostępu do paszportów. Warto jednak pamiętać, że była to próba klasycznej ucieczki do przodu. Rząd zdominowany przez PZPR usiłował zastosować manewr, który niemal siedemdziesiąt lat wcześniej przeciwzył Włodzimierz Lenin.

Na początku lat dwudziestych – po wyczerpujących sowiecką Rosję walkach z przeciwnikami bolszewików, a przede wszystkim po eksperymentach z wprowadzaniem komunistycznego modelu do gospodarki – władza Lenina zaczęła się chwiać. Wówczas zdecydowano się na Nową Politykę Ekonomiczną, która dopuszczała ograniczone istnienie sektora prywatnego w gospodarce. Lenin miał powiedzieć, że trzeba zrobić krok do tyłu w budowaniu komunizmu, by później zrobić dwa kroki naprzód. Faktycznie, realizacja NEP-u uratowała bolszewicką władzę.

Także dla istniejącego od września 1988 roku rządu Mieczysława Rakowskiego radykalna poprawa warunków życia społeczeństwa była jedyną nadzieją na zachowanie przez PZPR władzy. Obywatele PRL nie dali się jednak nabrać na taki erzac wolności. Mimo to do dziś pamięta się o Mieczysławie Wilczku jako o autorze najbardziej liberalnego prawa gospodarczego w całej powojennej historii.

4 czerwca 1989 roku

Kolejną symboliczną datą jest niewątpliwie 4 czerwca 1989 roku – dzień pierwszych od ponad pół wieku częś-

ciowo wolnych wyborów do polskiego parlamentu. Zasady ich przeprowadzenia ustalono kilka tygodni wcześniej przy „okrągłym stole”: opozycja mogła wystawić swoich kandydatów do przywróconego właśnie Senatu oraz do Sejmu, ale w izbie niższej mogła się ubiegać jedynie o 35 proc. miejsc. Pozostałe mandaty z góry zagwarantowano przedstawicielom PZPR oraz kontrolowanym przez komunistów partiom i organizacjom. Jednym słowem, zwycięzców wyborów wskazano na kilka tygodni przed wrzuceniem do urny pierwszej wyborczej karty. Co więcej, o miejsca dostępne opozycji mogli walczyć także przedstawiciele dotychczasowej władzy. Takim kandydatem był np. Jerzy Urban, jeden z najważniejszych przedstawicieli ekipy stanu wojennego, choć formalnie bezpartyjny.

Spoglądając z dzisiejszej perspektywy, nie doceniamy wagi egzaminu, jaki Polacy zdali przy urnach wyborczych. Dzisiaj głosowanie polega na zaznaczeniu we wskazanym miejscu nazwiska odpowiadającego nam kandydata. W 1989 roku proces wyborczy był o wiele trudniejszy. Wyborca dostawał do ręki plik kart, na których musiał dokonywać zaznaczeń, stosując różne techniki. Liczba kart zależała od liczby mandatów przyznanych danemu okręgowi wyborczemu, co dodatkowo utrudniało prowadzenie kampanii. I tak na karcie do Senatu wyborca musiał skreślić wszystkie nazwiska z wyjątkiem tych dwóch (lub trzech w Warszawie i Katowicach), na które oddawany był głos.

Jeszcze trudniej było w wyborach do Sejmu: tu należało skreślić te nazwiska, które były bezpośrednio przed nazwiskiem popieranego kandydata. Głos liczony był bowiem dla pierwszej nieskreślonej osoby. Takie skreślenia należało powtórzyć na kilku kartach. Dodatkowo wyborca dostawał jeszcze kartę „listy krajowej”, na której mógł, ale nie musiał dokonywać skreśleń. Oczywiście przy nazwiskach kandydatów nie podawano ich przynależności do PZPR czy Solidarności. Wyborca musiał pamiętać, kto reprezentuje opcję, którą chce poprzeć. Dodatkowo wybory odbywały się w dwóch turach, które dzieliło 14 dni.

Mimo tak skomplikowanej procedury Polacy jednoznacznie udzielili poparcia kandydatom Solidarności. O doniosłości tego aktu wyborczego świadczą słowa Stefana Kisielewskiego: „Głosowałem więc dnia 4 czerwca dopiero w powojennej Polsce po raz drugi. W latach 1957 i 1961 nie głosowałem, choć sam wówczas kandydowałem. Wstrzymałem się jednak, wiedząc, że zostałem powołany, czyli mianowany, więc po cóż udawać, że wybierany”.

Czerwcowe wybory miały jednak także inne oblicze. 4 czerwca – ku zaskoczeniu komunistów – przypadła lista krajowa z prominentnymi przedstawicielami PZPR i jej sojuszników. Wyborcy wykorzystali szansę i wyeliminowali z parlamentu 33 przedstawiciele obozu władzy. Wówczas doszło do sytuacji zupełnie w demokracji niespotykanej – pomiędzy turami zmieniono ordynację, rozdysponowano 33 mandaty pomię-



► Plakaty z wyborcze z czerwca 1989 roku



dzy istniejące okręgi i wystawiono kolejnych, zupełnie nowych kandydatów związanych z obozem władzy.

Do drugiej tury wyborów, w której startowało już tylko dziewięciu przedstawicieli Solidarności (pozostali zdobyli ponad 50 proc. głosów już w I turze), poszło jedynie 25 proc. uprawnionych. Warto pamiętać, że pierwsze w pełni wolne wybory odbyły się niemal rok później, 27 maja 1990 roku Polacy wskazali swoich przedstawicieli do reaktywowanego samorządu terytorialnego.

12 września 1989 roku

Kłęska wyborcza komunistów w czerwcu 1989 roku zaowocowała powołaniem 12 września na stanowisko premiera Tadeusza Mazowieckiego – przedstawiciela NSZZ „Solidarność”. W skład jego rządu weszli przedstawiciele dotychczasowej opozycji, ale także członkowie partii rządzących w PRL. Resorty siłowe wciąż kontrolowała PZPR. Milicją i SB rządził gen. Czesław Kiszczak, wojskiem gen. Florian Siwicki. Obaj generałowie w 1981 roku wprowadzali w Polsce stan wojenny, teraz zaś znaleźli się w składzie „solidarnościowego” rządu. Mimo to objęcie funkcji premiera przez działacza antykomunistycznego było wyłomem we wciąż istniejących Układzie Warszawskim i Radzie Wzajemnej Pomocy Gospodarczej. Było wydarzeniem, które znalazło się we wszystkich poważnych podręcznikach historii powszechnej. Był to przełom, choć zaledwie rozpoczynający wychodzenie z komunizmu.

Warto przypomnieć, że ostatni więzień polityczny PRL – skazany za współpracę z Radiem Wolna Europa Józef Szaniawski – wyszedł na wolność dopiero 22 grudnia 1989 roku. PZPR rozwiązała się w styczniu 1990 roku, ale jej następczyni – Socjaldemokracja Rzeczypospolitej Polskiej – skorzystała z majątku komunistycznej partii. Dopiero w listopadzie 1990 roku uchwalono ustawę o przejęciu majątku byłej już PZPR przez skarbu państwa. Wreszcie w kwietniu 1990 roku uchwalono ustawę likwidującą Służbę Bezpieczeństwa, milicja stała się policją (regulacje te weszły w życie kilka tygodni później). W lipcu 1990 roku z rządu odeszli Siwicki i Kiszczak. Zanim jednak do tego doszło, komuniści przez długie miesiące niszczyli dokumenty PZPR i tajnych służb. Zdumiewające jest także to, że do wiosny 1990 roku działała w Polsce cenzura (Główny Urząd Kontroli Publikacji i Widowsk). Co więcej, niemal do końca działalności potrafiła ingerować w teksty (np. dotyczące Związku Radzieckiego). Ze struktur Układu Warszawskiego i RWPG Polska wyzwoliła się dopiero w połowie 1991 roku, już w okresie rządów kolejnego premiera.

29 grudnia 1989 roku

Chyba najbardziej widocznym znakiem odcięcia się od PRL była ustawa uchwalona w ostatnich dniach roku 1989. Dotyczyła ona zmiany konstytucji Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej – przypomnijmy, konstytucji uchwalonej w 1952 roku, w najczarniejszym okresie stalinizmu. 29 grudnia 1989 roku parlamentarzyści zlikwidowali nazwę PRL, zastępując ją historyczną nazwą Rzeczpospolita Polska. Polski orzeł odzyskał złotą koronę, której w 1944 roku pozbawili go komuniści. Wykreślono zapisy o przewodniej roli PZPR, sojuszu z ZSRR i gwarancjach dla gospodarki nakazowo-rozdzielczej. Decyzje parlamentarzystów w istocie miały charakter jedynie symboliczny – rzeczywistość od dawna nie przystawała do zapisów stalinowskiej ustawy zasadniczej. Gospodarka centralnie kierowana dawno się zała-



Fot. PAP / Ireneusz Radkiewicz

► Prezydent Rzeczypospolitej na uchodźstwie Ryszard Kaczorowski przekazuje insygnia władzy nowo wybranemu Prezydentowi RP Lechowi Wałęsie, 22 grudnia 1990 roku mała, PZPR nie była już partią rządzącą, a słowo „peerelowski” traktowano raczej jako synonim czegoś beznadziejnego, nie zaś określenie państwa. I choć na zmianę druków, pieczętek, oznaczeń dano czas aż do 1995 roku, w sposób symboliczny PRL jednak przestała istnieć.

22 grudnia 1990 roku

Po formalnej likwidacji PRL, a następnie SB i MO, jednym z ostatnich symboli trwania starego porządku był sprawujący urząd prezydenta gen. Wojciech Jaruzelski. Wybór w lipcu 1989 roku zawdzięczał nieformalnemu porozumieniu obozu władzy i części obozu Solidarności. We wrześniu 1990 roku Jaruzelski skierował do Sejmu projekt ustawy, która skracala jego kadencję. Nowy prezydent miał być – po raz pierwszy w historii Polski – wybrany w wyborach powszechnych. Na przełomie listopada i grudnia w dwóch turach wyborów prezydenckich zwyciężył Lech Wałęsa. 22 grudnia zorganizowano uroczystość zaprzysiężenia nowej głowy państwa. Wałęsa złożył ślubowanie przed Zgromadzeniem Narodowym, objął władzę zwierzchnią nad armią, a na Zamku Królewskim w Warszawie przejął z rąk prezydenta RP na uchodźstwie insygnia władzy. Przez pół wieku Chorągiew Rzeczypospolitej, ►

► Tadeusz Mazowiecki został 12 września 1989 roku pierwszym niekomunistycznym premierem, choć w jego rządzie najważniejsze resorty wciąż znajdowały się w rękach PZPR



Fot. AIPN

► Żołnierze Armii Radzieckiej byli ostatnim reliktem dominacji ZSRR w Polsce; na zdjęciu jeden z ostatnich transportów wojska – już rosyjskiego – opuszczający Borne Sulino; 2 października 1992 roku



Fot. PAP/Jerzy Undro

oryginał konstytucji z 1935 roku, insygnia orderów Orła Białego i Polonia Restituta oraz pieczęć Prezydenta RP przechowywano na emigracji, a ich przekazanie do kraju było symbolicznym wyrazem końca istnienia władz na uchodźstwie i *de facto* wojny rozpoczętej w 1939 roku.

Obaj prezydenci podpisali następujący protokół: „Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej Lech Wałęsa oraz Ryszard Kaczorowski, Prezydent Rzeczypospolitej rezydujący w Londynie [...] uznali, że: dążenia kilku pokoleń Polaków do zapewnienia Polsce niepodległego bytu zostały zrealizowane; budowa zrębów demokratycznego Państwa Polskiego powinna się odbywać wspólnym wysiłkiem wszystkich Polaków zamieszkałych zarówno w kraju, jak i za jego granicami. W związku z tym Ryszard Kaczorowski, Prezydent rezydujący w Londynie, złożył [...] następującą deklarację: Uznając, że wybrany z woli Narodu w wyborach powszechnych Prezydent Lech Wałęsa jest najwyższym przedstawicielem Państwa Polskiego, oświadczam, że moja misja prezydencka została wypełniona oraz zakończona i przekazuję insygnia prezydenckie Prezydentowi Lechowi Wałęsie, jako symbole ciągłości II Rzeczypospolitej; wszystkie instytucje pozostające pod moim zwierzchnictwem uznają zwierzchnictwo Prezydenta Lecha Wałęsy”.

Ważne było także to, że w dniu zaprzysiężenia Lech Wałęsa nie spotkał się z ustępującym z urzędu gen. Wojciechem Jaruzelskim. Dzięki temu sugestywnie zaznaczono, że nowy prezydent władzę przejął od prezydenta Kaczorowskiego – symbolizującego ciągłość ustanowionej w 1918 roku polskiej państwowości – a nie z rąk dawnego I sekretarza KC PZPR.

27 października 1991 roku

Niewątpliwie najważniejszym przebiegiem demokracji i suwerenności są wolne wybory. Obywatele odrodzonej II Rzeczypospolitej na możliwość powołania

własnych przedstawicieli do władzy czekali niecałe trzy miesiące. III Rzeczpospolita na w pełni demokratyczne wybory sejmowe kazała czekać dwa lata i cztery miesiące, licząc od tych częściowo wolnych z czerwca 1989 roku.

Polska, która rozpoczęła proces kruszenia bloku sowieckiego, była ostatnim krajem tego bloku, w którym przeprowadzono całkowicie wolne wybory parlamentarne... Ich wyniki były chyba najlepszym probierzem polskiej demokracji. O 460 miejsc w Sejmie walczyło niemal 7 tys. kandydatów. Do izby niższej weszli przedstawiciele 29 komitetów wyborczych! Wśród nich były tak egzotyczne twory jak Polska Partia Przyjaciół Piwa (16 posłów). 25 listopada 1991 roku powołany na funkcję marszałka-seniora Aleksander Małachowski powiedział: „Uczestniczymy wszyscy w doniosłym zwrocie naszych dziejów. Za chwilę, jak nakazuje tradycja, trzykrotnym uderzeniem laską marszałkowską o podłogę Izby poselskiej otworzę posiedzenie pierwszego wybranego w wolnych wyborach po półwiekowej przerwie Sejmu Rzeczypospolitej, co widomie zaświadcza, że nie darmo Polacy walczyli, cierpieli, ginęli za ojczyznę, co widomie zaświadcza, że nie na darmo zbuntowała się Solidarność i pokonała komunistyczny totalizm. Piękny dzień nam nastał, piękny dzień wolności”.

17 września 1993 roku

Ostatnią symboliczną datą na mapie drogowej polskiej niepodległości jest niewątpliwie wrzesień 1993 roku. Warto bowiem pamiętać, że mimo wielu przełomowych wydarzeń i odzyskania przez Polskę suwerenności, na terenie kraju wciąż stacjonowała armia, która 17 września 1939 roku zaatakowała Rzeczpospolitą. Regularne wycofywanie wojsk sowieckich z Polski rozpoczęto dopiero w kwietniu 1991 roku. Wówczas stacjonująca w Polsce Północna Grupa Wojsk Armii Radzieckiej liczyła

53 tys. żołnierzy, ponad 7 tys. pracowników cywilnych i ok. 40 tys. członków ich rodzin. Już w czasie trwania tej operacji zawalił się Związek Radziecki, a jego żołnierzy przejęła Federacja Rosyjska. 17 września 1993 roku, w 54. rocznicę ataku Armii Czerwonej, na dziedzińcu Belwederu Lech Wałęsa pożegnał ostatnich 21 żołnierzy rosyjskiej armii. Na uroczystości nie było wysokich przedstawicieli Rosji – w ostatniej chwili zorientowali się, dlaczego Polacy tak bardzo naciskali, by ceremonia odbyła się właśnie 17 września. . . By symbolicznie stało się zadość, także tego dnia na Wawelu złożono trumnę ze szczątkami gen. Władysława Sikorskiego, pierwszego premiera rządu RP na uchodźstwie.

11 listopada – a więc kiedy?

Powyżej przytoczyłem siedem dat, które mogą nawiązywać do 11 listopada, choć na pewno święta tego nie zastąpią. Ten listopadowy dzień symbolizuje bowiem ciągłość polskiej państwowości. Jedno z tych wydarzeń z pewnością może być jednak symbolem odzyskania niepodległości przez Polskę po latach komunizmu. Które? Uważam, że jest nim niewątpliwie 4 czerwca 1989 roku. Oczywiście, tego dnia rozpoczął się dopiero proces odzyskiwania przez naród suwerenności. Warto jednak pamiętać o atmosferze ranka 5 czerwca, gdy na drzwiach lokali wyborczych zawisły protokoły podsumowujące wyniki głosowania. Wówczas przeciwnicy komunizmu – nawet ci, którzy nie zaakceptowali kompromisu „okrągłego stołu” i do urn nie poszli – odczuwali nieklamana radość z klęski komunistów. I wiedzieli, że rozpoczyna się nowy rozdział. Wypowiedziane przez Szczepkowską w październiku 1989 roku słowa dobrze zdefiniowały te nastroje. 🇵🇱

dr Andrzej Zawistowski – dyrektor BEP IPN i pracownik Katedry Historii Gospodarczej i Społecznej Szkoły Głównej Handlowej w Warszawie

Od niego zaczął się WiP

Michał Siedziako

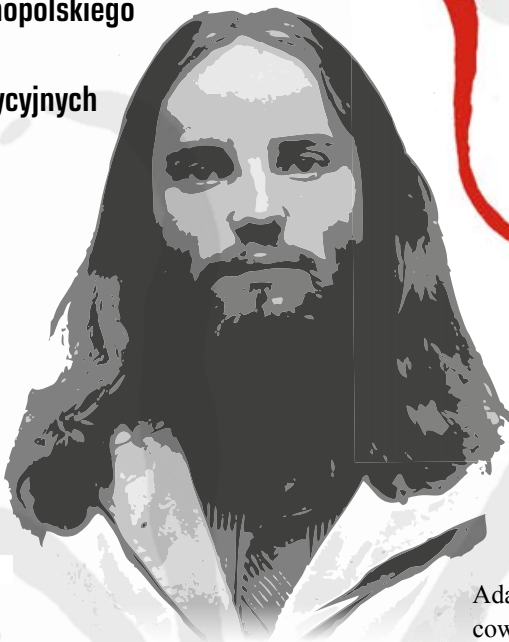
Dwudziestośmioletni student matematyki ze szczecińskiej Wyższej Szkoły Pedagogicznej w decydujący sposób przyczynił się do powołania ogólnopolskiego Ruchu „Wolność i Pokój” – jednej z najważniejszych inicjatyw opozycyjnych w Polsce w drugiej połowie lat osiemdziesiątych.

Marek Adamkiewicz, bo o nim mowa, urodził się 21 listopada 1957 roku w Szczecinie. Szkołę średnią ukończył z wyróżnieniem i mógł bez egzaminów wstępnych podjąć studia na dowolnej uczelni w Polsce. Wybrał Uniwersytet Wrocławski i tam w 1976 roku zaczął studiować fizykę.

Wolny student

Beztróskie życie nie było mu jednak pisane. 7 maja 1977 roku w niewyjaśnionych do dziś okolicznościach zmarł Stanisław Pyjas, student UJ i aktywny działacz opozycji. Adamkiewicz, wstrząśnięty tym wydarzeniem, jeszcze w grudniu tego samego roku znalazł się w gronie założycieli wrocławskiego Studenckiego Komitetu Solidarności (wcześniej podobne komitety powołano w Krakowie, Warszawie, Gdańsku i Poznaniu, zaś w maju 1978 roku – w Szczecinie). Komitet ten krytycznie oceniał działalność związanego z władzą Socjalistycznego Związku Studentów Polskich i zapowiadał kroki na rzecz powołania niezależnej organizacji studenckiej.

Adamkiewicz, który został jednym z rzeczników SKS, był – tak samo jak jego koledzy – zatrzymywany, wzywany na przesłuchania i ostantacyjnie śledzony przez esbeków. W kwietniu



► Marek Adamkiewicz

1978 roku wraz z jednym z kolegów prowadził na terenie wrocławskiej Akademii Ekonomicznej tzw. akcję stolikową, polegającą na rozstawieniu w uczelnianej stołówce małego, przenośnego stolika, na którym rozkładane były różnego rodzaju materiały drugiego obiegu. Dwaj pracownicy AE skonfiskowali młodemu opozycjonistom ich materiały. Następnego dnia niepokorni studenci interweniowali u prorektora. Ten jednak nie tylko nie zwrócił materiałów, lecz również poinformował o zachowaniu nieproszonych gości – jego zdaniem „agresywnym i podważającym godność studenta PRL” – rektora Uniwersytetu Wrocławskiego.

Kara była surowa – Adamkiewicz został skreślony z listy studentów. Jako dodatkowy pretekst wykorzystano



wcześniejszy incydent, gdy będąc pod wpływem alkoholu, chłopak wdał się w awanturę z pracownikami Służby Ochrony Kolei na dworcu PKP we Wrocławiu. Wezwali oni milicjantów, którzy pobili Adamkiewicza na komisariacie dworcowym. Później postawiono go przed sądem i skazano za obrazę funkcjonariuszy MO i SOK „z pobudek chuligańskich” na 540 godzin prac społecznych.

Nowe miejsce, ten sam zapal

Swoją karę Adamkiewicz odpracowywał w Szczecinie, do którego wrócił po nieudanej próbie rozpoczęcia studiów na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim (choć wcześniej otrzymał zgodę na podejście do egzaminów wstępnych, to jednak w ostatniej chwili, przed wejściem na salę egzaminacyjną, został poinformowany, że nie będzie to możliwe). W Szczecinie nawiązał kontakty z miejscowymi opozycjonistami. Podtrzymywał także znajomości zawarte w okresie działalności we wrocławskim SKS. W tym czasie zajmował się głównie kolportażem wydawnictw drugoobiegowych, do których dzięki wspomnianym kontaktom miał łatwy dostęp. ►

W 1980 roku ukończył z wyróżnieniem studium policealne i chciał się dostać na Politechnikę Szczecińską. Jeden z pracowników uczelni, który miał egzaminować Adamkiewicza, otrzymał jednak od prorektora następującą instrukcję: „Drogi kolego, chłopiec ten udziela się w Studenckim Komitecie Solidarności i nie możemy pozwolić, by wciągał tam naszą młodzież. Powstrzymamy go na egzaminie wstępnym z angielskiego. Egzamin jutro, a pan będzie członkiem komisji egzaminacyjnej, dołączy jeszcze dwóch naszych. Zastosujcie tylko najwyższe kryterium ocen. To jest polecenie służbowo-partyjne”.

Lider NZS

Jesienią 1980 roku, już po strajkach sierpniowych i zgodzie władz na rejestrację samorządnych związków zawodowych, Adamkiewicz rozpoczął studia matematyczne w szczecińskiej Wyższej Szkole Pedagogicznej. Od razu zaangażował się w działalność Niezależnego Zrzeszenia Studentów, m.in. organizując wykłady otwarte i koncerty oraz redagując pismo „Półgębkiem”. Ze względu na swe dotychczasowe doświadczenie w niezależnym ruchu studenckim, stał się jednym z liderów NZS w Szczecinie. Nie wykorzystywał tego jednak do budowania swojej pozycji. Jego koledzy po latach wspominali: „Rzadko zresztą o niej mówił [o opozycyjnej przeszłości – M.S.], a jeżeli już, to w prywatnych rozmowach. Żył współczesnością. Gdyby z jego cech wybrać te najlepsze, to postawilibyśmy chyba na... wyrozumiałość, bezkonfliktowość i umiętność

► Legitymacja członkowska NZS



Adamkiewicz po 1989 roku

Marek Adamkiewicz po 1989 roku nie poszedł w ślady wielu kolegów z dawnej opozycji, którzy zrobili kariery w „wielkiej polityce”. Po raz ostatni w politykę zaangażował się w 1995 roku. Zorganizował wówczas w Szczecinie kampanię wyborczą kandydującemu na prezydenta – bez powodzenia, jak się okazało – Jackowi Kuroniowi, którego poznał jeszcze w okresie działalności we wrocławskim SKS. Współtworząc w latach dziewięćdziesiątych lokalne Stowarzyszenie Wytrawnego Piwosza, jak sam mówi, „angażował się w budowanie społeczeństwa obywatelskiego”. Okres największej społecznej aktywności ma już jednak za sobą. Obecnie pracuje jako kierownik stadionu Pogoni Szczecin, wolny czas poświęca zaś przede wszystkim rodzinie.

śluchania. Był wyrozumiały dla wszystkich, przyjaciół i nieprzyjaciół. Każde postępowanie, każdą wyrażoną i uargumentowaną myśl, choćby najbardziej sprzeczną z jego wyobrażeniem, przyjmował jako suwerenne prawo jednostki do indywidualnego wyboru. Nie starał się nigdy narzucić własnej drogi i sposobu myślenia otaczającym go ludziom. Wprost przeciwnie, starał się zrozumieć ich wybór. Może dlatego właśnie był osobą wyjątkowo lubianą. Nie obawiano się bowiem potępienia i obelg z jego strony, a zawsze można było liczyć na jego pomocną dłoń”.

Adamkiewicz brał udział w dwóch strajkach studenckich, walcząc o rejestrację NZS (w lutym 1981 roku) oraz o nową ustawę o szkolnictwie wyższym i usunięcie ze stanowiska rektora Wyższej Szkoły Inżynierskiej w Radomiu prof. Michała Hebdy (w listopadzie/grudniu tego samego roku).

W internowaniu

Gdy w grudniu 1981 roku wprowadzono stan wojenny, Adamkiewicz i niektórzy jego koledzy przenieśli się do strajkującej Stoczni Szczecińskiej im. Adolfa Warskiego. Po kilku dniach strajk ten został rozbity przez wojsko i milicję. Adamkiewicz ukrywał się przez kilka tygodni. Kiedy się ujawnił, zawieszono go w prawach studenta i otrzymał nakaz pracy. Zaangażował się w działalność podziemnego Akademickiego Ruchu Oporu. Nie trwało to jednak długo, gdyż został internowany jako osoba – jak czytamy w decyzji komendanta wojewódzkiego MO z 8 maja 1982 roku – której pozostawanie na wolności

„zagroziłoby bezpieczeństwu Państwa i porządkowi publicznemu przez to, że może podjąć działalność skierowaną przeciwko interesom politycznym PRL i powodującą zakłócenia w gospodarce narodowej”.

Dziesięć dni później zginął w Gdańsku, w niewyjaśnionych okolicznościach, starszy brat Marka – Wiesław. Marek otrzymał kilkunastodniową przepustkę z internowania. Wspominał później o trudnym powrocie za kraty: „Chyba że trzy godziny stałem przed bramą więzienia i zastanawiałem się: wejść tam czy nie. W końcu pomyślałem, że dla rodziny byłoby to zbyt wielkie obciążenie, gdyby musiała się martwić jeszcze o mnie i – znalazłem się po drugiej stronie bramy. Czuję się tam zresztą spokojniej niż na zewnątrz. Byłem zamknięty i nic mi już więcej nie groziło: a tutaj żyłem w ciągłym napięciu – czy będzie rewizja, kolegium, 48 godzin?”.

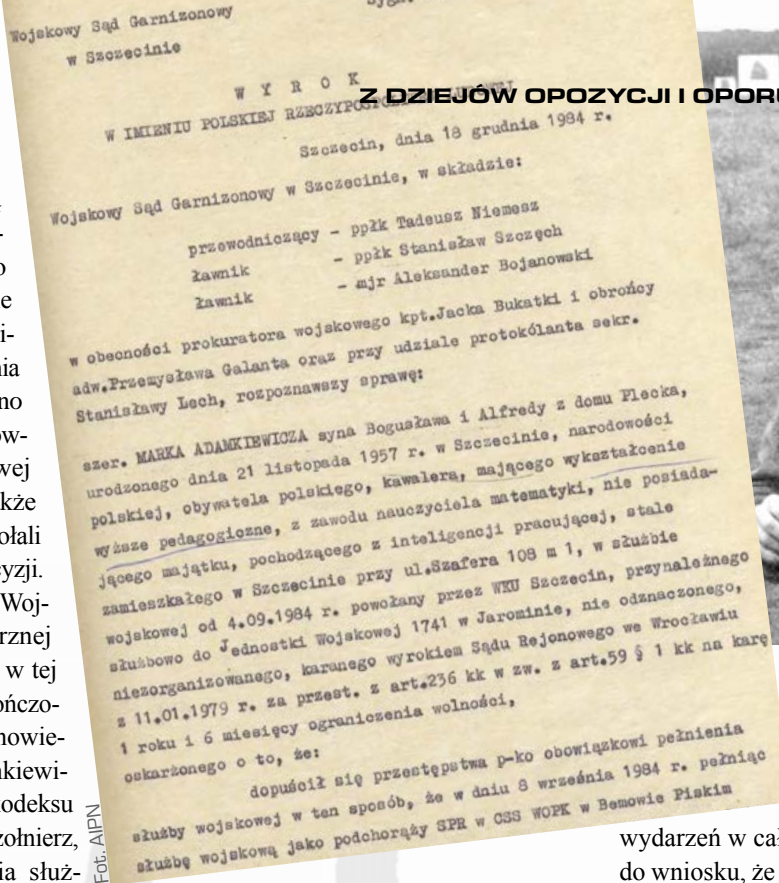
Przysięgi nie złożę

W listopadzie 1982 roku Adamkiewicz opuścił ośrodek internowania. Powrócił na studia w szczecińskiej WSP i znów kolportował niezależne wydawnictwa. Chociaż w czerwcu 1984 roku zdał wszystkie egzaminy i otrzymał absolutorium, to jednak nie pozwolono mu obronić pracy magisterskiej. Otrzymał bowiem powołanie do odbycia zasadniczej służby wojskowej w Szkole Podchorążych Rezerwy w Bemowie Piskim. Stawił się tam 4 września. Kilka dni później przedstawił jednak dowódcy oświadczenie, że z przyczyn politycznych odmawia złożenia przysięgi wojskowej. Za niezgodne z własnymi przekonaniami uznał fragmenty roty mówiące o staniu na straży władzy ludo-

wej i przymierzu z Armią Radziecką. Różni oficerowie próbowali zmusić go do zmiany stanowiska, ale bezskutecznie. Adamkewicza zdegradowano do stopnia szeregowego i przeniesiono karnie do remontowo-budowlanej Jednostki Wojskowej nr 1741 w Jarominie. Także tamtejsi oficerowie nie zdołali namówić go do zmiany decyzji.

14 listopada Delegatura Wojskowej Służby Wewnętrznej w Trzebiatowie wszczęła w tej sprawie dochodzenie, zakończono dwa dni później postanowieniem o postawieniu Adamkewiczowi zarzutu z art. 305 kodeksu karnego, mówiącego, że „żołnierz, który odmawia pełnienia służby wojskowej albo wykonywania obowiązku wynikającego z tej służby, podlega karze pozbawienia wolności od 6 miesięcy do lat 5”. Już następnego dnia Adamkewicz został aresztowany, a wkrótce Wojskowa Prokuratura Garnizonowa w Koszalinie przygotowała akt oskarżenia.

Rozprawa przed Wojskowym Sądem Garnizonowym w Szczecinie odbyła się 18 grudnia 1984 roku. Jej wynik, wobec przyznania się oskarżonego do zarzuczonego mu czynu i odmowy składania wyjaśnień oraz zgodnych zeznań przesłuchiwanych w śledztwie świadków, był właściwie z góry przesądzony. Niewiadomą pozostawał jedynie wymiar kary. obrońca wnosił o zastosowanie aresztu wojskowego, prokurator wojskowy kpt. Jacek Bukatka zaś o karę dwóch lat i sześciu miesięcy pozbawienia wolności. Sąd w składzie: ppłk Tadeusz Ni-



Fot. AIPN

mesz (przewodniczący), ppłk Stanisław Szczęch oraz mjr Aleksander Bojanowski, biorąc pod uwagę „znaczny stopień szkodliwości społecznej czynu popełnionego przez sądownego, zwłaszcza dla zwartości bojowej wojska, jego złą wolę (odmawiał złożenia przysięgi wojskowej wielokrotnie) oraz wcześniejszą karalność (wspomniany wyrok za obrazę funkcjonariuszy MO i SOK)”, przychylił się do wniosku prokuratora.

W historii PRL już wcześniej zdarzali się poborowi, którzy nie chcieli składać przysięgi wojskowej, ale to Adamkewicz pierwszy zapłacił za to więzieniem. Na kilkanaście miesięcy osadzono go w Zakładzie Karnym w Stargardzie Szczecińskim w tzw. szywniej celi przeznaczonej dla szczególnie niebezpiecznych przestępców. Biorąc jednak pod uwagę dalszy rozwój



Fot. ze zbiorów M. Adamkewicza

► Poborowy Adamkewicz w Szkole Podchorążych Rezerwy w Bemowie Piskim, wrzesień 1984 roku

wydarzeń w całym kraju, można dojść do wniosku, że komuniści „strzelili sobie w kolano”. Skazanie Adamkewicza stało się bowiem iskrą, która spowodowała powstanie Ruchu „Wolność i Pokój”.

Solidarni z Adamkewiczem

Pomysł powołania organizacji pokojowej, propagującej metodę niestosowania przemocy w walce z komunistycznym reżimem, pojawił się w gronie uczestników tygodniowej głodówki w obronie zamkniętego w więzieniu kolegi, podjętej 17 marca 1985 roku w kościele św. Krzysztofa w Podkowie Leśnej pod Warszawą. Bezpośredni impuls do stworzenia ruchu wyszedł jednak z Krakowa. Autorem nazwy „Wolność i Pokój” (początkowo „Pokój i Wolność”) oraz

► „Marsz wielkanocny”, pierwsza legalna manifestacja opozycyjna w Szczecinie, 27 marca 1989 roku

Fot. ze zbiorów M. Adamkewicza





► Uliczny happening szczecińskich wipowców z „Tygodnikiem Solidarność”, lato 1988 roku; od prawej: Paweł Woźniak, Marek Adamkiewicz, Stanisław Naklicki (za nim Tomasz Duklanowski), Bartosz Sawicki, Wojciech Woźniak, Mariusz Lisowski, Tomasz Andrysiak (z tyłu, w okularach słonecznych)

„Deklaracji założycielskiej” ruchu był Jan Maria Rokita. Deklarację odczytano 14 kwietnia 1985 roku po mszy św. w krakowskim kościele św. Stanisława. Powołując się na orędzia pokojowe Jana Pawła II, uznano, że celem ruchu będzie „propagowanie i pozyskiwanie jak największych rzesz Polaków dla prawdziwej, niczym niezafałszowanej idei pokoju”. W dokumencie znalazł się też następujący zapis: „[...] warunkiem zaistnienia pokoju w życiu politycznym państw i narodów jest skuteczne zagwarantowanie wszystkim ludziom wolności osobistej. Nie ma pokoju nigdzie tam, gdzie zlikwidowano tradycyjne wartości polityczne, gdzie stworzono systemy państwowej represji, przymusu ideologicznego, gdzie pozbawiono jednostkę praw do samodzielności i inicjatywy. Nie ma więc pokoju w rządzonej przez komunistów Polsce. Pragniemy zrobić wszystko, co przyczynić się może do zwiększenia zakresu wolności człowieka w naszym kraju, a tym samym dać w Polsce szansę pokojowi”. Oświadcze-

► Demonstracja uliczna uczestników Ruchu „WiP” przed Domami Towarowymi „Centrum” w Warszawie, 3 października 1986 roku; po lewej Marek Adamkiewicz, po prawej Wojciech Bafeltowski, Jerzy Kolarzowski, transparent trzymają Roland Kruk (po lewej) i Jarema Dubiel



nie o przystąpieniu do WiP i przyjęciu krakowskiej deklaracji założycielskiej podpisała 2 maja 1985 roku grupa uczestników wspomnianej głódówki. W następnych miesiącach inicjatywa przenosiła się do kolejnych miast.

Ruch szybko się rozwijał, wnosząc do działań opozycji demokratycznej w PRL powiew świeżości. Istotnym *novum* w stosunku do inicjatyw opozycyjnych podejmowanych po 13 grudnia 1981 roku była jawność działania. Do głównych form aktywności należały pokojowe protesty o charakterze happeningów ulicznych, rozwieszanie transparentów na publicznych budynkach, sittingi, przemarsze ulicami miast w kilkunastoosobowych grupach z transparentami, zbieranie podpisów pod różnego rodzaju petycjami itp. Ważną częścią działań podejmowanych przez członków ruchu była akcja odsyłania książeczek wojskowych do ministra obrony narodowej. Wydawano także wiele niezależnych tytułów prasowych.

Już w maju 1986 roku władze uznały WiP za „szczególnie niebezpieczny”, zaś podnoszone przez jego działaczy hasła pokojowe i ekologiczne za „jeden z najrzęczniejszych [...] kamuflaży do prowadzenia otwartej działalności antypaństwowej i antyustrojowej na pozalegalnych i półlegalnych zasadach”.

Nadchodzi wolność

Odsiadujący wyrok Adamkiewicz nie do końca zdawał sobie sprawę, co się stało. Za pośrednictwem rodziny docierały do niego tylko szczątkowe informacje. Więcej dowiedział się dopiero na dwa miesiące przed uwolnieniem od swojego obrońcy, mec. Piotra Andrzejewskiego.

8 grudnia 1986 roku Marek Adamkiewicz wyszedł na wolność w ramach zwolnienia warunkowego. Szybko odnalazł się wśród członków WiP. Już kilka tygodni później wziął udział w pierwszej akcji – sittingu przed Domami Towarowymi „Centrum” w Warszawie, odbywającym się pod hasłem „Odmowa służby wojskowej prawem człowieka”, za co zresztą został ukarany grzywną przez kolegium do spraw wykroczeń. Wszedł także w skład ogólnopolskiej Rady Funduszu WiP, powołanej 21 września 1986 roku. Głównym miejscem aktywności zwolnionego z więzienia opozycjonisty pozostał jednak rodzinny Szczecin. Środowisko uczestników i sympatyków WiP było tu aktywne już wcześniej, jednak w Adamkiewiczzu zyskało silnego, wyrazistego lidera. Zaczęło się rozrastać i rozwinęło działalność w formach odpowiadających rodzajom aktywności ruchu w pozostałych częściach kraju.

Chociaż w drugiej połowie lat osiemdziesiątych Ruch „Wolność i Pokój” był jedną z najbardziej aktywnych organizacji opozycyjnych, to w wolnej Polsce stracił rację bytu. Jeszcze w 1988 roku zmieniono bowiem rotę przysięgi wojskowej i wprowadzono możliwość odbywania służby zastępczej. Wkrótce zakończył się także okres opozycyjnych zmagania Marka Adamkiewicza, za które był relegowany ze studiów, internowany, osadzony w więzieniu jak zwykły kryminalista, nękany zatrzymaniami na 48 godzin, rewizjami i wyrokami kolegiów do spraw wykroczeń. Zapytany przeze mnie, czy warto było tyle wycierpieć, Adamkiewicz ani chwili nie zawahał się przed udzieleniem twierdzącej odpowiedzi. ■

Michał Siedziako – pracownik OBEP IPN w Szczecinie, autor wywiadu z Markiem Adamkiewiczem „Bez wątplenia było warto!” (2012)



Hartheim – zamek śmierci

Marek Rąbiega



W renesansowym zamku w Górnej Austrii nazisci uśmiercili 30 tys. osób uznanych za „niegodne życia”. Było wśród nich ponad tysiąc obywateli przedwojennej Polski.

Wnocy z 10 na 11 kwietnia 1940 roku do domu Władysława Roszaka wtargnęło gestapo. Gospodarz został zatrzymany i przewieziony do katowni niemieckiej policji politycznej. Stamtąd po kilkumiesięcznym ciężkim śledztwie przetransportowano go do obozu koncentracyjnego Sachsenhausen, a następnie do Dachau. Ślad po Roszaku urwał się na kilkadziesiąt lat.

W grudniu 1944 roku do Linzu w Górnej Austrii zbliżały się oddziały armii amerykańskiej. Doktor Rudolf Lonauer, kierownik pobliskiego ośrodka Hartheim, pośpiesznie zacierając ślady swojej działalności, niszcząc dokumentację. Dziś wiemy, że właśnie w Hartheim spłotyły się losy Roszaka i Lonauera...

Na życzenie Führera

Jesienią 1939 roku Adolf Hitler – po odbytej w sopockim Grand Hotelu naradzie z niemieckimi psychiatrami – nakazał powołanie instytucji odpowiedzialnej za systematyczną realizację programu eliminacji „niegodnych życia istnień”. Dyrektorka w tej sprawie zapoczątkowała ściśle tajną „Aktion T-4” i późniejszą „Aktion 14f13”. Były to akcje likwidacji osób zakwalifikowanych jako „zbędnych” dla III Rzeszy. Jednym z miejsc masowych mordów w ramach „Aktion T-4” i „Aktion 14f13” stał się malowniczo położony zamek Hartheim.

W dokumentacji nazistowskiej transporty odchodzące do zamku nigdy nie zawierały miejsca przeznaczenia, określano je jako „transporty inwalidów” lub transporty pacjentów skierowanych do leczenia sanatoryjnego. Tymczasem przywożeni do Hartheim byli od razu prowadzeni do komory gazowej. Tych, którzy mieli złote zęby lub mostki, oznaczano wcześniej na plecach czerwonym krzyżykiem. Później zatrudnieni w ośrodku lekarze SS przygotowywali akty zgonu, wpisując przyczyny śmierci z listy otrzymanej z centrali T-4. Następnie w poszczególnych obozach wystawiano dokumenty zgonu, wskazując nieprawdziwe miejsce śmierci (z reguły dany obóz koncentracyjny), nieprawdziwy czas (z reguły późniejszy) i nieprawdziwą przyczynę (z reguły naturalną). Przez lata członkowie rodzin byli więc przekonani, że ich bliscy zginęli w innym miejscu, innym czasie i z innego powodu.

Wyjątkowe śledztwo

Przejmując jako prokurator IPN sprawę zamku śmierci Hartheim, zastanawiałem się, jakie może być zainteresowanie zbrodniami tak odległymi. Czego możemy nie wiedzieć o mordach popełnionych blisko siedemdziesiąt lat temu? Jakie znaczenie ma zamek w Austrii dla polskiej pamięci narodowej? Co stało się z Władysławem Roszakiem? ➤

Sterbeurkunde

(Standesamt Dachau II Str. 2514/1) 42
 Der Grubenarbeiter Franz [REDACTED]
 katholisch
 wohnhaft in Horzow, Beuthenerstraße 2, Kreis Kattowitz
 ist am 9. Juli 1942 um 10 Uhr 25 Minuten
 in Dachau verstorben.
 Der Verstorbene war geboren am 5. Oktober 1931
 in Bujakow.
 Der Verstorbene war - nicht/verheiratet/verheiratet/verwitwet/verheiratet/verwitwet/verheiratet/verwitwet
 geborene Adamik.
 Dachau, den 1. Dezember 1943
 Der Standesbeamte
 Todesursache: Versagen von Herz und Kreislauf bei Herzkrämpfen
 Artur

► Sfałszowany akt zgonu jednego z zamordowanych w Hartheim; w dokumencie podano nieprawdziwą datę (9 lipca 1942 roku), miejsce (Dachau) i przyczynę śmierci (uszkodzenie serca z powodu zwyrodnienia mięśnia sercowego); w rzeczywistości osoba, której akt dotyczy, została zamordowana w komorze gazowej w Hartheim 24 lutego 1942 roku, a fałszerstwo miało ukryć prawdę o zbrodniach dokonywanych na zamku

Okazało się, że zainteresowanie tym tematem jest nadal bardzo duże. W trakcie śledztwa w sprawie zbrodni w Hartheim zgłaszały się osoby z całej Europy, a także z USA – dzieci, wnuki, a nawet prawniki ofiar – chcąc złożyć zeznania i domagając się przekazania ustaleń, odtworzenia losów ich bliskich, wskazania winnych. Kontaktowali się ze mną Polacy, Niemcy, Amerykanie.

Śledztwo w sprawie Hartheim było ciekawe z kilku względów. Po pierwsze, w jego toku wykazano perfidne fałszerstwo władz hitlerowskich. Otóż zamek Hartheim funkcjonował w czasie wojny pod nazwą Zakład Użyteczności Publicznej, Fundacja Opieki Zakładowej. W istocie był utajnionym miejscem masowych mordów. Trafiali tu ludzie chorzy psychicznie, a także niezdolni do pracy robotnicy obozów koncentracyjnych w Mauthausen-Gusen i Dachau.

Po drugie, całość dokumentacji ośrodka Hartheim została w drugiej połowie grudnia 1944 roku zniszczona. Mimo to Oddziałowa Komisja Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu w Szczecinie ustaliła w toku prowadzonego śledz-

twa nazwiska 1143 obywateli polskich zamordowanych w zamku. Było to możliwe dzięki dotarciu do rozproszonej dokumentacji znajdującej się na terenie Niemiec, Austrii, Stanów Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii i Polski. Ponadto ustalono personalia około trzydziestu osób z obsługi zakładu oraz kilkudziesięciu osób odpowiedzialnych za zbrodnię. Wykazano ich udział w mordach i powojenne losy. Okazało się, że wielu z tych ludzi nigdy nie stanęło przed sądem.

Po trzecie wreszcie, Hartheim było kuźnią przyszłych kadr zbrodniarzy. Kierownikiem biura ośrodka był SS-Obersturmbannführer (podpułkownik) Christian Wirth, członek NSDAP. Był on odpowiedzialny za to, by zakład w Hartheim przynosił zyski. Pobił kiedyś Vinzenza Nohela, pracownika ośrodka – bo ten pozwolił, aby złoty ząb jednej z ofiar wpadł jej do gardła. Z Hartheim Wirth został przeniesiony do Polski, gdzie nadzorował eksterminację osób narodowości żydowskiej w obozach w Chełmnie, Bełżcu, Sobiborze i Treblince. Funkcję przedstawiciela policji w ośrodku Hartheim pełnił Franz Stangl. Był jedną z osób realizujących wówczas akcję T-4. Następnie został komendantem obozów w Sobiborze i Treblince.

Sprawiedliwość nierychliwa

Wielu ze zbrodniarzy odpowiedzialnych za mordy w Hartheim nigdy nie zostało skazanych. Część zginęła w czasie działań wojennych, część przepadła bez wieści, jeszcze inni po 1945 roku zostali uniewinnieni przez sądy, uciekli do Ameryki Południowej albo spokojnie dożyli swych dni w Niemczech. W obliczu zimnej wojny Zachodu ze Wschodem ściganie zbrodni nazistowskich zeszło na dalszy plan.

I tak na przykład Werner Blankenburg, oficer administracyjny w kancelarii Hitlera i jeden z głównych odpowiedzialnych za akcję T-4, zmarł jesienią 1957 roku w Stuttgarcie. Po wojnie żył pod fałszywym nazwiskiem i nigdy nie trafił do więzienia.

Doktor Georg Renno, zastępca kierownika ośrodka w Hartheim, do

► Protokół przesłuchania jednego ze świadków w sprawie zbrodni w Hartheim

KOMISJA BADANIA ZBRODNI HITL
 Suga. akt. dz. Ur. By. 5/64/60
 Protokół przesłuchania
 Dnia 23 grudnia 1969 r.
 przez
 Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w
 działając na zasadzie art. 4 Dekretu z dn.
 i art. 219 k. p. k.
 z udziałem protokółanta [REDACTED]
 przesłuchal niżej wymienionego w charakterze
 świadka uprzedzono o prawie odmowy
 odpowiedzialności karnej za fałszywe zeznania.
 Przesłuchujący odebrał od niego przyrzeczenie
 czym świadek oświadczył, że
 Świadek zeznał co następuje:
 Imię i nazwisko: Władysław [REDACTED]
 Data i miejsce urodzenia: 26.VI.1902r. Sokolnik
 Imiona rodziców: Jan i Justyna
 Miejsce zamieszkania: Cierpice pow. Toruń
 Zajęcie: pracownik PKP na emeryturze
 Stosunek do stron

1961 roku skutecznie ukrywał się na terenie RFN, kiedy to został zatrzymany. Prokuratura Generalna we Frankfurcie nad Menem wszczęła przeciwko niemu postępowanie. Jednak proces niemiłosiernie się ślimaczył. Ostatecznie postępowanie zostało umorzone w 1975 roku z powodu złego stanu zdrowia oskarżonego. Renno żył jednak jeszcze 22 lata. Według ustaleń Oddziałowej Komisji w Szczecinie odpowiadał za śmierć kilkunastu tysięcy osób.

Wspomniany Christian Wirth, który tak dbał o każdy złoty ząb zamordowanego, zginął w maju 1944 roku z rąk partyzantów jugosłowiańskich.

Vinzenz Nohel, który w Hartheim zajmował się kremowaniem zwłok, tuż po wojnie został aresztowany. Jego zeznania w dużej mierze pozwoliły na ustalenie, co działo się za murami zamku. Amerykański Trybunał Wojskowy w Dachau skazał Nohela na śmierć przez powieszenie. Wyrok wykonano w maju 1945 roku w więzieniu w Landsbergu.

Byli wreszcie i tacy, którzy ponieśli karę za inne czyny. Franz Stangl, oficer policji z Hartheim, po zakończeniu wojny uciekł do Brazylii. Na skutek starań Szymona Wiesenthala – słynnego „łowcy nazistów” – został w 1967 roku aresztowany i przekazany władzom RFN. Trzy lata później sąd w Düsseldorfie skazał go na dożywocie jako odpowiedzialnego za śmierć kilkuset tysięcy Żydów w Treblince. W czerwcu 1971 roku Stangl zmarł w więzieniu na atak serca.

Bardzo ciekawy i znamieny jest przykład personelu pomocniczego w ośrodku Hartheim. W 1947 roku grupa pielęgniarek służących w tym zakładzie stanęła przed Sądem Krajowym w Linzu. Prokurator zarzucał im pomoc w zabójstwie

– poprzez rozbieranie osób przewidzianych do uśmiercenia i uczestnictwo w wymordowaniu. Sąd uznał jednak, że nie można przypisać im winy w tym zakresie. Przyjął mianowicie, że jako pracownicy opieki medycznej były one zobowiązane do pracy, a za ewentualną odmowę jej świadczenia mogły ponieść karę, nawet w postaci umieszczenia w obozie koncentracyjnym. Sąd przyjął zatem, że co prawda pomogły one przez swoje działania w uśmierceniu ludzi, jednakże uczyniły to pod przymusem. W listopadzie 1947 roku pielęgniarki zostały uniewinnione. Była to sytuacja typowa dla całego rozliczenia ze zbrodniami nazistowskimi.

➤ Fragment sentencji umorzenia śledztwa w sprawie Hartheim

Charakterystyczną postawą było wówczas zasłanianie się wykonywaniem rozkazu. Wielu zbrodniarzy nazistowskich utrzymywało przed sądem, że swojej zbrodniczej działalności dopuścili się wbrew swym przekonaniom, a nawet woli. Tłumaczyli się właśnie wykonywaniem rozkazu, koniecznością wojenną albo zrzucali odpowiedzialność na osoby im podległe, na które rzekomo nie mieli wpływu. Zgromadzone w śledztwach Oddziałowej Komisji w Szczecinie dowody całkowicie temu przeczą.

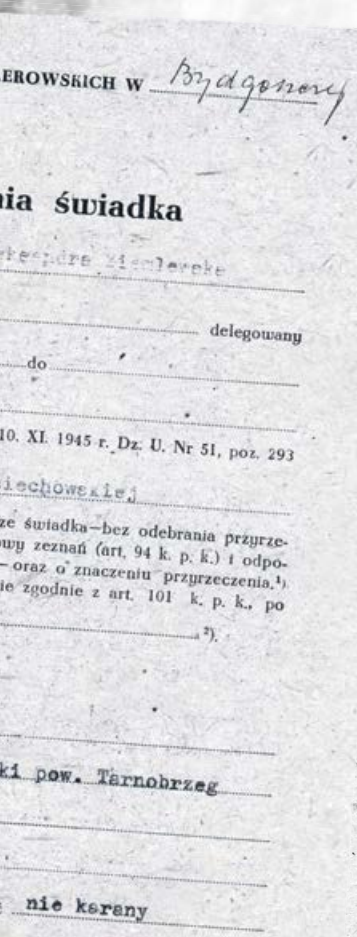
Splecione losy

Rozpoczęliśmy tę opowieść od Władysława Roszaka. Ślad po nim urwał się w Dachau w 1941 roku. 66 lat później, w roku 2007, w toku śledztwa Oddziałowej Komisji w Szczecinie udało się ustalić, że 24 lutego 1942 roku Roszak został przetransportowany do Hartheim specjalnie do tego celu przystosowanym autobusem (pojazdy te miały np. oznaczenia Poczty Rzeszy Niemieckiej i zamalowane szyby). Tam zamordowano go w komorze gazowej, a jego ciało spalono, prochy zakopując po wschodniej stronie zamku – wraz z prochami ok. 30 tys. innych osób.

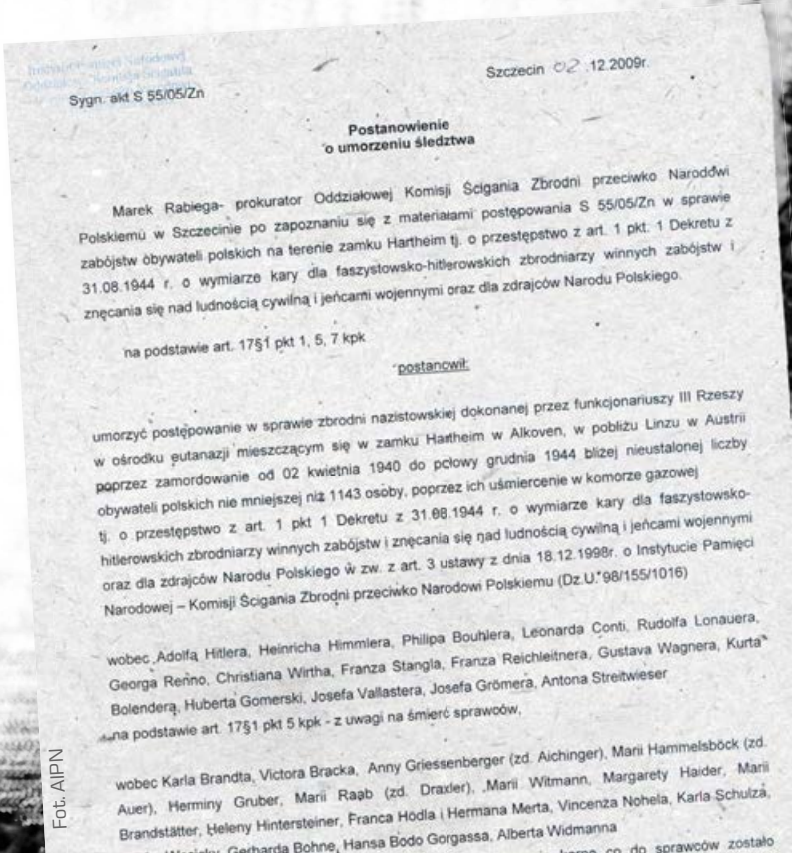
Rudolf Lonauer – kierownik ośrodka, a jednocześnie członek NSDAP i oficer SS – nie miał zamiaru oddać się do amerykańskiej niewoli. Popenił samobójstwo 5 maja 1945 roku. Wcześniej zabił żonę i dwie kilkuletnie córki. ■

Artykuł opracowałem na podstawie materiałów zebranych w toku śledztwa S 55/05/Zn w sprawie zbrodni dokonanej przez funkcjonariuszy III Rzeszy w zamku Hartheim w Austrii. Od 2 kwietnia 1940 do połowy grudnia 1944 roku zamordowano tam nie mniej niż 1143 obywateli polskich.

Marek Rabięga – prokurator Okręgowej Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu w Szczecinie



Fot. AIPN



Fot. AIPN

Wielki bieg

Jerzy Eisler

Przez szereg lat jedynymi polskimi filmami fabularnymi dotyczącymi okresu stalinowskiego były obrazy zrealizowane na przełomie lat czterdziestych i pięćdziesiątych. Jest przy tym oczywiste, że ukazywana w nich rzeczywistość niewiele wspólnego miała ze stanem faktycznym.

Kompletnie odrealniony świat zapełniali ofiarni przodownicy pracy, wyrozumiali i zawsze skłonni do pomocy ludziom sekretarze partii oraz dzielni milicjanci. W roli bohaterów negatywnych obsadzani byli natomiast przedstawiciele „klas odchodzących”: ziemiaństwa, „prywatnej inicjatywy”, inteligencji, jak również rozmaici tak zwani bumelanci, bikiniarze, kułacy itp. Tego typu jednowymiarowe postaci odnajdujemy zwłaszcza w ówczesnych komediach: *Sprawa do załatwienia* Jana Rybkowskiego i Jana Fethke z 1953 roku, *Przygoda na Mariensztacie* Leonarda Buczkowskiego z 1954 roku (był to pierwszy polski barwny film fabularny) czy w *Irenie do domu!* Jana Fethke z 1955 roku.

Stalinizm bez makijażu

Po 1956 roku – przez następnych blisko dwadzieścia lat – nie zrealizowano ani jednego poważnego obrazu poświęconego okresowi stalinowskiemu (z wyjątkiem filmu *Ręce do góry* Jerzego Skolimowskiego z 1967 roku, który jednak na długie lata został „odłożony na półki”). Dopiero w 1976 roku po latach zabiegów – dzięki przychylności i poparciu Józefa Tejchmy, ówczesnego ministra kultury oraz członka Biura Politycznego KC PZPR – Andrzej Wajda mógł wreszcie zekranizować scenariusz *Człowieka z marmuru*, który Aleksander Ścibor-Rylski napisał kilkanaście lat wcześniej. Film wszedł na ekrany w lutym 1977 roku i okazał się bardzo ważnym wydarzeniem artystycznym i politycznym, mimo że władze zrobiły naprawdę niemało, aby ograniczyć jego społeczne oddziaływanie. Przede wszystkim *Człowiek z marmuru* przełamywał barierę milczenia na temat stalinizmu, o którym od tego momentu można było mówić nie tylko w tonie afirmatywnym, ale i krytycznie. W następnych latach filmy ukazujące chociażby częściową prawdę o tamtym okresie realizowano przede wszystkim w telewizji. Mam tutaj na myśli dwa popularne seriale: *Dom* Jana Łomnickiego oraz *Przyjaciecie* Andrzeja Kostenki.

Prawdziwy przełom w tym względzie nastąpił wraz z powstaniem NSZZ „Solidarność”. W latach 1980–1981 realizowane były następujące filmy: *Był jazz* Feliksa Falka, *Dreszcze* Wojciecha Marczewskiego, *Matka Królów* Janusza Zaorskiego, *Przesłuchanie* Ryszarda Bugajskiego, *Wahadelko* Filipa Bajona. Wszystkie ukazywały ciemne oblicze stalinizmu i wszystkie – z wyjątkiem *Matki Królów* – zrealizowano w kolorach.

Tylko część z nich zdążyła wejść na ekrany przed 13 grudnia 1981 roku, niektóre finalizowano w następnych miesiącach w warunkach półoficjalnych. Ale i tak – nawet te, które miały premiery w 1981 roku – na długie lata stały się „półkownikami”. Los taki spotkał także telewizyjny pełnometrażowy obraz fabularny *Wielki bieg* – zrealizowany przez Jerzego Domaradzkiego



według scenariusza Feliksa Falka – którego nie zdążono wyemitować przed wprowadzeniem stanu wojennego.

Wygrać motocykl

Akcja filmu, który opowiada historię „Biegu Pokoju” z udziałem przodowników pracy z całego kraju, rozgrywa się w 1952 roku. Główną nagrodą był motocykl „Java”. Na mecie we Wrocławiu miał go wręczyć zwycięzcy sam prezydent Bolesław Bierut. Był to jednak morderczy kilkudniowy wyścig, w ramach którego uczestnicy (nieprzygotowani do tego typu wysiłku, praktycznie bez treningu) mieli każdego dnia przebiec 15 kilometrów, co było dystansem przekraczającym możliwości wielu z nich. Już na pierwszym etapie odpadł między innymi prosty chłopak ze wsi, który załamany tym niepowodzeniem, usiłował się powiesić. Na szczęście odratowano go, ale zarazem organizatorzy biegu, a zwłaszcza bezwzględny, chorobliwie ambitny towarzysz Wrzesień (znakomita kreacja Krzysztofa Pieczyńskiego), postanowili całą sprawę zatuzować, gdyż – by odwołać się do języka z zupełnie innego świata – *show must go on*. Żeby więc zapewnić odpowiedni liczbowo udział uczestników w czasie finału rozgrywanego we wrocławskiej Hali Ludowej w obecności Bieruta, na następnych etapach zawodników, którzy padali ze zmęczenia, podwożono na etapową metę samochodem.

Wszelako sam wyścig jest tylko jednym, chociaż niewątpliwie najważniejszym wątkiem filmu. W tle biegu rozgrywają się inne dramatyczne historie: na przykład cwaniaczka Radka Stolarza, podającego się za górnika ze Śląska, któremu rzekomo zaginęło zgłoszenie udziału w biegu i który w zawodach brał udział właściwie tylko w tym celu, aby wygrać ów motocykl i – jak się początkowo wydawało – gotów był brnąć do celu „po trupach”. Jest również wątek Stefana Budnego – syna „wroga ludu” – który decyduje się na nadludzki wysiłek tylko po to, żeby w razie wygranej – w chwili odbioru głównej nagrody – móc wręczyć Bierutowi list w sprawie uwięzionego ojca. Jest wreszcie skomplikowana psychologicznie rozgrywka między towarzyszem Wrześniem a kręcącym się wokół biegu i notorycznie nadużywającym alkoholu dziennikarzem, pragnącym niemal za wszelką cenę zrobić zawodową karierę.

Nożyce cenzury

Właśnie z tą ostatnią postacią łączy się dość zabawna scena usunięta przez cenzurę. W tym miejscu muszę jednak uczynić pewną dygresję. Wspomniałem już, że w stanie wojennym *Wielki bieg* – podobnie jak inne filmy ▶

ukazujące w prawdziwym świetle stalinizm – nie był pokazywany publicznie i trafił „na półki”. Wszelako w 1984 roku – dzięki kolegom pracującym w telewizji – miałem okazję obejrzeć go na stole montażowym. Zrobiłam mi ogromne wrażenie, tym bardziej że – poza *Człowiekiem z marmuru* – przed 13 grudnia nie zdążyłem obejrzeć wspomnianych wcześniej filmów. Zaimponował mi zarówno rozmach realizatorski, bogactwo wątków, jak i ogólna wymowa tego dzieła. Wśród scen, które zrobiły na mnie szczególne wrażenie, była i ta, której nie zobaczyłem, gdy w 1987 roku film został wreszcie pokazany w telewizji.

Otóż jest to scena rozmowy dziennikarza pijaka z pojawiającym się kilka razy na drugim planie funkcjonariuszem aparatu bezpieczeństwa. Jest to zresztą nie tyle rozmowa, ile raczej „ubeckie” przesłuchanie, o czym świadczy stojąca na biurku lampa, świecąca pismakowi w oczy. W wersji, która trafiła do rozpowszechniania – wcześniej zaś została wyróżniona na Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdańsku (1986) nagrodami za reżyserię w kategorii filmu telewizyjnego oraz dla Krzysztofa Pieczyńskiego za pierwszoplanową rolę męską, a także nagrodzona na międzynarodowych festiwalach filmowych w Moskwie i Montrealu – funkcjonariusz zwraca się do dziennikarza słowami: „Wracając do towarzysza Stalina” i w tym momencie sekwencja się kończy. W pełnej wersji scena ta miała dalszy ciąg, który przywołuję z pamięci, oddając wszakże jej charakter. Ubek zwraca się do dziennikarza: „Powiedzieliście, że towarzysz Stalin jest niski i ma dziobatą cerę. Otóż wyobraźcie sobie, że są towarzysze, którzy widzieli towarzysza Stalina na własne oczy. Musicie wiedzieć, że ma on wzrost i cerę godną męża stanu”. W kontekście rzeczywiście niskiego wzrostu Stalina i jego cery (ze śladami po ospie) scena ta może jawić się groteskowo, ale w tamtej konkretnej sytuacji człowiek, wobec którego podnoszono taki zarzut, musiał być przerażony nie na żarty. Oczywiście nie wiem, dlaczego akurat ta scena wypadła z filmu, skoro znalazły się w nim na pewno jeszcze mocniejsze fragmenty.

Wierzący i przystosowani

Wielki bieg ukazuje totalitarne oblicze stalinizmu, na które składały się nie tylko wszechobecne w tym filmie pieśni masowe, monumentalne dekoracje z dominującą czerwienią, nachalna i ogłupiająca propaganda (w pewnym momencie Wrzesień przekazuje swojemu współpracownikowi zestawy haseł – jak sam to cynicznie określa – na: „popieramy” i „protestujemy” i przestrzega go, aby ich przypadkiem nie pomieszał), ale także bezwzględna walka „starego” z „nowym”. To „nowe” reprezentuje w filmie przede wszystkim bezwzględny Wrzesień, a „stare” – głównie odwołujący się do „humanizmu socjalistycznego” i od początku stojący na straconych pozycjach były pepeesowiec, przewodniczący i organizator biegu, znakomicie zagrany przez Leona Niemczyka. Bywało wszakże i tak, że „stare” i „nowe” przeplatało



► Krzysztof Pieczyński w roli tow. Września; kadr z filmu *Wielki bieg*

się ze sobą i łączyło w jedność u poszczególnych bohaterów filmu. Na przykład uczestniczący w zawodach zetempowiec i przodownik pracy ze Stalowej Woli Romek Martyniuk (bardzo dobra rola Edwarda Żentary) w chwili słabości modli się do Najświętszej Panienki, aby pomogła mu wytrwać w biegu.

Jerzy Domaradzki sugeruje chyba, że wbrew pozorom – mimo nacisków propagandowych i posłuszeństwa wymuszanego strachem – w rzeczy samej komunizm nie był zbyt mocno zinternalizowany wśród młodych Polaków, którzy stosunkowo często traktowali go instrumentalnie i powierzchownie. Z różnych powodów i w rozmaity sposób czyni tak zarówno Radek Stolar, który po prostu chce żyć, przeżyć i może przy okazji co nieco użyć, jak i Stefan Budny, który dla ratowania własnego ojca gotów jest na czasowe przystosowanie się do tego „obłędu”. Podobnie pozornie ideologicznie „zaczadzona” zetempowska aktywistka, początkowo nader pryncypialna rejestratorka Janka, okazuje się w końcu normalną dziewczyną marzącą o miłości, nawet jeżeli przed pocałunkiem rozmawia ze swoim adoratorem o bazie i nadbudowie i przewadze gospodarowania kolektywistycznego nad indywidualnym.

Wydaje się jednak, że należy w tym względzie zachować daleko idącą ostrożność, gdyż łatwo jest popaść w przesadę. Jeżeli bowiem tak częste w społeczeństwie miałyby być postawy przystosowania i tylko nieliczni byli szczerze przekonani o wyższości systemu komunistycznego nad kapitalistycznym, to nieodparcie musi powracać pytanie, dlaczego w takim razie ten system trwał tak długo. Ale na to pytanie – jak wiadomo – nie ma jednej, prostej i satysfakcjonującej z naukowego punktu widzenia odpowiedzi. ■

prof. dr hab. Jerzy Eisler – historyk, dyrektor Oddziału IPN w Warszawie; zajmuje się dziejami PRL, a także najnowszą historią Francji i historią kina; autor m.in. *Polski rok 1968* (2006), *Polskie miesiące, czyli kryzys(y) w PRL* (2008)

Z prawem WIELOKROTNEGO
przekraczania granicy PRL

Paszport

Jerzy Kochanowski

„Łądy i morza przemierzam, kulę ziemską z otwartym czołem. Polski mam paszport na sercu. Skąd, pytam, skąd go wziąłem? A wziąłem go z dumy i trudu, ze znoju codziennej pracy, ze stali, z żelaza, z węgla. A węgiel to koks, to antracyt”.

Ten „wiersz” pochodzi ze sceny – oczywiście fikcyjnej – uroczystego wręczenia paszportów w znanej komedii Stanisława Barei *Miś* (1980). Cała intryga tego filmu zbudowana jest wokół niezbyt legalnych starań głównego bohatera o wyjazd do Londynu, gdzie zamierza podjąć pieniądze z banku, zanim uczyni to jego była żona. Bareja, złośliwie, ironicznie, ale i trafnie pokazał zarówno nabożny, graniczący wręcz z fetyszymem, peerelowski stosunek do paszportu, jak i gehennę, którą należało przejść, aby go otrzymać.

Nie ulega wątpliwości, że paszport należał – obok mieszkania i samochodu – do najważniejszych, trudnych do spełnienia marzeń obywateli PRL. Nic zresztą dziwnego, jeżeli bowiem do „bratnich” krajów socjalistycznych już od końca lat pięćdziesiątych można było pojechać na stosunkowo łatwą do wyrobienia tzw. wkładkę paszportową do dowodu osobistego, a od początku lat siedemdziesiątych – na sam dowód zaopatrzonej w odpowiedni stempel, to do wyjazdu na mityczny Zachód konieczny był paszport. Dla jego otrzymania obywatele PRL byli w stanie wiele poświęcić. Niektórzy zgadzali się nawet na współpracę ze Służbą Bezpieczeństwa!

W krajach komunistycznych – z wyjątkiem Jugosławii – prowadzono bowiem politykę świadomego izolowa-

nia obywateli od świata zewnętrznego, zwłaszcza od krajów kapitalistycznych. W obozie socjalistycznym – przede wszystkim w jego totalitarnej, stalinowskiej fazie – prawo do paszportu, a tym samym do czasowego nawet wyjazdu, było dobrem starannie racjonowanym, zarezerwowanym dla najbardziej zaufanych i najwierniejszych (choć i ci czasami dezercerowali, jak ppłk Józef Światło, który uciekł w 1953 roku, zdradzając następnie największe tajemnice Polski Bieruta). Od połowy lat pięćdziesiątych istniały już inne, poza wyjazdami służbowymi, możliwości zobaczenia Zachodu, jednak grupa osób mogących wyjeżdżać często i daleko – dyplomatów, artystów, handlowców, sportowców – uważała się za wybrańców losu.

Granice PRL, podobnie zresztą jak i pozostałych krajów socjalistycznych, były najszczelniej zamknięte na przełomie lat czterdziestych i pięćdziesiątych ubiegłego stulecia. Na przykład w 1951 roku z Polski wyjechało na pewien czas (w olbrzymiej większości służbowo) zaledwie 9360 osób, z czego tylko 1980 do państw kapitalistycznych. W 1954 roku prywatnie podróżowało za granicę 1681 oby-

wateli (na Zachód zaledwie 52). Od połowy dekady, wraz z wyraźniejszymi oznakami odwilży i osłabieniem władzy, graniczne furtki otwierały się szerzej, a paszport stawał się dobrem bardziej dostępnym. Pierwsza „paszportowa rewolucja” nadeszła na przełomie 1956/1957 roku. W drugiej połowie 1956 roku wydano czternaście razy więcej paszportów niż w roku poprzednim, a w pierwszych miesiącach następnego roku otrzymanie turystycznego paszportu na Zachód nie stanowiło większego problemu. Jednak w miarę jak krzepła ekipa Władysława Gomułki, kolejki w biurach paszportowych wydłużały się, a liczba odmów rosła. Chociaż po 1956 roku komuniści odeszli od modelu państwa zamkniętego, to jednak nie byli gotowi na wprowadzenie liberalnych praktyk „burżuazyjnych”.

Władze głosiły, że każdy obywatel ma prawo do otrzymania paszportu, by następnie w wygodny dla siebie sposób je interpretować. Przede wszystkim do otrzymania paszportu potrzebne było odpowiednio umotywowane i poświadczone zaproszenie. Do tego ▶



WSZYSTKIE KRAJE ŚWIATA
ВСЕ СТРАНЫ МИРА
TOUS LES PAYS DU MONDE

dochodziła masa innych papierków i zaświadczeń, co często zamieniało starania o paszport w istną drogę przez mękę. Już w 1962 roku opisał ją w (oficjalnej) prasie mieszkaniec Słupska, który na zaproszenie rodziny wybierał się na miesiąc do Paryża. Za paszport należało również słono zapłacić – na początku lat sześćdziesiątych nawet czterokrotność przeciętnej pensji! Nic też dziwnego, że paszport traktowano nieraz jako inwestycję, która powinna się zwrócić dzięki nielegalnemu handlowi lub pracy na czarno.

Władze zastrzegały sobie powody, dla których mogły odmówić paszportu: toczące się wobec wnioskodawcy postępowanie karne, wcześniejsze naruszenie przepisów paszportowych (np. dłuższy niż deklarowany pobyt za granicą), działanie za granicą na szkodę kraju (mogła to być zarówno działalność polityczna, jak i np. nielegalny handel) czy w końcu „inne ważne względy państwowe”. Szczególnie często był stosowany ten ostatni punkt, zarówno wobec osób powiązanych z opozycją, jak i znających różne „tajemnice państwowe” (np. przemysłowe) lub podejrzewanych o zamiar pozostania za granicą (szczególnie trudne były np. odwiedziny u naukowców przebywających na zagranicznych stypendiach czy stażach). Każdy wniosek paszportowy był starannie analizowany. Oprócz tego zawsze istniała

lista osób wykluczonych z możliwości wyjazdu (w różnych okresach od 25 do 40 tys.). Chętniej natomiast dawano paszporty ludziom starsym, chorym lub zniepełniającym, będącym obciążeniem dla państwa. I nie tylko nie obawiano się, że pozostaną za granicą, ale wręcz na to liczono.

Ci, którym – z różnych powodów – odmówiono paszportu, często szukali innych dróg jego uzyskania. Składano odwołania, szukano tzw. dojsć i protekcji (u możliwie wysoko postawionych osób), korumpowano (często skutecznie) pracowników urzędów paszportowych.

Politykę paszportową zliberalizowała ekipa Edwarda Gierka (1970–1980), pragnąca sprawiać wrażenie nowoczesnej i otwartej na świat. Procedury uległy skróceniu, odsetek odmów spadł do poziomu jednocyfrowego. Od początku lat siedemdziesiątych aż do wprowadzenia stanu wojennego istniała również możliwość otrzymania paszportu bez zaproszenia, lecz na podstawie posiadania określonej sumy na koncie dewizowym w państwowym banku. Była to praktyka opłacalna dla władz, gdyż większość wyjeżdżających przywoziła więcej dolarów, funtów, koron i marek, niż wywoziła (a po powrocie najczęściej wpłacała zarobione pieniądze do banku). Jednak w dalszym ciągu indywidualnych wyjazdów na Zachód było dziesięć lub nawet dwadzieścia razy mniej niż podróży do krajów socjalistycznych.

Nagła zmiana przysłała w 1981 roku, wraz z rewolucją Solidarności. I jak ćwierć wieku wcześniej, również teraz słabnąca władza była skłonna w większym stopniu realizować oczekiwania społeczeństwa, w tym wyjazdowe. W 1981 roku wydano o osiemdziesiąt procent paszportów więcej niż w roku poprzednim, wyjazdy na Zachód stanowiły zaś prawie jedną trzecią wszystkich podróży zagranicznych. Po raz pierwszy do krajów kapi-

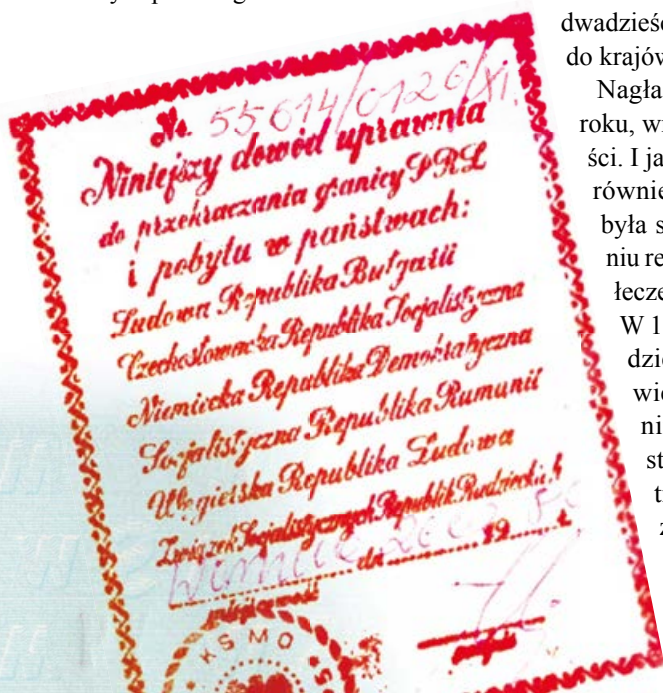
talistycznych pojechało ponad milion Polaków.

Ponowne zamknięcie Polski po stanie wojennym nie trwało długo. Im bardziej w połowie lat osiemdziesiątych pogłębiał się kryzys ekonomiczny i zarazem słabnąca władza szukała konsensusu z bardziej ugodową częścią opozycji, tym łatwiej było dostać paszport i wyjechać. Na skalę masową stosowano różne strategie „przyspieszające” i „omijające”: rozwinął się rynek fikcyjnych zaproszeń, w biurach turystycznych (także państwowych) można było wykupić „wczasy” na campingu we Francji czy Włoszech. W rzeczywistości wyjeżdżający Polacy podejmowali pracę w jakiejś winnicy lub na budowie. Pogranicznicy niespecjalnie też przejmowali się tym, że ktoś spędził we Francji czy RFN nie deklarowany tydzień, lecz na przykład trzy miesiące.

Wysoka bezpośrednio po stanie wojennym liczba odmów szybko spadała i w latach 1987–1988 paszport dostawali już prawie wszyscy. W 1988 roku znowu udało się przekroczyć granicę miliona podróży na Zachód. Ale naprawdę wielka fala wyjazdów nadeszła na początku 1989 roku, kiedy – po raz pierwszy od półwiecza – pozwolono na trzymanie paszportów w domu. Jeżeli w 1988 roku wyjechało niespełna 7 mln Polaków, to w roku 1989 – już ponad 19 mln! Odtąd wyjazdy ograniczał tylko czas, zasobność portfela i zdobycie odpowiedniej wizy (co do początku lat dziewięćdziesiątych wcale nie było takie proste). Dziś paszportu nerwowo szuka się w szufladach jedynie przy okazji jakiejś bardziej egzotycznej podróży. ❀

Choć zjawiska prezentowane w tej rubryce szczęśliwie przeminęły wraz z PRL, nie powinniśmy o nich zapominać. Przeszłość każdy pamięta jednak inaczej. Niech zamieszczane tu teksty staną się dla Czytelników pretekstem do sięgnięcia do szuflad lub pamięci i uzupełnienia naszej wiedzy. Historię można pisać wspólnie!

prof. dr hab. Jerzy Kochanowski – pracownik Zakładu Historii XX Wieku Instytutu Historycznego Uniwersytetu Warszawskiego, autor m.in. *Tylnymi drzwiami. „Czarny rynek” w Polsce 1944–1989* (2010)



Mannlicher na dwa takty

Michał Mackiewicz



Fot. ze zbiorów autora

Karabiny systemu Mannlichera należą do najbardziej rozpoznawalnych w dziejach broni strzeleckiej. Używali ich żołnierze cesarsko-królewskiej armii Austro-Węgier, legionści Piłsudskiego, a potem żołnierze odrodzonego Wojska Polskiego.

► Żołnierze polscy uzbrojeni w karabiny Mannlicher wz. 1895; Rawa Ruska 1919 roku

Druga połowa XIX wieku była epoką doniosłych i niezwykle dynamicznych zmian w dziedzinie uzbrojenia – także strzeleckiego. W 1866 roku w bitwie pod Königgrätz (w Polsce znanej jako bitwa pod Sadową) armia pruska rozbiła Austriaków i sprzymierzone z nimi wojska saksońskie. Zwycięstwo Prusacy zawdzięczali m.in. nowej broni – odcylkowej iglicówce systemu Dreyse. Karabin strzelał amunicją scaloną i mimo że nie zachwycał parametrami balistycznymi, okazał się zdecydowanie prostszy w obsłudze, a co za tym idzie – nieporównanie bardziej szybkostrzelny od karabinów odprzodowych (tzn. ładowanych od wylotu lufy), zasilanych amunicją rozdzielnego ładowania. Sadowa w jednej chwili odesłała do

lamusa historii odprzodówki, inicjując jednocześnie bezprecedensowy wyścig zbrojeń, możliwy dzięki coraz bardziej zaawansowanej technologii przemysłowej. W ciągu dwudziestu kilku lat skonstruowano i wprowadzono do uzbrojenia wiele karabinów, najpierw czarnoprochowych jednostrzałowych, potem powtarzalnych (tzn. wyposażonych w magazynki) i wreszcie strzelających małokalibrową amunicją elaborowaną bezdymnym prochem.

Ferdinand Mannlicher porównywalny jest z takimi geniuszami rusznikarstwa jak Paul Mauser czy John Moses Browning. W drugiej połowie lat siedemdziesiątych XIX wieku, kiedy świat wkraczał w erę broni wielostrzałowej, Mannlicher związał się z największym na świecie koncernem zbrojeniowym

– Österreichische Waffenfabriks-Gesellschaft in Steyr – i rażno zabrał się do pracy. Do 1885 roku przedstawił kilka projektów powtarzalnych karabinów, z których jeden został ostatecznie zaakceptowany i jako wz. 1886 kal. 11 mm przyjęto go do uzbrojenia armii austro-węgierskiej. Dwa rozwiązania konstrukcyjne uczyniły z tego karabinu broń wyjątkową. Mannlicher zastosował przede wszystkim zamek dwóchwytowy, czyli taki, który do przeładowania wymagał dwóch ruchów ręki (dwa



Fot. ze zbiorów Muzeum Wojska Polskiego

▶ Schemat zamka



Dane taktyczno-techniczne karabinu wz. 1895

kaliber	długość	długość lufy	masa	magazynek
8 mm	1273 mm	762 mm	3,78 kg	5-nabojowy

takty), a nie czterech, jak w większości ówczesnych modeli (zamki tłokowe, ślizgowo-obrotowe czterochwytowe), takich jak mauser, gras czy berdan. Wydatnie zwiększyło to szybkostrzelność. Drugą, nie mniej istotną innowacją był pudełkowy magazynek. Wadę ówczesnych karabinów wielostrzałowych stanowiły długie magazynki rurowe, umieszczane zazwyczaj pod lufą, utrudniające ładowanie i powodujące zmianę ciężkości broni wraz z ubywaniem kolejnych naboju (wpływało to negatywnie na celność). Pudełkowy magazynek mannlicherowski ładowa-

ło się błyskawicznie za pomocą blaszanego ładownika mieszczącego pięć naboju, poza tym znajdował się tuż pod zamkiem, a więc w punkcie ciężkości broni, dzięki czemu jego praca nie powodowała kłopotów z celowaniem (niebawem magazynki typu mannlicherowskiego upowszechniły się).

Mimo tych teoretycznych udoskonalień nowy karabin Mannlichera – w tym samym roku, w którym przyjęto go do uzbrojenia – stał się kupą nic niewartego złomu (zdzążono wyprodukować ok. 90 tys. egzemplarzy). Wszystko za sprawą Francuzów, którzy zaadaptowa-

li u siebie rewolucyjnego Lebela wz. 1886. Jego bezapelacyjna wyższość nad wszystkimi innymi dotychczasowymi karabinami polegała na nowej małokalibrowej amunicji (8 mm) elaborowanej prochem bezdymnym. Miał on nieporównywalnie lepsze właściwości od prochu dymnego (czarnego), zwiększył wydatnie prędkość początkową pocisku i zasięg strzału, poza tym nie zanieczyszczał lufy i nie wytwarzał kłębow dymu utrudniających celowanie i ukrycie pozycji strzeleckiej. Wszyscy popieszyli się więc się przezbrajać. Także Austriacy, wprowadzając nowego Mannlichera wz. 1888, dostosowanego do małokalibrowej amunicji 8 mm, ale jeszcze na proch czarny – i wreszcie wz. 1888/90, zasilanego amunicją elaborowaną prochem bezdymnym.

Jak się okazało, nie było to ostatnie słowo konstruktora ze Steyr. Na początku lat dziewięćdziesiątych do uzbrojenia cesarsko-królewskiej armii weszły krótkie karabinki, przeznaczone dla kawalerii. Mannlicher zastosował w tej broni mniejszy, ale znacznie udoskonalony zamek dwutaktowy. Składał się on z dwóch zasadniczych części: tłoka zaporowego z dwoma ryglami oraz trzonu z rączką zamkową, mieszczącego iglicę ze sprężyną. Tłok jednym końcem wchodził do trzonu, przy czym posiadał dwa spiralne wgłębienia odpowiadające dwu identycznym występom na wewnętrznej ścianie trzonu. Pociągnię-



Fot. ze zbiorów autora

▶ Pododdział Luftwaffe uzbrojony w sztucery Mannlicher wz. 1895, Warszawa 1942 roku



► Schemat zamka

cie ręczki zamkowej wymuszało ruch obrotowy tłoka i tym samym wyjście rygli z opór w komorze. Odryglowanie umożliwiało dalszy ruch wsteczny i wyrzucenie pustej łuski.

Zamek ten okazał się tak udany, że zaadaptowano go w ostatnim i najliczniej wyprodukowanym regulaminowym austro-węgierskim karabinie – Mannlicherze wz. 1895. Tę pięcianaobojową broń (wraz z krótkimi karabinkami tego samego wzoru) dostosowano do nowego, aczkolwiek niezbyt udanego, 8-milimetrowego naboju (M.1893 scharfe Patrone) o tępo zakończonym czubku i prędkości początkowej 620 m/s. Karabin miał smukły, elegancki kształt, wykonany był z materiałów najwyższej jakości i odznaczał się stosunkowo lekką wagą; stosowano do niego krótki, nożowy bagnet. Wzór 1895 zdał arcytrudny bojowy egzamin w okopach I wojny światowej, chociaż nie był pozbawiony wad. Doskonale opisano je w jednym z polskich regulaminów okresu dwudziestolecia międzywojennego: „Zbyt mała waga karabinu w stosunku do siły naboju powoduje wielki odrzut szybko męczący strzelca.

► Żołnierz armii austro-węgierskiej uzbrojony w karabin Mannlicher wz. 1895



Fot. ze zbiorów autora

Karabin ten jest przykładem, że wagi broni nie można zmniejszać dowolnie, bez uszczerbku wartości broni. Łuska walcowata przy wyrzucaniu z lufy po wystrzale powoduje częste urywanie pazura wyciągu, gdyż tenże wyciąga ją wprost z lufy, nie wykręcając jej przy pierwszym ruchu zamka zaryglowanego. Zdarzają się oberwania całej ręczki zamkowej, spowodowane niemożnością otworzenia zamka wskutek zanieczyszczenia. Magazynek wymaga koniecznie naboju łódkowanych [czyli umieszczonych w blaszanym ładowniku], inaczej karabin przestaje być bronią powtarzalną. Pocisk zakończony owalnie daje gorszy tor wskutek mniejszej szybkości początkowej”.

Z mannlicherami Polacy zetknęli się jeszcze przed I wojną światową – w paramilitarnych organizacjach strzeleckich. Potem walczyli nimi mieszkańcy Galicji zmobilizowani do armii cesarza Franciszka Józefa oraz większość legionistów. Karabiny i karabinki wz. 1895 były wreszcie najliczniej reprezentowane w uzbrojeniu Wojska Polskiego w początkach jego tworzenia i okresie walk z Ukraińcami o Lwów. Wobec przyjęcia przez polską armię niemieckiego systemu Mausera jako regulaminowego, karabiny i karabinki Mannlicera wycofano z użycia do końca lat dwudziestych. Pozostały natomiast w ograniczonej liczbie na wyposażeniu Policji Państwowej. Niewielką liczbę mannlicherów wykorzystały polskie organizacje podziemne w latach okupacji – dowodzą tego m.in. zachowane zdjęcia z Powstania Warszawskiego. 🇵🇱

Michał Mackiewicz – archeolog, pracownik Działu Historii Wojskowości Muzeum Wojska Polskiego; zajmuje się historią wojen i uzbrojenia oraz archeologią militarną; autor licznych artykułów o tematyce historyczno-wojskowej, współautor książki *Kircholm-Kluszyn, zwycięstwa husarii* (2011)

Orły Kompanii Zamkowej

Tomasz Zawistowski

Oddział reprezentacyjny – składający się z perfekcyjnie znających musztrę żołnierzy, dobranych pod względem charakteru, wzrostu i postury, umundurowanych szczególnie efektownie, przeznaczony do pełnienia warty i funkcji reprezentacyjnych – towarzyszył prezydentom Rzeczypospolitej przez cały okres dwudziestolecia międzywojennego. Nakrycia głowy tych żołnierzy ozdabiała jedyne w swoim rodzaju, specjalnie zaprojektowane orły.

W roku 1918 sformowana została Adiutantura Generalna Naczelnego Wodza, w skład której wchodziły Kompania Przyboczna oraz Szwadron Przyboczny. 11 grudnia 1922 roku, po wybraniu przez Zgromadzenie Narodowe prof. Gabriela Narutowicza na prezydenta RP, Józef Piłsudski przekazał uroczyste Oddział Przyboczny nowemu prezydentowi. Adiutantura Generalna, zwana później Kwaterą Wojskową Prezydenta RP, funkcjonowała u boku dwóch kolejnych prezydentów jako jeden z dwóch – obok Kancelarii Cywilnej – urzędów przybocznych. Oddział Przyboczny kwaterował przy ul. Huzarskiej, przemianowanej później na ul. 29 Listopada, sąsiadując z koszarami 1. Pułku Szwoleżerów. Zadaniem oddziału było pełnienie służby wartowniczej i ochronnej przy prezydencie oraz funkcji reprezentacyjnych podczas uroczystości państwowych. Żołnierze nosili na naramiennikach oznakę wyróżniającą w postaci godła państwowego.

Podczas przewrotu majowego 1926 roku Oddział Przyboczny Prezydenta RP stanął po jego stronie, wskutek czego po zwycięstwie piłsudczyków został rozwiązany. W miejsce Kwatery Wojskowej powołano przy nowej głowie państwa Gabinet Wojskowy

► Orzeł Oddziału Zamkowego z lat trzydziestych

Prezydenta Rzeczypospolitej. Nowy prezydent, prof. Ignacy Mościcki, zmienił miejsce zamieszkania głowy państwa z Belwederu na Zamek Królewski, wobec czego oddział reprezentacyjny wchodzący w skład Gabinetu Wojskowego został nazwany Kompanią Zamkową. Etatowo kompania wystawiana była przez 36. pułk piechoty Legii Akademickiej. Koszary kompanii znajdowały się na Podzamczu, przy ulicy Bugaj, początkowo pod numerem 2, w drewnianych budynkach pozostałych po dywizjonie kozaków kubańskich,

później zaś pod numerem 1, w budynku specjalnie w tym celu stawianym od połowy lat trzydziestych.

W październiku 1928 roku nastąpiła zmiana organizacyjna, wskutek której Kompania Zamkowa wraz z zamkowym plutonem żandarmerii, zamkową kolumną samochodową i zamkową stacją utworzyły Oddział Zamkowy. Szeregowi oddziału otrzymali prawo noszenia oznaki wyróżniającej w postaci monogramu wiązanego „OZ” na naramiennikach (jakkolwiek po dwóch latach powrócono do umieszczania w tym



Fot. ze zbiorów autora

► Defilada Kompanii Przybocznej na dziedzińcu koszarowym przed własnym, nowo otrzymanym sztandarem, 26 kwietnia 1925 roku

miejsu orla państwowego). Stan liczebny oddziału wynosił blisko trzystu szeregowych i oficerów, z czego około dwustu w Kompanii Zamkowej. Oddział Zamkowy pełnił służbę przy Prezydencie RP do września 1939 roku, przy czym pluton żandarmerii zamkowej skupiał się na ochronie głowy państwa, Kompania Zamkowa zaś na ochronie jego siedziby oraz na funkcjach reprezentacyjnych. Żołnierze towarzyszyli prezydentowi również podczas jego częstych wizyt w dworach w Spale i Białowieży.

Orły „wielkości podwójnej”

Umundurowanie żołnierzy pełniących służbę przy Prezydencie RP różniło się od typowego munduru wojskowego pewnymi szczegółami. W listopadzie 1924 roku szef Departamentu Intendencji zatwierdził elementy wyróżniające w opisie umundurowania całego Oddziału Przybocznego. Na tle pozostałych wojskowych żołnierze oddziału wyróżniali się na tyle, że – szczególnie w początkowym okresie – powodowało to zatrzymywanie ich przez żandarmerię. Jedną z istotniejszych różnic był wygląd czapki, która miała mieć „daszek czarny, lakierowany, okucie z białego metalu, kwadrat sztywny”. Usztywnienie czapki odróżniło ją znacznie od noszonych wówczas rogatywek garnizonowych z miękkimi kwaterami. Można przypuszczać, że wprowadzone w 1935 roku dla całego wojska usztywniane rogatywki garnizonowe wzorowane były na czapkach Oddziału Zamkowego.

Co dziwne, do tej pory nikt z mundurologów nie podjął próby opisan

nie między wyglądem regulaminowego ubioru szeregowych Wojska Polskiego a mundurem oddziałów prezydenckich. Sprawa ta, wobec niekompletności zachowanych rozkazów, nie jest łatwa do ostatecznego opisan

nia i jak dotąd została jedynie fragmentarycznie poruszona w monografii Szwadronu Przybocznego. Wiadomo, że w oddziale używano opisanych powyżej nietypowych czapek z usztywnionymi kwaterami, jak również butów z cholewami, skórzanych pasków podtrzymujących ładownice, białych rękawiczek i innych elementów specyficznych w stosunku do ówczesnie obowiązującego regulaminu mundurowego. Pozostaje mieć nadzieję, że z czasem ubiór oddziału – jako jednostki o charakterze zdecydowanie wyjątkowym – doczeka się swej monografii.

Najistotniejszym bodaj elementem charakterystycznym dla umundurowania Oddziału Przybocznego był orzeł, zdecydowanie większy od ogólnie przyjętych w armii. Wszedł do użycia na początku 1925 roku, w pierwotnej wersji najprawdopodobniej malowany na hełmach. Nie znamy rozkazu wprowadzającego go, niemniej zachowane zdjęcie z przeglądu warty belwederskiej przez prezydenta Stanisława Wojciechowskiego 29 listopada 1924 roku dokumentuje nieobecność orłów na hełmach w tamtej chwili. Najwcześniejsze znane jak dotąd zdjęcie pokazujące duże orły na hełmach oficerów i szeregowych kompanii pochodzi z uroczystości wręczenia sztandaru Oddziałowi Przybocznemu, która odbyła się 26 kwietnia 1925 roku (patrz powyżej). O większym orle nie ►



► Szeregowy Oddziału Zamkowego na posterunku przed Zamkiem Królewskim, rok 1934



Fot. NAC

wspomina też cytowane wyżej pismo szefa Departamentu Intendentury, wprowadzające usztywnione czapki. Co ciekawe, zdjęcia z uroczystości wręczenia sztandaru dowodzą, że w Szwadronie Przybocznym stosowano wówczas standardowe, miękkie czapki garnizonowe z typowymi orłami wz. 19, a nie regulaminowe już w tym momencie czapki usztywnione.

Zwyczaj stosowania odmiennych mundurów w oddziałach prezydenckich przetrwał przewrót majowy i kontynuowany był po 1926 roku w Kompanii Zamkowej. Niestety, nie zachowały się rozkazy określające wygląd umundurowania żołnierzy kompanii. Wskutek tego nie wiemy, w którym dokładnie momencie pojawił się w ostatecznej formie element najbardziej efektowny i charakterystyczny: duży, metalowy, matowo srebrzony orzeł przeznaczony do noszenia na sztywnych rogatywkach garnizonowych i na hełmach typu francuskiego.

Prezentowany na ilustracji obok orzeł był noszony przez żołnierzy Kompanii Zamkowej. Odbiega znacząco od ówczesnych godeł ogólnowojskowych tak formą, jak i wymiarami. W porównaniu z używanym powszechnie regulaminowym orłem wz. 19 jest znacznie masywniejszej budowy; nie ma też – co tak charakterystyczne w orłach wz. 19 – wydzielonych czterech najdłuższych piór w skrzydłach. Najbardziej rzucającą się w oczy różnicą są jego rozmiary, ma on bowiem aż 89 mm wysokości. Produkowany był w dwóch wersjach: wariant ze śrubą gwintowaną umieszczoną na wysokości brzucha przeznaczony był do noszenia na czapkach, a wariant z podwójnym zaczepem – do mocowania na hełmach typu francuskiego.

Gdy w roku 1930 nakazano usunięcie orłów z hełmów wszystkich

żołnierzy WP, stosowny rozkaz zatwierdzał „zatrzymanie przez Oddział Zamkowy Prezydenta Rzeczypospolitej orłów na hełmach stalowych w wymiarach dotychczas używanych (wielkość podwójna – grubo srebrzone)”. Usunięcie orłów z wojskowych hełmów było spowodowane względami maskowania żołnierza w polu, pozostawienie zaś dużych, srebrzonych godeł w oddziale nieprzeznaczonym do służby frontowej, lecz pełniącym funkcje reprezentacyjne, było jak najbardziej zrozumiałe.



► Szeregowy Oddziału Zamkowego w charakterystycznej, usztywnionej czapce garnizonowej; koniec lat trzydziestych



Fot. ze zbiorów autora

Stwierdzenia o „wielkości podwójnej” nie można – rzecz jasna – w tym przypadku traktować dosłownie. Rozkaz z 1930 roku pozostaje na razie jedynym, w którym mowa jest o specjalnym wzorze orła oddziału.

Możemy stwierdzić, że charakterystyczne, duże orły noszone były na hełmach Kompanii Przybocznej w latach 1925–1926 i na hełmach Kompanii Zamkowej w latach 1926–1939. Z pewnością noszono je również na podwyższonych czapkach w latach trzydziestych podczas służby; poza służbą w użyciu były miękkie rogatywki ogólnowojskowe z orłami wz. 19, zaś po roku 1937 – rogatywki polowe. Podwyższone czapki nosili podczas służby tak szeregowi, jak i oficerowie.

Pokój i wojna

Oddziały przyboczne, jakkolwiek przeznaczone przede wszystkim do pełnienia funkcji reprezentacyjnych i ochronnych, miały w swej historii kilka momentów bojowych. Podczas wojny 1920 roku Oddział Przyboczny brał udział zarówno w powstrzymaniu armii Budionnego, jak i w sierpniowej kontrofensywie znad Wieprza. Z kolei w czasie zamachu majowego 1926 roku wypełniał swą funkcję, osłaniając prezydenta RP i rząd. Co prawda, po wypadkach majowych oddział został rozwiązany, niemniej rozwiązano go z honorami, uznając wypełnienie przezeń zadania. Mówiono, że Piłsudski, otrzymawszy na pytanie o postawę oddziału w czasie walk informację o niezłomnym wytrwaniu przy prezydencie, miał powiedzieć: „No to dobrze, bo gdyby opuścili prezydenta, rozkażalbym ich wszystkich [oficerów] oddać pod sąd wojenny”.

W czasie kampanii wrześniowej pewna liczba żołnierzy Oddziału Zamkowego przekroczyła granicę rumuńską wraz z prezydentem Mościckim. Pozostali brali udział w obronie stolicy aż do chwili jej kapitulacji. 🇵🇱

Tomasz Zawistowski – autor trzech tomów monografii polskiego orła wojskowego, urzędniczego i szkolnego *Polskie orły do czapek w latach 1917–1945*

Pawiak – trzy szanse na sto

Tomasz Stańczyk

**„Porzućcie wszelką nadzieję wy, którzy tu wchodzicie”.
Taki napis, zaczerpnięty z Dantego, mógłby widnieć
w latach okupacji niemieckiej nad bramą warszawskiego
więzienia przy ulicy Dzielnej, zwanego Pawiakiem.
97 proc. więźniów zostało rozstrzelanych lub
wysłanych do obozów koncentracyjnych.**

Gdy Fryderyk Skarbek, urzędnik komisji spraw wewnętrznych Królestwa Polskiego, przywoził ze swych podróży po Europie pomysły zreformowania więziennictwa, nie mógł przypuszczać, że stanie się współtwórcą jednego z najbardziej ponurych miejsc na ziemiach polskich. Kamień węgielny pod budowę więzienia śledczego w Warszawie położono w 1830 roku. Prace budowlane, według projektu Henryka Marconiego, zakończono pięć lat później. Był to duży, zwarty czterokondygnacyjny gmach o liczącej ponad 150 metrów fasadzie, położony między ulicami Dzielną i Pawią. Od nazwy tej ostatniej wzięła się nazwa więzienia – Pawiak.

W cieniu Cytadeli Warszawskiej

Więzieniem politycznym stał się Pawiak po powstaniu styczniowym. I choć to Cytadela Warszawska znacznie mocniej zapisała się w pamięci jako miejsce uwięzienia i kaźni bojowników o niepodległość – a także o socjalizm – to również na Pawiaku więziony był Romuald Traugutt i to na Pawiaku powstał w 1886 roku *Mazur kajdaniarski* Ludwika Waryńskiego. Niemal sto lat przed powstaniem *Murów* Jacka Kaczmarskiego – ze słowami „wyrwij murom zęby krat” – Waryński pisał przy ulicy Pawiej: „A gdy tańca czas nadejdzie, nasze kazamaty/ nam wybiją takt mazura/ łańcuchem o kraty./ Taki będzie silny, dziarski./ że pękną ogniwa,/ a nasz mazur kajdaniarski/ pół Polski zaśpiewa”.

W czasie rewolucji 1905–1907 roku, a właściwie narodowej rewolty, więziono na Pawiaku bojowców Polskiej Partii Socjalistycznej, między innymi Walerego Sławka, przyszłego premiera RP, oraz Feliksa Kona z PPS-Lewicy, który latem 1920 roku będzie czekał na zdobycie Warszawy przez bolszewików, by zainstalować się w niej jako komisarz do spraw oświaty w komunistycznym rządzie Polski.

Jeśli cytadela miała ponurą legendę miejsca straceń, to Pawiak kojarzył się z czynem ryzykanckim i śmiałym. W kwietniu 1906 roku grupa bojowców PPS pod dowództwem Jana Gorzechowskiego uwolniła fortelem dziesięciu więźniów politycznych, którym groziła kara śmierci. Władze Pawiaka zostały telefonicznie powiadomione, rzekomo przez biuro warszawskiego oberpolicmajstra, że po więźniów zjawi się baron Budberg, by przewieźć ich do cytadeli. W roli barona wystąpił Gorzechowski, przebrany w mundur oficera żandarmerii. W ćwierć wieku później na ekrany wszedł film *Dziesięciu z Pawiaka* Ryszarda Ordyńskiego, upamiętniający tę słynną akcję.

Po 1918 roku Pawiak nadal pełnił rolę więzienia politycznego dla komunistów. Jednemu z nich, Mirosławowi Zdziarskiemu, udało

➤ Drzewo Pawiackie to brązowa kopia rosnącego tu dawniej wiązu, na którym rodziny więźniów Pawiaka umieszczały tabliczki z nazwiskami zamordowanych bliskich

się zbiec. Opisał to w książce *Moje ucieczki*, opublikowanej w Moskwie, a potem w PRL. Nawiasem mówiąc, z więzienia NKWD, do którego trafił w 1937 roku, już nigdy nie wyszedł.

Wieszal bez wyroku

Ten, kto trafił do celi na Pawiaku podczas okupacji niemieckiej, miał statystycznie 3 proc. szans, by wyjść na wolność. Z około 100 tysięcy więźniów Pawiaka rozstrzelano bowiem 37 tysięcy. Do niemieckich obozów koncentracyjnych wywiezionych zostało zaś 60 tysięcy. Trudno oszacować, ilu z nich przeżyło.

Od wiosny 1940 do lata 1944 roku więzienie przy ulicy Dzielnej znajdowało się w gestii Policji Bezpieczeństwa i Służby Bezpieczeństwa dystryktu warszawskiego. Ekipe polskich strażników więzienia zmniejszano – część z nich trafiła do Auschwitz – aż wreszcie całkiem usunięto. Na ich miejsce przyszli esesmani. Najokrutniejszym z nich był Franz Bürkl, zastępca komendanta więzienia, wieszający bez wyroku więźniów w celach. W 1943 roku padł ofiarą udanego zamachu ze strony Armii Krajowej. Więźniowie zapamiętali jednak także wachmajstra Möllera, który zachowywał się bardziej niż przyzwoicie. Ich zeznania spowodowały, że po wojnie został skazany tylko na dwa lata więzienia – za przynależność do SS.

Leon Wanat, aresztowany w 1940 roku, wspominał: „Przez owe długie cztery lata widziałem tysiące więźniów pokrytych ranami, skute, skatowane śmiertelnie ofiary, rozwścieczonych zbirów depczących i znieważających kobiety, blade, udręczone twarze skazańców prowadzonych na śmierć, szubienice z wiszącymi jeszcze ofiarami” (*Za murami Pawiaka*, jedno z podstawowych opracowań dotyczących tego więzienia).

► Zrekonstruowana cela na Pawiaku



► Gmach Pawiaka w okresie międzywojennym

Fot. NAC

Torturowani, rozstrzeliwani

Z Pawiaka wożono więźniów na przesłuchania do siedziby gestapo w alei Szucha, skąd wracali pobici, storturowani. Doktor Zygmunt Śliwicki, lekarz więzienny i zarazem więzień, na 178 wypadków śmieci mężczyzn 160 przypisywał skutkom pobicia podczas przesłuchań. Na 23 przypadki śmierci kobiet – 15 nastąpiło z tego samego powodu.

Polscy lekarze więzienni ratowali życie pobitych, choć mieli świadomość, że tym samym skazują ich na dalsze przesłuchania i tortury. Niejednokrotnie, przynajmniej na jakiś czas, zwracając uwagę na ciężki stan zdrowia zmaltretowanych więźniów, ale i pod pozorem wynajdowanych chorób, udawało się wybronić więźniów przed przewiezieniem na przesłuchania.

Na polecenie więziennej komórki konspiracyjnej ZWZ/AK i Delegatury Rządu lekarze zarażali więźniów tyfusem, by ci mogli zostać przewiezieni do szpitala zakaźnego, skąd łatwiej było uciec. Tak wydostał się z Pawiaka grafik Stanisław Miedza-Tomaszewski, żołnierz AK dokumentujący zbrodnie niemieckie.

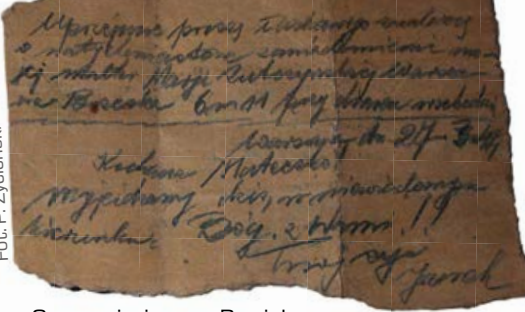
Historia Pawiaka wiąże się nierozdzielnie z lasem w Palmirach, gdzie rozstrzeliwano więźniów. Wśród nich znaleźli się m.in. były marszałek sejmu i działacz ruchu ludowego



Fot. P. Życieński

Maciej Rataj oraz olimpijczyk Janusz Kusociński. Osadzonych na Pawiaku rozstrzelano także w ruinach getta – więzienie znajdowało się w jego centrum.

Fot. P. Życieński



► Gryps więzienny z Pawiaka

Z Pawiaka do Auschwitz trafił działacz socjalistyczny Stanisław Dubois i tam zmarł. Na warszawskiej ulicy w zbiorowej egzekucji rozstrzelano prof. Stefana Bryłę, autora konstrukcji pierwszego stołecznego wysokościowca „Prudential”. W celi Pawiaka zmarł z powodu pobicia w śledztwie i wycieńczenia Jan Piekalkiewicz, delegat rządu na kraj.

Historia Pawiaka odnotowuje kilkanaście udanych ucieczek z więzienia. W marcu 1943 roku grupa szturmowa Szarych Szeregów odbiła w akcji pod Arsenałem Jana Bytnara „Rudego”, jednego ze swoich dowódców. Bytnara i innych przewożonych z nim więźniów uwolniono z ciężarówki jadącej z siedziby gestapo w alei Szucha.

30 lipca 1944 roku wyjechał z Warszawy ostatni transport więźniów Pawiaka. 1800 mężczyzn i kobiet wywieziono do obozów Gross-Rosen i Ravensbrück. Pozostałych więźniów, poza kilkoma, rozstrzelano 13 sierpnia w ruinach getta. Prawdopodobnie wówczas zginął Antoni Kocjan, wybitny konstruktor szybowców. Pięć dni później zabite zostały Irena Anioł, kuzynka Marii Skłodowskiej-Curie, i będąca w siódmym miesiącu ciąży Halina Tulińska. 21 sierpnia 1944 roku niemieccy żołnierze wysadzili Pawiak w powietrze.

Ocalcie od zapomnienia!

Teren Pawiaka długo był rumowiskiem. W 1959 roku pisarka Pola Gojawiczyńska, była więźniarka „Serbii” – kobiecego oddziału Pawiaka, któremu poświęciła paradokumentalną powieść *Krata* – upomniała się o upamiętnienie więzienia. W artykule *A Pawiak?*, opublikowanym w „Życiu Warszawy”, alarmowała: „Podczas gdy obmyślano szerokie – międzynarodowe i krajowe – projekty uczczenia wielu miejsc, warszawski Pawiak został zapomniany. To stare więzienie [...] zostało upamiętnione osobliwą niepamięcią; odgruzowaniem terenu pod nową zabudowę”.

Istniała groźba, że relikty Pawiaka całkiem znikną. Na placu po więzieniu miało powstać boisko. Zapobiegły temu energiczne starania byłych więźniów: „Na lekkim wznieśieniu w oparciu o kratę celi stworzono tymczasowy pomnik-pamiętkę. To dawni więźniowie z pomocą robotników i znanego inżyniera architekta warszawskiego uczcili to miejsce, nim miało ulec zagładzie”. Po więzieniu pozostał tylko filar bramy wjazdowej i część przyziemia, które wykorzystano, by zrekonstruować korytarz więzienny i cele. Teren, na którym znajdowało się więzienie, otrzymał architektoniczną oprawę autorstwa prof. Romualda Gutta i Mieczysława Mołdawy. W 1965 roku otwarto Muzeum Więzienia Pawiak. Był to oddział Muzeum Historii Ruchu Rewolucyjnego. Na pierw-

szej ekspozycji niedaleko zdjęcia Pawła Findera, sekretarza Polskiej Partii Robotniczej rozstrzelanego w ruinach getta, znalazło się także zdjęcie gen. Stefana Grota-Rowe-

ckiego. To, że nie zabrakło miejsca dla dowódcy AK, najpewniej wiązało się z prowadzoną przez część działaczy PZPR, tak zwanych „partyzantów”, polityką zjednywania sobie byłych żołnierzy Armii Krajowej.

W muzealnych gablotach można zobaczyć poruszające pamiątki po więźniach Pawiaka: medaliki odbierane idącym na egzekucję, a przechowane przez więziennego pisarza; słuczzone okulary Heleny Natalii Emich wydobyte podczas ekshumacji w Palmirach; różańce z chleba i włosia wykonywane przez więźniów.

Elementem miejsca pamięci, jakim stał się teren Pawiaka, był więz rosnący przy ul. Dzielnej przed więzieniem. Rodziny ofiar umieszczały na jego pniu tabliczki upamiętniające zamordowanych. Z czasem Drzewo Pawiackie uschło. Wykonano jego wierną kopię z brązu, która stanęła na jego miejscu w 2005 roku.

Ostatnio o Pawiaku przypomnieli telewizyjny serial *Czas honoru*. Jedną z jego bohaterek trafia na „Serbię”. Udaje się jej stamtąd zbiec. Autorzy scenariusza mogli wzorować się na przypadku ucieczki trzech kobiet z Pawiaka w styczniu 1942 roku. 📖

Tomasz Stańczyk – dziennikarz zajmujący się tematyką historyczną, głównie dziejami Polski w XX wieku

► Zrekonstruowany korytarz więzienny



Fot. P. Życieński

Historia, która ma twarz

Karolina Wichowska

Dla jednych to niemal egzotyczna podróż w nieznanne tereny, dla innych – być może jedyna w życiu okazja do odwiedzenia grobu dziadka lub wujka. Objazd historyczny po Białorusi i Rosji to główna nagroda dla młodych współautorów albumu *Sprzączki i guziki z orzelkiem ze rdzy* prezentującego sylwetki bohaterów pomordowanych na Wschodzie.

Świt zastaje nas w okolicach Mińska. Za nami całonocna podróż z Warszawy. W lesie, który przecina obwodnica białoruskiej stolicy, tuż przy drodze, uważniejszy obserwator może dostrzec drewniane krzyże, katolickie i prawosławne. Głębiej – ikony napisane na kamieniach. Drewniana tablica informuje, że tu spoczywają ofiary represji politycznych z lat 1937–1941. Ale ani tablicy, ani krzyży nie zainstalowały władze Białorusi – zrobili to sami mieszkańcy okolic po wykopaliskach z 1988 roku.



Kuropaty: zapomniane miejsce zbrodni

Ile ofiar spoczywa na uroczysku w Kuropatach? Szacunki historyków mówią nawet o 250 tysiącach osób. Niemal na pewno są wśród nich Polacy.

– Władze Białorusi utrzymują, że na terenie ich państwa nie został zamordowany żaden Polak. Ale liczba polskich przedmiotów znaleziona podczas ekshumacji wyklucza możliwość, żeby były to rzeczy miejscowej ludności, na przykład nadesłane z Polski. Dlatego możemy być niemal pewni, że tutaj mordowano także Polaków – przekonuje Kamila Sachnowska z Biura Edukacji Publicznej IPN.

Oprócz krzyży i ikon w Kuropatach jest jeszcze jedna pamiątka: tak zwana ławeczka Clintona. Prezydent USA podarował ją w imieniu narodu amerykańskiego w czasie wizyty w 1994 roku.

▶ Drewniane krzyże na uroczysku w Kuropatach upamiętniają ofiary stalinowskiego terroru

– Mimo tego wydarzenia media białoruskie milczały o tym miejscu. Pamiętam, bo pracowałem na Białorusi w latach 1994–1996, a o Kuropatach dowiedziałem się dopiero w 1998 roku z dokumentów – wspomina o. Edward Kryściak, uczestnik objazdu, historyk z krakowskiego liceum ojców pijarów.

– Przerażające, że to miejsce masowej zbrodni jest tak całkiem zapomniane. Dobrze, że znalazły się osoby, które z własnej inicjatywy postawiły tu krzyże, i że Polacy przyjeżdżają – mówi Karolina Kubowicz, uczennica technikum ekonomicznego w Sanoku. – Obok tego cmentarzyska przebiegają dwie drogi, toczy się normalne życie. Takie sąsiedztwo jest dla mnie wstrząsające – dodaje Izabela Turbańska, nauczycielka historii z Wrocławia. Przyznaje, że o zbrodni w Kuropatach słyszy po raz pierwszy.

▶ Koło cmentarzyska w Kuropatach toczy się normalne życie

Fot. K. Wisłocki



► Wizyta na lotnisku Siewiernyj wywołała emocje

Smoleńsk: wracają wspomnienia

Emocje narastają kolejnego dnia w Smoleńsku. Odwiedzamy lotnisko Siewiernyj – niemal dokładnie dwa i pół roku od katastrofy, w której zginął prezydent Lech Kaczyński i 95 innych pasażerów samolotu udających się na obchody siedemdziesiątej rocznicy zbrodni katyńskiej, w tym prezes IPN Janusz Kurtyka.

Agnieszka Burzyńska, nauczycielka z Zespołu Szkół Samochodowo-Budowlanych w Częstochowie, na miejscu katastrofy jest już po raz drugi. Poprzednio była tu pół roku po tragedii, także podczas objazdu edukacyjnego z IPN. – Wtedy człowiek miał świadomość, że katastrofa dopiero co się wydarzyła, że być może gdzieś tu jeszcze leżą szczątki. Dziś to miejsce odbieram znacznie spokojniej – mówi.

Renacie Holaczuk, nauczycielce języka polskiego z Włodawy, trudno powstrzymać łzy, gdy wspomina 10 kwietnia 2010 roku. – Byłam wtedy w ósmym miesiącu ciąży. Wszyscy płakaliśmy, cała rodzina. Znajomi, którzy pracowali w kancelarii prezydenta, mieli lecieć na uroczystość, ale ostatecznie ktoś inny polecił w ich miejsce. Przyszli do nas na kolację i dzwonili do swoich kolegów z kancelarii. Pamiętam tę ulgę, gdy okazało się, że ktoś po drugiej stronie odebrał telefon – wspomina.

Klaudia Łakomska z Legnicy w dniu katastrofy miała 12 lat. Niewiele do niej wtedy docierało, nie rozumiała znaczenia tragedii. – Długo nie chciałam dopuścić do siebie myśli, że przyjadę w to miejsce, to było bardzo trudne dla mnie. Kiedy tutaj jestem, ciśnię mi się przed oczy widok spadającego samolotu. Straszne to – wyznaje gimnazjalistka.

Agnieszka Przygoda, maturzystka z I LO w Nakle nad Notecią, jest pozytywnie zaskoczona liczbą zniczy i kwiatów w miejscu katastrofy. Jeremi Dobrzański z drugiej klasy liceum im. Stefana Żeromskiego

Fot. K. Wisłocki



► Radzieckie odznaczenia Smoleńska; komunistyczne symbole wciąż są obecne w przestrzeni publicznej

w Jeleniej Górze docenia, że nie widać śladów agitacji politycznej: – Są tu po prostu pamiątki, nikt nie obraża tego miejsca – ocenia.

Rosyjskie miasta: relikty przeszłości

W przerwie między pobytem na lotnisku a wyjazdem na Polski Cmentarz Wojenny w Katyniu zwiedzamy centrum Smoleńska. Główny punkt miasta to plac defilad z pomnikiem Lenina. Część młodzieży nie jest w stanie zrozumieć, dlaczego Rosjanie nie usunęli śladów zbrodniczego reżimu. Pani Antonina, młoda Polka mieszkająca w Smoleńsku, która nas oprowadza po mieście, tłumaczy, że to jest część ich historii. Podobnie w kolejnych dniach wypowiedzą się przewodniczki po Moskwie i Twerze. Oprowadzająca nas po tym ostatnim mieście pani Lena przekonuje, że nie warto zmieniać nazw ulic po raz kolejny, skoro już dostały „solidnych patronów”, takich jak Lenin. Pani Romualda, która oprowadza nas po stolicy Rosji, dodaje, że skoro bolszewicy burzyli pomniki carskie, a po upadku ZSRR tego żałowano, to teraz nie warto burzyć pomników radzieckich. Pokazuje nam nie tylko słynne mauzoleum Lenina, ale też informuje, że pod murem Kremla są pochowani Stalin, Dzierżyński i – jak się wyraziła – „inni wybitni” ►

działacze naszego rządu”. Zapytana, czy oprócz pamiątkowego kamienia koło więzienia na Łubiance jest w Moskwie jeszcze jakieś upamiętnienie ofiar totalitaryzmu, odpowiada, że nie, ale za to osoby represjonowane, takie jak ona (ojciec został wywieziony do Kazachstanu) mają zapewnione liczne zniżki (na mieszkanie i przejazdy) oraz dofinansowanie do leków...

W Twerze także jest tylko jedno upamiętnienie ofiar zbrodni: pomnik Pamięci Ofiar Represji (bez precyzowania, o jakie represje chodzi). Pani Lena mówi, że zobaczymy go jedynie przez szyby autokaru, bo nigdzie w pobliżu nie da się zaparkować. Mimo zapewnień przewodniczki, że nie warto zatrzymywać się przy dawnej siedzibie NKWD, nalegamy i stawiamy przy ogrodzeniu znicze ku pamięci pomordowanych tam polskich oficerów pochowanych w Miednoje. Dziś w budynku mieści się Akademia Medyczna. Oczywiście nie ma mowy o żadnej tabliczce informacyjnej, za to naprzeciwko stoi pomnik Michaiła Kalinina...

Adam Krzepakowski, pierwszoklasista z Liceum Świętej Jadwigi Królowej z Kielc, uważa, że niechęć do usuwania pomników Lenina i innych komunistów to przejaw mentalności Rosjan. – Oni nie znają innego systemu i myślę, że wciąż jeszcze się boją – ocenia. Jego kolega z klasy, Andrzej Szulc, uważa, że pomniki komunistów to coś, co pozwala Rosjanom nadal tworzyć wspólnotę. – Gdyby zburzyli te pomniki, nie mieliby do czego się odwołać. My w Polsce mamy okres międzywojenny, kiedy panowała demokracja, a u nich komunizm trwał o dwadzieścia lat dłużej – i nastał bezpośrednio po rządach carskich – przekonuje.

– Nie mogliby się jednoczyć wokół pamięci o ofiarach komunizmu?

– To inna kultura, inne państwo... chyba nie – zastanawia się. Adam dodaje, że należałoby zacząć od upamiętnienia ofiar, a potem dopiero pomyśleć o burzeniu pomników oprawców.

W Moskwie można zobaczyć nie tylko pomniki z czasów radzieckich. W sklepach i na straganach aż się roi od znaczków, kubków, czapek i matrioszek z czerwonymi gwiazdami oraz sierpem i młotem. A w okolicach pl. Czerwonego można sobie zrobić zdjęcie z sobowtórem Józefa Stalina.

– Czerwone gwiazdy mieli na czapkach oficerowie NKWD, którzy mordowali polskich oficerów. Każdy powinien się zastanowić, czy wypada kupować gadżety z takimi symbolami – mówi Anna Brojer z Biura Edukacji Publicznej IPN.

Andrzej Szulc nie rozważał zakupu pamiątki z czerwoną gwiazdą czy sierpem i młotem. Nie jest jednak specjalnie oburzony ich dostępnością. – To tylko taki chwyt marketingowy, bardziej dla śmiechu niż na serio – ocenia. Podobnie uważa pani Krystyna, nauczycielka historii i WOS-u z Pomorza: – To taki rosyjski folklor. Mogę kręcić na to nosem, ale to ich rosyjska, wewnętrzna sprawa – rozkłada ręce nauczycielka. Inaczej sytuację ocenia drugoklasista z I LO w Koszalinie, Michał Sikora: – Nie rozumiem tego, że Rosjanie wciąż

kultywują pamięć o zbrodniarzach komunistycznych, którzy zamordowali przecież także bardzo wielu swoich rodaków. Świadczy to albo o bardzo małej świadomości historycznej, albo o olbrzymiej znieczulicy na cudze cierpienie. Nie przekonuje mnie też tłumaczenie przewodniczki z Tweru, jakoby nie warto było zmieniać nazw ulic. Przeciwnie – pozostałości totalitaryzmu należy usuwać z przestrzeni publicznej. Pozostawianie ich powoduje wracanie takich zjawisk i w przyszłości może się skończyć tragedią – uważa licealista.

Relikty komunizmu w Rosji to nie tylko totalitarne symbole. To także kopące, rozklekotane trolejbusy na ulicach, nie zawsze uprzejma obsługa w sklepach albo hotele pamiętające czasy Breżniewa, a może nawet Chruszczowa. – Żeby zobaczyć czasy ich świetności, trzeba by się cofnąć z pięćdziesiąt lat wstecz – śmieje się Michał Sikora. Jego kolegę z klasy, Piotra Zarzyckiego, zaskoczył wygląd Tweru: – Kiedyś to było ulubione miasto carycy Katarzyny, dziś – szara miejscowość pełna nieczynnych fabryk z czasów komunizmu – podsumowuje. Nawet jedna z nauczycielek była zaskoczona, że ekspedientka odmówiła sprzedaży towaru tylko dlatego, że nie miała jak wydać reszty. – To wszystko jednak nie jest najważniejsze. Dla mnie liczy się przede wszystkim to, że mogliśmy być na grobach naszych oficerów – mówi polonistka Renata Holaczuk.

Katyń: „Przyjechałem z misją”

Rok temu głównym celem wyprawy był Polski Cmentarz Wojenny w Charkowie, dwa lata wcześniej – w Katyniu. Tym razem pielgrzymujemy do Miednoje, dwa dni wcześniej jednak odwiedzamy także Katyń. Violetta Hejza, nauczycielka historii i łaciny z Nakła nad Notecią, jest tu już po raz drugi. Na płycie za ołtarzem wśród tysięcy nazwisk szuka jednego: Kazimierza Wegenke. – To mój krewny, sędzia z Poznania, miał 35 lat. Nie zdążył założyć rodziny – opo-



► W Katyniu uczestnicy objazdu upamiętnili swoich bliskich

wiada. Z torebki wyjmuję zafoliowane zdjęcie Kazimierza i sztuczne, biało-czerwone kwiaty. – Chcę to zamocować za tabliczką epitafijną i upamiętnić go w ten sposób, po to tu przyjechałam – podkreśla. Dodaje, że to właśnie dzięki konkursowi i podróży sprzed dwóch lat postać krewnego stała się jej bliższa. Kazimierz Wegenke był bohaterem konkursowej pracy uczniów pani Violetty sprzed dwóch lat. Tym razem w Katyniu szukają nazwiska bohatera tegorocznego opracowania – Stanisława Derczyńskiego. Nazwisk osób ze swojego regionu szukała też Anna Maciąg, drugoklasistka z I LO w Rzeszowie. – Znalazłam kilka tabliczek. Niewiele o tych osobach wiem, ale jak wrócę, na pewno będę drążyć – zapewnia. Ania jest w Katyniu po raz pierwszy. Podobnie jak Katarzyna Pasieka, maturzystka z Nakła nad Notecią: – Wyobrażałam sobie ten las jako dzikie miejsce, takie jak w Kuropatach; jestem pozytywnie zaskoczona sposobem upamiętnienia ofiar – mówi.

Po raz pierwszy w Katyniu jest także Arkadiusz Siwko, pierwszoklasista z I LO w Jeleniej Górze. – Tak mniej więcej wyobrażałem sobie to miejsce. Potwierdza się to, co słyszałem od paru osób: że ten las jest specyficzny, bardzo cichy. Czuję się, że doszło tu do czegoś strasznego – opisuje. Arkowi udało się odnaleźć tabliczkę z nazwiskiem Mieczysława Tytusa Cabanowskiego, porucznika II Pułku Ułanów Grochowskich. To stryj znajomej, Agnieszki Stasiwicz. – Właśnie wysyłam SMS do pani Agnieszki, żeby ją o tym poinformować – mówi Arek i dodaje, że nikt z rodziny Cabanowskiego nie był jeszcze na jego grobie. – Dlatego razem z koleżanką i kolegami przyjechaliśmy tu z misją – obiecaliśmy przywieźć jego rodzinie ziemię z Katynia, czuję, że ciąży na nas wielka odpowiedzialność – podkreśla.

Miednoje: odwiedzić grób dziadka

Nie mniejsze emocje niż Katyń wyzwala Miednoje – główny cel naszej podróży. Paweł Smentek, tegoroczny absolwent I LO im. Bolesława Krzywoustego w Nakle nad Notecią, przyjechał odwiedzić grób swojego pradziadka, Kazimierza Smentka. Pracę o nim napisał w ubiegłorocznym konkursie. W tym roku specjalnie wystartował ponownie (napisał pracę o zamordowanym w Katyniu kontradmirałe Ksawerym Czernickim), żeby móc przyjechać do Miednoje. Jest pierwszą osobą w rodzinie, która odwiedza grób Kazimierza Smentka. Ma ze sobą dwa słoiczki. Zabierze w nich do domu ziemię z Miednoje dla dwóch synów pradziadka (braci swojego nieżyjącego dziadka). – Mniej więcej w tym samym czasie, kiedy Sowietci zaczęli tutaj mordować polskich oficerów, rodzina pradziadka – prababcia i jej trzej synowie, w tym mój dziadek – zostali wywiezieni do Kazachstanu. Na szczęście udało im się wrócić po kilku latach. Tata mówił, że dziadek nigdy nie chciał wspominać tamtego okresu ani mówić o zbrodni katyńskiej. A kiedy już podejmował ten temat, bardzo źle to znosił psychicznie – opowiada Paweł.

Fot. K. Wisłocki



► Msza św. na Polskim Cmentarzu Wojennym w Miednoje

Jeremi Dobrzański przyjechał na grób Antoniego Jędrzejczyka, ciotecznego pradziadka. Nie jest w stanie powstrzymać łez, trudno mu cokolwiek powiedzieć. – Jesteśmy pierwszymi z rodziny Antoniego, którzy odwiedzają jego grób. Emocje są potężne – mówi Katarzyna Dobrzańska, mama Jeremiego, nauczycielka języka polskiego i opiekunka pracy syna o Antonim Jędrzejczyku. – Kiedy rozpoczynała się msza św. tutaj w Miednoje, zadzwoniłam do bliższej rodziny Antoniego w Gdańsku, żeby mogli się z nami połączyć duchowo – dodaje. Renata Holaczuk i jej uczeń Sławomir Nowak nie odwiedzają nikogo z rodziny. Mimo to także nie potrafią opanować wzruszenia. – Znaleźliśmy tabliczkę Bazylego Wasilewskiego. Jego córka wiedziała, że zginął w Twerze, ale utrzymywała, że pochowany jest w Katyniu. Mamy ważne zadanie: przywieźć jej prawdę – podkreśla pani Renata.

Twarze zamiast liczb

Nauczycielom bardzo podoba się pomysł uczenia o zbrodni katyńskiej przez pryzmat losów poszczególnych jednostek. – Historia karmi się statystyką, a liczby nie mają twarzy. Ten konkurs ma tę ogromną wartość, że młodzież musi pomyśleć nad sposobem zaprezentowania sylwetek poszczególnych bohaterów. To świetny sposób na połączenie przyszłości i przeszłości – uważa Katarzyna Dobrzańska. Podobnego zdania jest Dariusz Jakubek, nauczyciel historii ze szkoły w Dobroniu: – Konieczność dotarcia do rodzin pomordowanych oficerów i przeglądania materiałów archiwalnych jest o wiele skuteczniejszą lekcją niż wyuczenie się na pamięć dat, liczb czy nazwisk – przekonuje historyk. 📖

Karolina Wichowska

Efekty pracy uczniów, którzy brali udział w konkursie w zeszłym roku i dwa lata temu, można obejrzeć i przeczytać w wydany ostatnio przez IPN albumie *Sprzączki i guziki z orzełkiem ze rdzy. Obraz ofiar zbrodni katyńskiej w pracach plastycznych młodego pokolenia*. Prezentowane w nim prace uczniów nie tylko zawierają notki biograficzne pomordowanych oficerów i ich portrety (zdjęcia i rysunki), ale również liczne pamiątki: zgłoszenie do PCK o zaginięciu, szkolne świadectwa, listy z obozów. Kolejny konkurs, wyprawa na polskie cmentarze wojenne na Wschodzie i publikacja planowane są także na przyszły rok.



Studencka opozycja

W działalność opozycji w drugiej połowie lat siedemdziesiątych zaangażowanych było wielu pisarzy, dziennikarzy, naukowców i działaczy politycznych. To oni tworzyli opozycyjne programy i spierali się o sposób ich realizacji. Funkcjonowanie opozycji nie byłoby jednak możliwe bez współpracy setek młodych ludzi, którzy zbierali podpisy pod akcjami protestacyjnymi oraz kolportowali i drukowali prasę drugiego obiegu. To o nich opowiada wydana przez Instytut Pamięci Narodowej książka Kamila Dworaczka *Studencki Komitet Solidarności we Wrocławiu 1977–1980*.

Praca opiera się na solidnej podstawie źródłowej. Obok kwerend archiwalnych obejmujących akta PZPR i MSW autor wykorzystał dokumenty uczelniane oraz dokumentację tworzoną przez opozycję, prasę drugiego obiegu i relacje świadków. Przyjęcie układu problemowego pozwoliło Dworaczce wyodrębnić najważniejsze kwestie.

Autor opisuje najpierw społeczne, gospodarcze i polityczne tło aktywności opozycji demokratycznej w PRL oraz sytuację we wrocławskim środowisku akademickim. Wskazuje na zmniejszenie liczby członków PZPR wśród studentów, bierność tych, którzy należeli do Socjalistycznego Związku Studentów Polskich, oraz znaczenie tradycji oporu akademickiego we Wrocławiu, na którą złożyły się protesty w maju 1946, w październiku 1956 i marcu 1968 roku. Następnie opisuje genezę Studenckiego Komitetu Solidarności we Wrocławiu, proces prowadzący od reakcji wrocławskich studentów na śmierć Stanisława Pyjasa w maju 1977 do formalnego powołania organizacji w grudniu 1977 roku.

W kolejnych rozdziałach Dworaczek przedstawia środowisko SKS, politykę władz wobec niego oraz poszczególne formy jego działania, takie jak: obrona represjonowanych, akcje stolikowe, działania w obronie wolności słowa, walka o niezależne samorządy studenckie, działalność samokształceniowa, tworzenie niezależnej prasy.

Autor zwraca uwagę na zróżnicowane poglądy polityczne i ideologiczne działaczy SKS, pochodzących głównie z środowisk inteligenckich. Były wśród nich osoby związane z Duszpasterstwem Akademickim oraz hippisi, młodzież zafascynowana zachodnim ruchem studenckim lat sześćdziesiątych i pasjonaci historii Armii Krajowej. Jak zauważa Dworaczek, spory ideologiczne nie miały większego znaczenia w działaniach wrocławskiego SKS. Ważną postacią dla tego środowiska był Jacek Kuroń, a jednocześnie młodzi wrocławscy opozycjoniści mieli dobre relacje z innymi grupami opozycyjnymi.

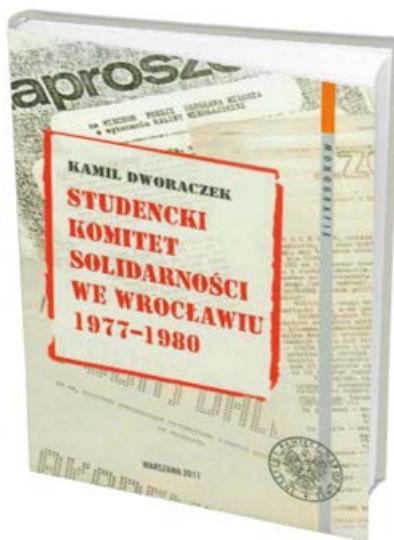
Liczbę działaczy organizacji w ciągu kilku lat jej aktywności autor szacuje na mniej więcej czterdzieści osób, krąg ich sympatyków zaś na prawie sto. Stanowili więc niewielką grupę. Pisząc o jej funkcjonowaniu, Dworaczek zwraca uwagę na brak formalnych struktur. Dla zrozumienia charakteru tego ruchu ważny jest aspekt towarzyski. Spotkania członków SKS przypominały zwyczajne spotkania grupy znajomych. Oprócz układania tekstów oświadczeń rozmawiano, bawiono się, pito alkohol i słuchano muzyki. Kamil Dworaczek pisze: „Proces integracji nasilał się, tym bardziej że więzi wzmacniało poczucie wspólnego zagrożenia. Grupa ta została zepchnięta do pewnego getta, była poniekąd skazana na siebie”. W książce brakuje nieco szerszego rozwinięcia tego wątku: opisanie stylu życia młodych opozycjonistów, ich zainteresowań i fascynacji,

hierarchii autorytetów. Wydaje się, że mogłoby to przynieść interesujące wnioski dotyczące historii opozycji lat siedemdziesiątych i genezy Solidarności.

Kamil Dworaczek nie przecenia ponad miarę znaczenia opisywanej organizacji. Przypomina, że SKS nie osiągnął celu, jakim było stworzenie dużej organizacji studenckiej. Istotniejsza była jednak obrona represjonowanych, działalność samokształceniowa czy dystrybucja pism drugiego obiegu. Autor zwraca uwagę na próby wpływania SKS na postawy szerszych kręgów społecznych – jak msze św. upamiętniające wydarzenia Grudnia '70 czy akcje bojkotu wyborów. SKS ważny był dla samych działaczy, dla których – jak pisze autor – opozycyjność „była życiowym wyborem, odrzuceniem kłamstwa i orwellowskiego dwójmyślenia”.

W SKS wytworzyła się pewna elita, mająca kluczowe znaczenie dla rozwoju ruchów opozycyjnych we Wrocławiu w kolejnych latach: Niezależnego Zrzeszenia Studentów, Solidarności, Ruchu „Wolność i Pokój”, Pomarańczowej Alternatywy czy Solidarności Polsko-Czechosłowackiej. Osoby z tego kręgu odgrywały też ważne role podczas przełomu 1989 roku i w życiu publicznym Wrocławia w III Rzeczypospolitej.

Książka Kamila Dworaczka należy do ważnych monografii ruchów opozycyjnych. Dotyczy jednego ośrodka, można ją jednak odczytywać szerzej i wyciągać z niej wnioski na temat funkcjonowania całej opozycji. Z pewnością pracę Dworaczka można polecić czytelnikom zainteresowanym historią ostatnich dekad PRL. 🍷



Kamil Dworaczek, *Studencki Komitet Solidarności we Wrocławiu 1977–1980*, Instytut Pamięci Narodowej, Warszawa 2011, ss. 235

Mieszkanie się należy?

Mieszkanie stanowi jedną z kluczowych potrzeb społecznych i nie inaczej było w PRL, o czym mówiły chociażby dwa kultowe do dziś filmy: *Alternatywy 4* i *Nie ma róży bez ognia*. Problematykę tę podejmuje również książka Dariusza Jarosza.

Jest to wyczerpująca monografia na temat mieszkalnictwa w PRL. Autor odnosi się do bagażu dwudziestolecia i czasów wojennych, by wskazać, że już w Manifeście PKWN zapowiedziano „rozładowywanie nędzy mieszkaniowej”. I zaraz potem, w dekreście z 7 września 1944 roku o komisjach mieszkaniowych, przydzielono każdemu mieszkańcowi „przestrzeń mieszkalną”, uzależnioną od jego zawodu, stanu zdrowia oraz stanu rodzinnego. Oczywiście kryteria te określały – nierzadko bardzo stroniczo – komisje powołane na mocy tegoż dekretu.

Powstał duży bałagan i bardzo szybko trzeba było utworzyć kolejne komisje, weryfikujące poprawność postępowania komisji powołanych wcześniej. Już w grudniu 1945 roku przewidziano możliwość szerszej ingerencji państwa w zakresie kontroli najmu (z upływem lat pojawiały się coraz większe ograniczenia, związane m.in. z reglamentacją czynszów) oraz publicznej gospodarki mieszkaniami. Bardzo konsekwentnie prowadzono politykę zamiany mieszkań większych na mniejsze, m.in. poprzez dokwaterowywanie lokatorów. Władze zmuszały właścicieli zniszczonych w czasie wojny budynków do ich rozbiórk i remontów. W czerwcu 1948 roku powołano Zakład Osiedli Robotniczych, który miał w sposób zorganizowany i kontrolowany przez państwo zapewnić mieszkania robotnikom. Szczególnie chętnie budowano osiedla przyfabryczne, na obrzeżach miast – czego najbardziej znanym przykładem jest Nowa Huta. Na początku lat pięćdziesiątych urbaniści swobodnie dysponowali terenami miejskimi, nie licząc się ani z uwarunkowaniami ekonomicznymi, ani przestrzennymi, ani nie uwzględniając renty miejskiej. Ograniczono budownictwo prywatne i spółdzielcze, a wiele państwowych inwestycji okazało się chybionych.

Po 1956 roku postanowiono wzmocnić spółdzielnie mieszkaniowe, bo opowiedział się za tym Władysław Gomułka, nowy I sekretarz KC PZPR. Miały one wręcz zastąpić budownictwo państwowe. Instytucję „kandydata do spółdzielni mieszkaniowej” usankcjonowano prawnie, ponieważ nie każdy mógł zostać od razu członkiem spółdzielni. Znacząco ograniczono wydatki na budownictwo, propagowano zakładowe fundusze mieszkaniowe i zaczęto sprzedawać mieszkania państwowe.

Po zmianach politycznych w roku 1970 Edward Gierek obiecał, że każda rodzina otrzyma samodzielne mieszkanie. Oczywiście, słowa nie dotrzymał. Jego ekipa pozytywnie odniosła się do prywatnej własności mieszkań, uznając ją za ważne i społecznie zrozumiałe uprawnienie obywateli. Ponadto opowiedziała się za rozmieszczaniem różnych grup społecznych w poszczególnych częściach miast. W przepisach prawnych na różne sposoby rozstrzygano, jakie kryteria mają decydować o przydziale większej powierzchni mieszkaniowej. W grę wchodziły: liczba dzieci, „szczególne zasługi dla Polski Ludowej”, prowadzenie działalności publicznej, naukowej i racjonalizatorskiej.

Rozwinęła się spółdzielczość mieszkaniowa, co zresztą doprowadziło do jej hegemonii. Istotną cechą polityki mieszkaniowej w latach osiemdziesiątych był rosnący fiskalizm związany z kryzysem finansowym. Rygorystycznie kontrolowano także osoby, które posiadały dwa lokale lub więcej. Od roku 1983 groziła za to sankcja, a poszukiwaniem owych rzekomych nieprawidłowości zajmował się szczególnie organ: Inspekcja Robotniczo-Chłopska.

Z monografii wynika, że w okresie PRL ideologia zbyt często przesłaniała konkretne wymogi społeczne. Na różnych etapach eksperymentowano z poszczególnymi, oryginalnymi rozwiązaniami, które w ciągu co najwyżej kilku lat się nie sprawdzały. Jednocześnie liczne błędy popełnione wówczas pokutują do dzisiaj. Przykładem może być wciąż nierozwiązana sprawa formuły spółdzielczości mieszkaniowej.

Omawiana książka jest niewątpliwie publikacją potrzebną. Należy też docenić szeroki zakres badań i wyczerpujące przedstawienie problemu. 📖

Maciej J. Nowak



Dariusz Jarosz, *Mieszkanie się należy... Studium z peerelowskich praktyk społecznych*, Oficyna Wydawnicza ASPRA-JR, Warszawa 2010, ss. 389

UWAGA KONKURSI!

Szanowni Czytelnicy, „Pamięć.pl” to miesięcznik tworzony z myślą o miłośnikach historii najnowszej. Chcemy, aby był tworzony także z pasją, a któż ma więcej pasji niż miłośnik tematu? Dlatego ogłaszamy konkurs na artykuł popularnonaukowy dotyczący historii Polski XX wieku. Zachęcamy do pisania przede wszystkim studentów, uczniów, nauczycieli i wszystkich, którzy interesują się dziejami najnowszymi. Tekst powinien być utworem oryginalnym, dotychczas niepublikowanym, nie dłuższym niż 15 tys. znaków ze spacjami, mieć charakter popularnonaukowy, napisany przystępnie i ciekawie – z myślą o którymś z istniejących działów „Pamięci.pl” bądź jako załączek zupełnie nowego.

Termin nadsyłania artykułów: 31 stycznia 2013 roku. Czekamy na nie pod adresem pamiec@ipn.gov.pl.

Nagrodą główną, oprócz publikacji na łamach naszego pisma (i standardowej umowy autorskiej wraz z honorarium), będzie bon na 30 dowolnie wybranych publikacji IPN do zrealizowania w ciągu roku. Nagrodą za zajęcie II miejsca – bon na 20 publikacji, za III miejsce – 10.

Pełny regulamin konkursu znajdują Państwo na naszej stronie internetowej.

Czytelnicy do piór!

Filmy, których nie obejrzymy

Można odnieść wrażenie, że historia alternatywna przeżywa ostatnio renesans. W kontrowersyjnej książce *Pakt Ribbentrop – Beck* Piotr Zychowicz przekonuje, że w roku 1939 Polska powinna była zawrzeć sojusz z Hitlerem. Przy okazji kolejnych rocznic Bitwy Warszawskiej publiczności zastanawiają się zaś, jak potoczyłyby się losy Europy, gdyby w 1920 roku nie było „cudu nad Wisłą”. Tadeusz Lubelski, doświadczony filmoznawca z Uniwersytetu Jagiellońskiego, także kreśli scenariusze alternatywne. Jego *Historia niebyła kina PRL*, wydana w tym roku nakładem krakowskiego Znak, to opowieść o trzynastu projektach filmowych, które nie doczekały się realizacji.

Autor wziął pod lupę okres Polski „ludowej”, kiedy to – jak tłumaczy – obok przyczyn losowych i ekonomicznych „o niedoprowadzeniu projektów filmów do fazy zaistnienia decydowały też względy polityczno-cenzuralne”. Przedstawiając losy scenariuszy, których nie udało się przenieść na ekran, Lubelski bardzo skrupulatnie odzwierciedla kolejne etapy pracy nad nimi. Publikuje nawet fikcyjne recenzje, jakie mogły się ukazać w peerelowskiej prasie, gdyby poszczególne przedsięwzięcia filmowe udało się doprowadzić do końca. *Historia niebyła...* to jednak zdecydowanie więcej niż hipotetyczne pytania „co by było, gdyby...”. Autor doskonale pokazuje, jak w PRL torpedowano wartościowe projekty filmowe, jak działała wówczas w środowisku filmowym autocenzura i jak w różnych okresach zmieniał się margines wolności twórczej.

Wśród niedoszłych filmów były takie, które miały szansę stać się arcydziełami. Były jednak i takie, których po latach sami reżyserzy zapewne by się wstydzili. Mało kto wie na przykład, że do ekranizacji *Papiolu i diamentu* Jerzego Andrzejewskiego przymierzali się – jeszcze przed Wajdą – Erwin Axer i Antoni Bohdziewicz. Było to w roku 1949, gdy stalinizm wymuszał na polskich twórcach coraz większe ustępstwa. W scenariuszach Axera i Bohdziewicza komuniści są więc jeszcze bardziej pomnikowi niż w książce Andrzejewskiego, akowcy zaś odmalowani zostali jako szwarccharaktery. „Gdyby tylko ci pomyłeńcy [z AK] przestali zabijać... Pomyłeńcy albo po prostu mordercy!” – oto przykładowy cytat z Bohdziewicza. Nawet taki scenariusz wydał się ówczesnym decydencom za mało jednoznaczny. „Jak niewiele jednak brakowało, żeby piękny tytuł powieści Jerzego Andrzejewskiego kojarzył się nam dziś z socrealistycznym gniotem” – konkluduje Lubelski.

Niektórych niezrealizowanych projektów filmowych można żałować. Na przełomie 1956 i 1957 roku – na fali październikowej odwilży – Aleksander Ścibor-Rylski opublikował na

przykład na łamach „Nowej Kultury” przejmujące opowiadanie *Morze Sargassa*. Mowa w nim o grupie byłych akowców, nękanych przez UB i zepchniętych w „ludowej” Polsce na margines głównego nurtu życia. „Ze studiów nas powyrzucali, porobili z nas inkasentów, mamy u nich kartoteki i numerki” – mówi jeden z bohaterów. Scenariusz, jaki Ścibor-Rylski napisał na podstawie *Morza Sargassa*, był nie do przyjęcia dla kierownictwa kinematografii.

Nie powstał też film o Januszu Korczaku, choć Aleksander Ford miał już skompletowaną obsadę i niemal rozpoczął zdjęcia. Produkcję odwołano w marcu 1968 roku – w apogeum antysemickiej nagonki, jaką rozpętały władze.

Andrzejowi Wajdzie nie udało się zekranizować *Przedwiośnia*, mimo że w połowie lat sześćdziesiątych przygotowania były bardzo zaawansowane. W roli Cezarego Baryki mieliśmy zobaczyć młodego wówczas Daniela Olbrychskiego. Projekt utraciła

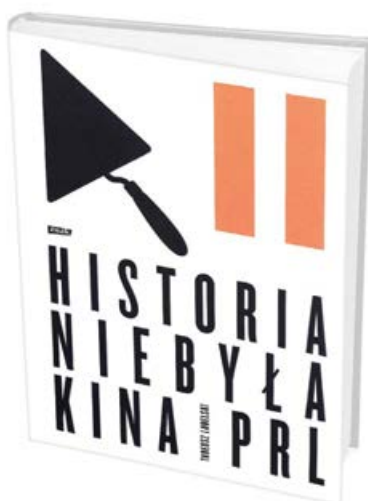
jednak Komisja Ocen Scenariuszy, a decydujący okazał się głos Stefana Olszowskiego, „twardogłowego” przedstawiciela partii. W szeregu scen Olszowski dopatrzył się „zabarwienia antysowieckiego”.

Nic nie wyszło także z innego ciekawego projektu Wajdy. *Powroty* (inny tytuł: *Powołanie*) miały być opowieścią o dwóch alumnach Śląskiego Seminarium Duchownego, odbywających roczną praktykę robotniczą w kopalni. Jeden wraca potem do seminarium, drugi zaś „idzie między lud” i pomaga tworzyć wolne związki zawodowe. Scenariusz nie spodobał się ministrowi kultury, a później sam Wajda stracił zapał do tej historii. Szkoda, bo film ten mógł się okazać równie ważny jak choćby *Człowiek z marmuru*.

By odsonić kulisy projektów, które nie zostały skierowane do realizacji, Tadeusz Lubelski wykonał tytaniczną pracę dokumentacyjną. Zaznajomił się z bogatą literaturą przedmiotu. Przewertował stare roczniki gazet i czasopism. Odbił liczne rozmowy z filmowcami. W zbiorach FilMOTEKI Narodowej odnalazł niepublikowane nigdy projekty scenariuszy, protokoły z posiedzeń Komisji Ocen Scenariuszy i urzędową korespondencję instytucji filmowych. Sięgnął do Archiwum Andrzeja Wajdy i Archiwum Akt Nowych.

Można tylko żałować, że nie wybrał się do czytelnicy IPN. Materiały Służby Bezpieczeństwa byłyby ciekawym uzupełnieniem książki. Bezpieka mocno interesowała się bowiem niektórymi z omawianych przez Lubelskiego projektów filmowych – chociażby *Doktorem Korczakiem* i *Powrotami*. Ale i tak *Historia niebyła...* jest fascynującą lekturą. 📖

Filip Gańczak



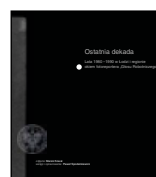
Tadeusz Lubelski:
Historia niebyła kina PRL,
Wydawnictwo Znak, Kraków 2012, ss. 320



■ Tomasz Balbus, „Korab”. Wilniuk klasyczny, IPN, Wrocław 2012, ss. 630 + ss. 120 wkł. il.



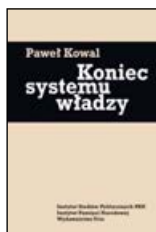
■ Kamila Kędziora, *Nazewnictwo ulic Wrocławia w latach 1945–1994*, IPN, Warszawa 2012, ss. 238.



Paweł Spodenkiewicz, *Ostatnia dekada. Lata 1980–1990 w Łodzi i regionie okiem fotoreportera „Głosu Robotniczego”,* zdjęcia Marek Kowal, wstęp i oprac. IPN (Biblioteka Instytutu Pamięci Narodowej w Łodzi, t. XXIV), Łódź 2012, ss. 192.



■ Ewa Chabros, Grzegorz Kmita „Patyczak”, *Graffiti w PRL*, IPN, Wrocław 2012, ss. 166 + ss. 26.



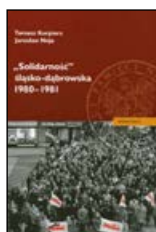
■ Paweł Kowal, *Koniec systemu władzy. Polityka ekipy gen. Wojciecha Jaruzelskiego w latach 1986–1989*, Instytut Studiów Politycznych PAN, IPN, Wydawnictwo Trio, Warszawa 2012, ss. 524.



■ *Pielgrzymki Jana Pawła II do Krakowa w oczach SB. Wybór dokumentów*, oprac. Rafał Łątka, IPN, Kraków 2012, ss. 381.



■ Marta Cobel-Tokarska, *Bezludna wyspa, nora, grób. Wojenne kryjówki Żydów w okupowanej Polsce* (seria „Monografie”, t. 83), IPN, Warszawa 2012, ss. 304 + ss. 24 wkł. il.



■ Tomasz Kurpierz, Jarosław Neja, „Solidarność” śląsko-dąbrowska 1980–1981. *Szkic do monografii i dokumenty własne*, IPN, Katowice 2012, ss. 534.



■ Shimon Redlich, *Na rozdrożu. Żydzi w powojennej Łodzi 1945–1950*, IPN, Łódź 2012, ss. 251 + ss. 16 il.



■ *Czasypismo o historii Górnego Śląska*, nr 1/2012, IPN, Katowice 2012, ss. 206.



■ *Mity i stereotypy w dziejach Polski i Ukrainy w XIX i XX wieku*, red. Andrzej Czyżewski, Rafał Stobiecki, Tomasz Toborek, Leonid Zaszkilniak, IPN, Warszawa–Łódź 2012, ss. 496.



■ Anna Smółka-Gnauck, *Między wolnością a pokojem. Zarys historii Ruchu „Wolność i Pokój”,* IPN, Warszawa 2012, ss. 312 (seria „Monografie”, t. 84).



■ Piotr Franaszek, „Jagiellończyk”. *Działania Służby Bezpieczeństwa wobec Uniwersytetu Jagiellońskiego w latach osiemdziesiątych XX w.*, IPN, Kraków 2012, ss. 351.



■ *Od Września do Norymbergi*, red. Filip Musiał, Jarosław Szarek, IPN, Ośrodek Myśli Politycznej, Kraków 2012, ss. 154 (seria „Z archiwów bezpieki – nieznanne karty PRL”, t. 18).



■ *Sprawa kwidzińska. Internowanie, pobicie, proces 1982*, tekst Karol Nawrocki, wybór i oprac. mat. ikonograficznych Karol Lisiecki, współpraca Tomasz Żuroch-Piechowski, Maszoperia Literacka, IPN, Gdańsk–Kwidzyn 2012, ss. 280.



■ Magdalena Heruday-Kielczewska, *Reakcja Francji na wprowadzenie stanu wojennego w Polsce: grudzień 1981 – styczeń 1982* (seria „Monografie”, t. 82), IPN, Warszawa 2012, ss. 208.



■ *Oskar Halecki i jego wizja Europy*, red. Małgorzata Dąbrowska, t. 1, IPN, Warszawa–Łódź 2012, ss. 286 + ss. 18 wkł. il.



■ Jafa Wallach, *Gorzka wolność. Wspomnienia ocalonej z Holocaustu*, IPN Rzeszów, Rzeszów 2012, ss. 180.

Instytut Pamięci Narodowej
Komisja Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu
00-207 Warszawa, pl. Krasińskich 2/4/6
Publikacje IPN można nabyć:
w siedzibie IPN
ul. Towarowa 28, 00-839 Warszawa
poniedziałek – piątek w godz. 8:30–16:00
tel. (22) 581 88 72

w Centrum Edukacyjnym IPN
im. Janusza Kurtyki
PRZYSTANEK HISTORIA
ul. Marszałkowska 21/25
00-625 Warszawa
poniedziałek – piątek w godz. 10:00–18:00,
sobota w godz. 9:00–14:00
tel. (22) 576 30 06

Sprzedaż wysyłkowa publikacji
zamówienia można składać telefonicznie: tel. (22) 581 85 97;
(22) 581 88 42; (22) 581 88 17; fax (22) 581 88 29
pocztą zwykłą na adres Instytutu
pocztą elektroniczną:
joanna.pamula@ipn.gov.pl; joanna.pszczola@ipn.gov.pl
lub w księgarni internetowej:
www.ipn.pocztyaj.pl